

ADOLF NOWACZYŃSKI

**S Z K I C E**  
**LITERACKIE**

6011

POZNAŃ

1918

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ OSTOJA







W S Z E L K I E P R A W A  
A U T O R S K I E Z A S T R Z E Ż O N E

COPYRIGHT BY **OSTOJA** S P Ó Ł K A  
W Y D A W N I C Z A Z O G R A N. P O R Ę K ą W P O Z N A N I U

T Ł O C Z N I A: J. G O Z D Z I E J E W S K I E G O W P O Z N A N I U

ADOLF NOWACZYŃSKI

S Z K I C E  
L I T E R A C K I E

POZNAŃ

1 9 1 8

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ OSTOJA





289531

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



F U W 0 1 7 7 6 0 5

SATYRA STAROPOLSKA

D/328/05



**D**obyta orężem Grecya, opowiada Horacy, pomściła się na swym zwycięzcy „kładąc nań więzy swego ducha“; „tylko *Satura* jedna“, dodaje ku temu Quintilian, „cała jest z nas“. I rzeczywiście tylko Satyra jako rodzaj, jako formalny przejaw literackiej treści jest niezaprzeczalnym stworzeniem i owocem ducha rzymskiego. Kolebą jej i podłożem były ludowe zabawy już 400 lat przed Chrystusem, pomysłowe i barwne, wymyślne i artystyczne. Dziś jeszcze, t. j. w początkach XX wieku lud w Europie, nawet Zachodniej, bawi się w sposób znacznie gorszy, bardziej barbarzyński, niżli się bawił kiedyś prastary naród Quirytów w swych Fascemunach, Atellanach, mimach i pantomimach, z których to ostatnich właśnie i według T. Liviusza wykiełznać się miała *satura*.

Etymologicznie wywodząc jej prapoczątek, musimy zgodzić się na stanowisko Teodora Mommsena, genialnego twórcy „Historii Rzymu“, który treść pojęcia *satura* tłumaczy małżeńskim skojarzeniem się dwóch pojęć, greckiego *σατῆρος*, rozwiązłego koźlęco owłosionego półbożka, z łacińskim pojęciem *satura*, t. j. pełnia, np. *satura laux*, pełna misa. W sumie połączone te pojęcia dają obraz: „zuchwałego baraszkowania człowieka sytego“. W konsekwentnym zaś rozwinięciu terminu staje się *satura* wesołem, śmiechem i dowcipem prześmiewaniem się z wszelkiego autorytetu zdolnych ludowych aktorów — trybunów, którzy przy uroczystościach religijno-publicznych, po dosytnym nakarmieniu się i picu baraniami i koźlami skórami okryci, w dość rozwiązły sposób wyprawiali krytykujące „Theatrum Mundi“ harce. Tak tedy pełna misa *satura* jak i pełna kielbasa *farcina*, ze starorzymskich zabaw ludowych wzięte, dały początek typom twórczości, które do dziś dnia, jako satyra i farsa, żyją i żyć będą.



Rozmyślnie po bakalarsku przypominałem tu genezę słowa satyry, zaczynając *ab ovo*, t. j. od samego załączka satyryckiego rodzaju, ponieważ nasza twórczość w tej ducha dziedzinie cała opiera się mocno na fundamentach łacińskiej satyry, tak jak i nasze oficjalno kulturalne życie starodawne powiedziecby można było romańskiego lechickiem powtórzeniem, parafrazą czy odbiciem. Szczególniej utwierdzić się można w tem przekonaniu o przepojeniu całego życia staropolskiego pierwiastkami pramacierzy Romy, studiując dzieje satyry polskiej, czyli przemian i faz obyczajowości naszej, oglądanej przez pryzmat więcej lub mniej utalentowanych pesymistów. Przedewszystkiem bowiem wychodzi w toku studyów na jawę ten fakt, że, w analogicznych stosunkach prawnopanstwowych przy pewnem podobieństwie struktury administracyjnej i w pewnych podobnych rzymskich sytuacjach politycznych, obyczajowość staropolska kształtowała się tak podobnie do rzymskiej, że nasi zoile i rezonerzy, prawdzice i ganiciele, z całą swobodą względem swoich sarmackich spółziomków posługiwali się taktyką rzymskich talentów, walczyli bronią z ich arsenału duchowego pobraną, a często nawet i oczywiście błędnie, utożsamiali swoją ojczyznę pod berłem Wazów czy Sasów z emporium Nerona i Domicyana, o którym się z pięknych satyr potwornie brzydkich rzeczy dowiadawali.

I dlatego, wpatrując się kolejno w pięć wieków naszej egzystencji historycznej przez szkła satyryków, należy po odtrąceniu ze siebie pewnego odsetka zgrozy, ze względu na ich przyrodzony, konieczny, a ogólny w piśmiennictwach *furor satyricus*, odtrącić z siebie następnie i pewien odsetek w uczuciu przygnębienia ze względu na tę romańską kulturę omal wszystkich polskich weredyków i ideowo bogacących się zbyt czasem sumienną i żarliwą lekturą Juvenala, Persyusza, Horacego, Lukyana, Cyserona. Po odtrąceniu tych odsetek zostanie jeszcze obraz wcale niepokiesny, będący niejako odwrotną stroną kobierca heroiczno-tragicznych dziejów, zaprzeczający mocno mesyanicznemu podchlebstwu romantyków, jakoby Polska była Chrystusem ludów. Zostanie zato w każdym razie wizerunek przeszłości męski, realny, istotny i tem sercu mą-

drzejszych „po szkodzie“ pokoleń droższy, że od panegirycznych, makaronicznych, romantycznych i dziennikarskich — prawdy bliższy.

Kiedy się ze stanowiska dzisiejszego spojrzy retrospektywnie w te sześć wieków i ogarnie je jednym spojrzeniem duszy, widzi się jakby olbrzymie, niezliczone milionowe tłumy i krocie naszych zmarłych, naszych protoplastów i przaszczurów biegnące w rozpędzie fatalnym lub wprost staczające się bezmyślnie ku zionącej przepaści niewoli narodowej. A w tym obrazie tu i gdzieś podniesione i wyciągnięte kurczowo ręce ludzi wybrańszych, jasno-widzących, wołających z krzykiem o opamiętanie, grożących, perswadujących, każących i wyklinających. Nic nie pomagają te przestrogi, wołania, lamenty, piorunowania jednostek, ponad tłumy ino mózgiem wystających; wszystko roznamiętnione, rozpasane, ślepe i głuche, biegnie po spadzistych upłazach ku katastrofom rozbiorów; cały naród, „z pijanym bałasem“ i maniakalicznymi krzykami o wolności! wolności! złotej wolności! stacza się ku niebytowi.

I taką wobec tego była we wszech czasach rola naszej satyry: alarmować i ostrzegać, grozić i przestraszać i kassandrycznie upad wszystkiego przewidywać w głębokiem przeświadczeniu, że równoczesne każdemu satyrykowi zło jest ino zjawisk formą przejściową, zmienną, a kastowych i stanowych przywar, błędów, zbrodzieństw wypominanie z czasem wszystkich poprawi i Macierzy życie ocali. I w tem już przedewszystkiem leżała różność naszej satyryckiej twórczości od twórczości romańskiej i w tem już obie rozchodzą się w rozbieżnych kierunkach, że tak Juvenal, Persyusz, Horacy, jak i dawniejsi jeszcze Ennius, Terentius i G. Lucilius wychodzili z filozoficznego przeświadczenia o nieprzemiennej nicości natury ludzkiej i wiekuistości wszelkich „wielebnych głupstw“, podczas gdy nasi satyrycy, zwięziwszy poprzód cały świat w granicę obywatelskiego żywota i wewnętrznej polityki swej ojczyzny, pisali i gromili w przeświadczeniu, że libelle ich poprawią naturę ludzką, przyspieszą przyjęcie Królestwa Bożego na ziemi, a w każdym razie u Sarmatów podniosą ducha obywatelskiego, poczucie socyalne i zapal patryotyczny. Staro-



rzymska satyra nie miała żadnych celów, tem mniej jakichś umoralniających, lecz konstatowała mniej lub więcej obojętnie hegemonię zła w jej charakterystycznych objawach, przypisując wagę i wartość tylko mocy deskrypcyjnej, a absolutnie lekceważąc pisanie skutki. Nasza zaś w obywatelskim zapale i młodej rasowo naiwności przypisywała sobie moce przetwórcze odwieczne, stawiała przed się przeróżne cele, potrzeby, doktryny, obowiązki, tendencje i pełna nadziei reformowała, pedagogowała i peroryzowała, jak z kazalnicy.

Kiedy więc Horacy deklaruje się, że jego do wierszy satyrycznych t. j. do spokojnie nazwanych „rozmów“ lub „swobodnych“ pogadanek o ludzkich przywarach pchnęła bieda (*paupertas*) „matka śmiałości“, kiedy Juvenal oświadcza, że skoro tylko z występków i zbrodni można mieć bogactwa, a „natura ci ich odmówi“, to „zgroza wiersz twój rymuje“ a Persyusz już wprost odsuwa od siebie daleko nizki świat realny i, opierając się na najsurowszej rygorozalności stoickiej filozofii, uczy i przekonuje o zwycięskiej wszechzłości i zwycięskiej wszechgłupocie, na które nie masz żadnego lekarstwa poza absolutną i tryumfującą „wzgardą życia“, wszyscy oni, rzymscy satyrycy — arystokraci duchowi, tylko w bujnym bogactwie tematów, we własnej dyspozycji organicznej, a więc w satyryckiej pobudliwości i sprawności wierszowania znajdują satysfakcję twórczą, ani myśląc o złagodzeniu kolorytu lub tonu i nie puszczając w swe utwory ani promyka nadziei w możliwość lepszej przyszłości. I w tej pozornej bezcelowości starorzymskiej satyry leży właśnie jej piękna siła i jej artystyczna doskonałość.

Na takie jednakże filozoficzne stanowisko nasi przecznicy i satyrycy wspiąć się nie byli w możności z powodów wielorakich, między którymi niepoślednie miejsce zajmuje przed wszystkimi niezdolność i niechęć do jakiegokolwiek filozoficznego światopoglądu. Wzgarda ogólna do abstrakcyjnego myślenia, jako do „niemczyzny“, i pokrewny jej *horror meditationis* z starożytnym lekceważeniem pracy czystego rozumu na benefis impulsów czystodusznych, poetyckiego wyczerpującego marzycielstwa i na benefis niehamowanej imaginacyjności,

ta wzgarda do poza-praktycznego myślenia (otwarcie później manifestowana nawet przez takich ludzi jak ks. Adam Czar-toryski, Kołłątaj, Libelt i innych) była jednym zaledwie z symptomatów pochodnych od plemiennej myślowej ociężałości obok takich i innych wad złowróżebnych, jak przewaga despotyczna wyobraźni nad refleksją, ustawiczna nieścisłość myślenia i brak krytycyzmu przy gorącej w sądzeniu pohopności. Już satyryk Starowolski, człowiek kulturalnego zapachu a encyklopedycznej wiedzy, — piętnował to starannie przez kler pielęgnowane kalectwo rozumu polskiego w słowach: „Lecz my, grubi Sarmatowie, nie znając się na tych drogich perłach nauk wyzwolonych, jednym słowem filozofię błazeństwem, a filozofy i wszystkie ludzie uczone żakami, dominusami i rybaltami zwiemy“.

Od czasów Starowolskiego w psychice ogółu naszego mało się zmieniło. To samo nieznanie się „na drogich perłach nauk wyzwolonych“, to samo, krótko powiedziawszy, lenistwo mózgu doprowadziło do tego, że w czystej teorii, t. j. w tem co tworzy jądro twórczości ludzkiej, polski intelekt nie stworzył wiele wiecznotrwałego. Co więcej! Ile razy jeno nad wegetacją naszą słońce „oświecenia“ wschodziło, nie dotykając swoimi promieniami jeszcze ani milionów, ani kroci, a tylko najwyższe dziesięć tysięcy cywilizowanych, tyle razy spontanicznym ruchem ogółu całego zarzucano słońce czapami. Tak się działo za obu Zygmunatów, za Stanisława i tak się stało w naszej dobie wykpanego pozytywizmu. Nadto co jakiś czas urządzano partyzanckie kampanie przeciw rozumowi, jako bezbożnemu uzurpatorowi tronu duszy, czerpiąc hasła ot, nawet z marazmatycznego lirnika Zaleskiego i jego wersetu o „rozumie, służce duszy lichym“.

Zgodnie zaś i harmonijnie z tą wygodną wzgardą dla „parweniusza. rozumu“, będącą w istocie rzeczy tylko zaspaniem mózgu, szło lekceważenie obowiązków ogólnych, społecznych i narodowych, tych obowiązków „zdrowych synów rozumu“, jak mówi Carlyle, na rzecz znowu idealnego i poezjami reklamowanego „poświęcenia“ t. j. efektownego, ale przygodnego stanu społeczeństwa z ogółem, tego „poświęcenia“,



które paralelnie do Carlyla nazwaćby można tylko anemicznem „dzieckiem egzaltacji“. I jak na podłożu społecznego, codziennego i systematycznego lekceważenia obowiązków ogółowych i obywatelskich wystrzelał od czasu do czasu kwiat odświeżonych poświęceń, ślepych porywów i ofiarności kolektywnej, konwulsyj sumienia obywatelskiego, tak też i na dziedzinach intelektualnych gorączkowo mobilizowało się oświecenie polskie w chwilowe, niestałe nawet nie akcje, a ruchawki czy erupcje, by wnet po klęskach, w zniechęceniu składając broń, ustępować miejsca wiekuiściej reakcji zoologicznej miazgi narodu.

Dziwnie tragiczną wydaje się też skutkiem hipertrofii imaginacyjnej, a co za nią idzie rozumowej atrofii, historia kulturalnego postępu w Polsce: dwa kroki naprzód, jeden w tył, oto było tempo intelektualizmu polskiego. Zdecydowane wykreślenie nas z rzędu cywilizacyjnie twórczych ludów, było tej hegemonii nad rozumem „parweniuszem“ „wielkiej pani“ duszy ostatnią konsekwencją. I w tej izolacji nieświatłej jeden tylko katolicyzm jeszcze pociesza północnych hiszpanów na romantycznych ruinach i zgłiszczach wielkości Jagiellońskiej.

Te się więc przedewszystkiem narzucają badaczowi kultury obserwacje, które trzeba uwzględnić jako przesłanki dla dziejów satyry: ociężałość większości narodowej, pogrążonej stale w konserwatywnym nastroju, omal islamski *kismet* t. j. coraz łatwiejsze poddawanie się nieprzyjaznym okolicznościom wraz z paralelnymi zjawiskami: umysłowym wyjałowieniem, niekosztownem marzycielstwem; zaczęciem druga przesłanka panowania ponad wszystkim przepotężnego ospalstwa myślowego.

Widzimy z tego, na jaką rolę skazani byli satyrycy polscy: oto na rolę budzicieli z odrętwienia, wskrzeszców z wegetacji ziemiańsko-rycerskiej, na rolę koniecznie czynnych, w życie narodu wprost interweniujących, na rolę z konieczności nie tylko głupotę złego konstatających *artystów*, ale i złość szkodliwą biernego głupstwa zwalczających *działaczy*. Wobec zaś przewlekłego stanu ogółowej ospałości nie mogli się ograniczać wyłącznie na dyagnostyce złego, ale musieli zająć się i terapią, musieli teoretyzować w kwestiach etyki, stawiać własne

programy socyalne i polityczne, działać i pozytywnie. Nie można się tedy dziwić, że w niektórych wypadkach akcja satyryczna zmieniała się w walkę mózgu o znacznie większej ilości ganglii z mózdzkami bardzo zbliżonymi do cielecych; przykładem stanowisko Ostroroga i jego Monumentu; przykładem satyra farmazonów, a afrykański poziom ich współczesników. Zawsze zaś prawie była to wojna ludzi o kulturze europejskiej, w zagranicznych uniwersytetach czerpanej, walka uczniów Bolonii, Paryża, Erfurtu, Wirtembergi, „peregrynantów“, „zachodniczków“ z tłumami niemających żadnej idei o świecie, nieokrzesanych słuchaczy monitora Boćkowskiego, Alwara i O. O. Jezuitów.

Koleją wieków idąc, obskurantyzm rdzenia narodowego wykpiwał w pierwszych oświeconych satyrykach „włoskie kortezje“ (Galileusz, Torricelli), nazywał ich następnie Szotami (Locke, Newton, Collins, Shaftesbury, Foland), by wreszcie urządzać naganki na libertynów, t. j. czytelników Kartezjusza, Woltera, Diderota, d'Alemberta. Podróżnicy po obczyźnie, powróciwszy w rodzinne pielesze, zastawali naokół egipskie ciemności, a w ziomkach pelazgijski stan mózgu i dzikość pierwotną a uporną; satyra stawiała się wtedy naturalnym odruchem i reagowaniem na ciemność ludzką i złośliwość głupstwa; tak najstarsi Cricius, Janicius, Bielski, Kochanowski, jak w ośmnastym wieku Krasicki, Zabłocki, Naruszewicz — musieli się czasami czuć jak łódki kruche w zburzonej toni bałwanów szlacheckich, broniących z zaślepieniem swoich tradycji, zabobonów i często święconych, a zawsze świętych egoizmów klasowych. Satyra nasza w przeważnej części swych przedstawicieli chciała wszelkimi siłami naprawiać nasze stale półwieczne opóźnianie się w pochodzie cywilizacyjnym, nasze ociąganie się i maruderstwo, nasze niezaprzeczalne i dziś jeszcze żywe przywiązanie do pierwotności, a niechęć do wyszukińskich, złożniejszych form bytowania. Niektórzy satyrycy są wprost rozkochani w ładzie, czystości, przemyśle, sztuce i społecznych instytucjach obczyzny; chcieliby wszystko, co tylko widzieli w Holandyi, w Lombardyi, we frankońskich i „auzońskich“ krajach, przenieść i wkorzyć na naszym żyznym zagonie, „na



którym (mówi, mijając się z sprawdą Klonowicz) siadła Polska jako u Boga na łonie“. Tymczasem oświeceni peregrynanci z mózgami, pełnymi czarownych obrazów życia i siedzib narodów cywilizacyjnie twórczych, natrafiali dokoła na opór, na twardy agresywny opór masy, szlacheckiej miazgi. Ognisty zapal młodego, wrażliwego Sarmaty „zachodowca“, jego żądza przyswajania ojczyźnie wszystkich wynalazków, kunsztów, mądrości, darów i cudów Zachodu, spotykały się z czujną, tępą, nieubłaganą frondą hałastry, wegetującej głupio i haniebnie pod patronatem opiekuńczym księżej kliki polskiej. Czytał swój *Monument* o naprawie Rplitej na Sejmie sokratyczny mędrzec Ostroróg, a przyjęto go przemilczeniem, czytał swe programy młody senator, entuzyasta europejskiego oświecenia Opaliński, a tłum szlachty wyśmiał go i wyszydził. A po nich tylu, tylu! innych, „że nie po polsku myślą“, że „obce rozumy pojedli“, „że się nowinami opili“... I stąd się lęła w tych satyrykach wyprzedzaczach i prekursorach cywilizacyjnych gorycz ludzi czujących się właściwie obcymi i osamotnionymi — zaczęło potępianie w czambuł wszystkiego, co polskie, i stąd absolutne nieporozumienie, rozdział między nimi a społecznością, a wreszcie i chybiony cel ich zamierzeń satyrycznych: wieczny *status quo ante* w jednych dziedzinach, a w innych, idąc od 16 wieku np. coraz większe przyciemnienie i coraz zażartszy egoizm stutysięcznej kasty, gniołacej kolanami cały naród. Czytano sobie satyryków i przepisywano nawet, ale nikt tych alarmów, że „giniemy, giniemy!“, że „Rplita nieboga się chwieje“, że „rozwieją nas wiatry jako w lecie plewy“ — nie brał do serca zbytnio; często zaś zasypiano przy nich dobrze, jak Sułtan przy kazaniach Danizmendy, widząc w satyrze tylko „świeckie kazanie“, wychodzące ze wspólnego z duchownem założenia teologicznego, że każdy człowiek grzesznik i kłamca, *omnis homo mendax*, więc i Polak „stworzenie ułomne“. I tu zatracamy właśnie o zasadnicze kwestye w satyrze polskiej, o kwestyę jej dynamiki. Otóż tak w twórczym pesymizmie naszym, jak i każdego innego narodu, stopień samodzielności satyry, jej odwagi i jej siły, stopień miłości prawdy w niej jest zawsze proporcjonalnym do stanów tych w społeczeństwie, z którego

wyszła. Inaczej, utartym frazesem to wyraziwszy, każdy naród ma taką satyrę, na jaką sobie zasłużył. Z góry można wyjątkiem potwierdzić tę regułę: naród polski miał lepszą satyrę, niż na nią zasłużył, bardziej o prawdy socyalne wojującą, obywatelsko odważniejszą i silniejszą w indygnacji, aczkolwiek równie mało samodzielną myślowo, niezbyt buntowniczą i z żadną z satyr narodów cywilizacyjnie twórczych nie mogącą iść w porównanie.

Przewiele na to składało się powodów, że naród o temperamencie tak krewkim i gwałtownym zdobył się na satyrę letnią, temporyzowaną, nie wulkaniczną. Kilka z nich trzeba zarejestrować. Najfatalniejsze wynajawszy pomieszkowanie w gmachu Europy, skazaną była Polska na ciągle konflikty, kłótnie i wojny z sąsiadami, co poprostu nie dawało czasu na różniczkowanie się narodu ideowe i duchowe; Turcy, Szwedzi, Moskowicze, Kozaczyzna i hydra prusacka, która od nas odnajmowała pokoik skromny, a dziś zajmuje apartamenta pierwszego piętra gmachu Europy, nie dawały dziesięciu lat bezprzerwanych pokoju, w którychby mogły przyjść do głosu pełnego nauki, sztuki, krasopisarstwo, a między niemi i satyra bezwzględna, przeciw prądowi i przeciw środowisku ostrzem stalowem zwrócona, a nie działająca destrukcyjnie na naród, już i tak dość (poza wojennym i sejmowym czasem) zatimizowany i nigdy nie za solidarny. Poprostu tedy z obywatelskiego obowiązku, ze względu na mus ustawicznego powoływania złych i głupich, ale zawsze najbliższych pod oręż, ze względu na ciągle „zaciemnione horyzonty polityczne“ nie mogli satyryczni pisarze prowadzić kampanii dosłownie odśrodkowych, czyli pisać z całą prężnością swych temperamentów, na zabój walcząc z otoczeniem, ze środowiskiem, ze społeczeństwem. Weźmy np. takie bujne, krwiste kreatury ludzkie, jak Grochowski, Kochowski, Twardowski, i przypomnijmy sobie ich czasy, okres Piławiec, Korsunia, Żółtowodów, Sicińskich, Radziejowskich, klęsk ognia i miecza, okres potopu, nieszczęść i czarnej śmierci.

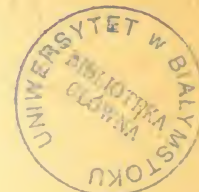
Jednym z następnych powodów letniości i względnej, zgoła nie mefistofelicznej siły satyry staropolskiej było także



socyalne stanowisko jej produkatorów, rekrutujących się (z trzema tylko wyjątkami) z jednej warstwy społecznej t. j. szlachty, i to albo z ziemian, mocno wieszających się pańskich klamek, albo też z magnatów całą gębą, biskupów i wojewodów. Nie było u nas satyryków z *profesyi*, ale było kilkunastu satyryków *posesyonatów*, „lwów Lechistanu“, panów koronnych. Tymczasem zaś satyra już z samego genetycznego założenia swego jest i winna być twórczością z ludu i dla ludu w najszer szem oczywiście tego słowa znaczeniu, jest bowiem w istocie swej, jak była w prapoczątkach, reagowaniem, przeciwdziałaniem na egoizm pogański górnych warstw kapitalistycznych, jest hamulcem na oportunistyczną etykę sfer rządzących, jest możliwie artystyczną krytyką i wizerunkiem *della bestia triomphante*, satysfakcją maluczkich, wydziedziczonych i nieaktywnych. W zaraniach satyrze pokrewnej bajki twórcami gromowładnymi byli genialni *niewolnicy*: Bidpaj, Ezop, Fedrus, w rzymskiej satyrze Horacy był synem wyzwolenca, Juvenalis Junius Decimus szedł z ludu, a boski Persyusz, co zmarł tak młodo, był nędzarzyną i nauczycielem w ludowej szkole. W pokrewnej satyrze komedyi greckiej Arystofanes, antidemagog, pochodził jednak z ludu, Herondas, autor Miriambów, również. Cała satyra angielska, ta najmocniejsza i najzuchwalsza twórczość liberalnej negacyi, jest mieszczańską z pochodzenia, antikastową, republikańską i zwalczającą wszelki despotyzm: wyjątkiem hańbiącym w niej jest tylko jeden Dryden, katolik, przekupiony do wielbienia absolutyzmu przez Jakóba II. U nas zaś mieszczański stan, w szesnastym wieku wcale imponujący i kulturalnie płodny, w wieku XVII zwolna gnieciony i mimo alarmów satyrycznych odsuwany i gnębiony, dał protestującej literaturze zaledwie kilku mężów i to przez pół szlachty, jak Janicius, Wolan, Klonowicz, Gawiński, Minasowicz. W to miejsce zaś mamy wyłącznie polski typ satyryka magnata i matadora, jak wojewoda Ostroróg, biskup Ciołek z Żelechowa, biskup Krzycki, prałat Grochowski, wojewoda Opaliński, Jąbłonowski, prałat Bohomolec, biskupi Naruszewicz i Krasicki, generał Jasiński, minister Potocki, satyrycy oczywiście z dobrodziejstwem całego inwentarza magnackich przywar, niespeł-

nionych ambicyi „karmazynowych“, obrażonych but i „szarych“, pyszek, prywatnych animozyi i stanowych przesądów i interesów. Tej satyrze, przez posesyonatów reprezentowanej, trzeba dobrze patrzeć w palce, czy w swych produkcjach miała istotnie dobro publiczne na celu, czy też załatwianie porachunków z konkurującymi „familiami“, z królem, rozdawcą „starostw“, i z ciżbą szlachecką, rozdawczynią sejmikowych kresek. Typ ten jednakże satyryka senatora u nas powstać musiał, gdyż tylko te sfery, „peregrynujące“ często po Europie, miały możność dokładnego przypatrzenia się wyższemu, szlachetniejszemu bytowi ludzkości, szczególnie ludzkości w pięknych miastach włoskich i holenderskich, a zatem posiadały w ręku probierze porównań egzystencyi Zachodu z egzystencyą ziemiaństwa w domu wzrosłego, a zazdroszczącego już szczypty komfortu krakowskiemu, lwowskiemu, warszawskiemu, no i gdańskiemu mieszczaństwu. Niestety jednak, kpiąc z pańska z nieokrzesania szerszych kół „rycerskiego stanu“, szydząc ostro z takich panaceów niemyślącej tłuki, jak złota wolność, którą jeden zwał „proszkiem na wymioty“ (Lubomirski), a inny (Grochowski) „wykiełznaną szkapą“, drwiąc z mizernej i niezasobnej egzystencyi chodaczkowych megalomanów, równających się po kieliszku wina panom koronnym, doprowadzili satyrycy-magnaci tylko do skutku wprost przeciwnego temu, jaki zamierzali. Wszyscy oni prawie bez wyjątku, począwszy od Ostroroga i Modrzewskiego, przemawiali za rozszerzeniem praw mieszczaństwa, a ciemna szlachta prawie wszystka, dżgana i irytowana tem wyśmiewaniem jej wielmożnej „dzikości“ i troglo-dyckiej wegetacyi, zaczęła zawistnie ścieśniać i okrawać prawa miast, aż dopięła celu po części, bo zubożyła i wynędzniała mieszczaństwo, a sama pozostała nadal jeno mierzwą dla jednostek reprezentujących rasę, bezmyślną mierzwą, ubraną w altembasy i atłasy, forboty i robrony, wewnątrz niechlujną i pustą, jak pod wiosnę stodoły.

I jeszcze jeden z powodów, gwoli których satyra narodu szumnego i rogatego nie była wcale tak rogatą i „nie bodła nieba gęsiem piórem“, jak o Swifie mówi Sheridan. Pochodzenie to z jednej sfery naszych satyryków, i to ze sfery,





która była raczej jedną wielką stutysięczną rodziną szlachecką, wpłynęło też z konieczności życiowych bardzo stępiająco na ostrze stali naokół tnącej. W 16 już wieku mieliśmy, jak widać ze świadectw drukowanych, doskonałą dworską oglądę towarzyską i „szlif kortegiański“, który zacierał kanciastości i chropowatości natur obozowych i wszystko oblekał pokostem edukacji i obyczajności. Aczkolwiek siedemnasty wiek znowuż zbarbaryzował i zbrutalnił szerokie masy szlachty, kształcąc je tylko w „piwniczkach“ i zakrystyach, to jednak wyższe warstwy ziemiańskie i mieszkańcy większych miast zachowali już to kortegiaństwo i względną delikatność w obcowaniu. Jeżeli teraz uwzględnimy jeszcze warcholską obraźliwość szlachty, poza pół-wiekciem humanizmu w Polsce nieznoszącej urąga, żadnego szyderstwa i dochodzącą w tej nadczułości o swój klejnot, cześć, honor, „zacność“, do bezwzględności cezarycznej Tyberyusza czy Napoleona (nieznoszących, jak wiadomo, ni cienia wyśmiechu), to i dziwić się nam nie wypadnie temu bardzo charakterystycznemu rysowi naszej produkcji t. j. jej ogólnemu adresowaniu satyr, bezimiennemu karceniu i tak zw. uszanowaniu osobistości, a mówiąc rzetelnie, uszanowaniu próżności w jednostkach, mających pieniądze, władzę i siłę. I pod tym względem kurtuazyjność naszych plewców złego i trzebicieli głupstwa miewała, szczególnie u niektórych z nich z czasów jezuickich rządów, wszelkie znamiona braku odwagi, taktyki połowicznej, kompromisowej, zgola obcej i nieznannej delikatnym, ale szczerym kulturom, francuskiej, włoskiej, a wprost wzgardzonej w Grecyi i w Anglii, gdzie tak komedia satyryczna, jak i satyra, celowały wprost w osobistości, karcąc w nich i tępiąc chwilowo, przygodnie najsilniejsze krystalizacye złości i głupstwa. Pod tym względem satyra staropolska, przeważnie jeszcze do tego polityczna, nie psychologiczno-obyczajowa, a więc obracająca się w kwestyach najogólniejszej obywatelskiej natury, miała w tej bezosobowości może wielką dozę tego, co Horacy nazwał *urbanitas* t. j. wielkomiejskiej, wielkoświatowej dyskrecjonalności, ale skutkiem tego wiele rozwałkowanego, nieistotnego gderactwa i wiele omawiania i okrażania miasto bezpośredniego, śmiałego atakowania brzy-

dactwa moralnego w jego plastycznych i widomych choć przemijających reprezentantach. Dopiero bliższe zapoznanie się ze satyrą angielskich Monitorów, Spektatorów i Guardianów, dopiero lektura Younga, Churchilla, Johnsona, Steelego i Addisona podniosła nieco agresywność tonu satyryków Stanisławowskich, wskazała im dzieła bardziej zachodnio-europejskiej odwagi cywilnej wobec mandarynów i oligarchów i pchnęła do samostwierdzenia się satyry w jej jestestwie. Pamflet osobisty, który w zaraniu dziejów naszych, w czasach humanizmu uprawiali z powodzeniem biskup poznański Stanisław Ciołek z Żelechowa (przyjaciół króla Jagiełły) i prymas Jędrzej Krzycki (przyjaciół królowej Barbary), przyszedł w dobie oświecenia z powrotem do praw obywatelskich. Wartość zaś i ważność jego doskonale ocenił jeden z najmilszych ludzi w naszej literaturze, Zabłocki, w wierszu:

„Przed wszystkimi zalecam ci trzymaj Boala :  
On, kiedy gromi zbrodnie, imion nie ocala.  
Inaczej nic nie zdołasz ! Satyra nie taka,  
Zamiast poprawić jeszcze zabawi lajdaka.“

Przytoczyć nadal wypadnie jeden z następnych powodów, gwoli których satyra narodu szumnego i rogatego nie była wcale tak rogatą, nie zostawiła nam typów absolutnie heroicznych, nie miała pośród siebie ani jednego męczennika za prawdę, za gejzerowe jakby wybuchy nienawiści do złego. Brak u nas i takiego typu, jak spółczesny Homerowi Archilochus, który, że wszystkich i wszystko ganił, zabity sztyletem, nawet w niepamięci jest pogrążon; brak u nas i takiego Boccaliniego, który za satyrę na Hiszpanów został kiedyś w Wenecyi workami z piaskiem na śmierć zatłuczonym; brak w tej satyrze Woltera, którego za paszkwil ciężko pobili posiepaki smarkacza de Rohan; brak i takiego Swifta, którego Irlandya katowana witała jak swego Anioła Pocieszyciela, zbawcę i obrońcę. Powód tych braków również leży w klerykalnej psychice ogółu i również absolutnie nie należy do jej rysów zaszczytnych, to bowiem polska: *odmieńcowość*. Pierwszego St. Orzechowskiego nazwała w 16 wieku opinia polska *odmieńcem*, z genialną wy-



razistością zogniskowawszy w tem słowie psychę pierwszego polskiego publicysty, a zarazem utrafiwszy w samo sedno naszej duszy zbiorowej. Mówią biografowie Orzechowskiego, że po ojcu pochodził z rdzennie polskiej rodziny (krewnej i Rzewuskim i Chmielnickim), czyli zawierał w swej krwi już elementy oligarchicznego „reakcyonizmu“ i znowuż hajdamackiej anarchii. „Odmieniec“ Orzechowski, w jednej osobie i reakcyonista i rewolucyonista, to kto wie, czy nie symboliczna postać rzeczywistego Polaka. Kto wie, czy w każdym z nas, co na -ski się kończą, nie tkwi wielka, większa, niż przypuszczamy doza *odmienności*, wiekuistej połowiczności, kameleonowej zmienności, ugruntowanej na kobiecym pierwiastku w charakterze wszystkich słabych Słowian wogóle. Wielką jest skala tej *odmienności* w naszej psychice, bo zawiera w sobie i bezsprzeczną naszą genialność towarzyską, czyniącą nas wdzięcznym żywiołem salonowym, jak również i nasz, nie ulegający dyskusji nawet w Potsdamie, zmysł do dyplomacyi, ale zawiera także i ujemniejsze nieco załamki i załamania charakterów naszych, to jest kobiecą kameleonowość w przekonaniach i zasadach.

Ta „odmienność“ w psychice polskiej i związane z nią: wieczna gotowość ugody i kompromisów, układność czyli łatwość asymilowania się, dalej połowiczność w myślach, w czynie, w każdym dziele nawet, przywary fatalne, leżące w załączkach w naszej miękkiej naturze od wieków, wyhodowało starannie dopiero wychowanie jezuickie, które też tak zatruło ducha narodu, że nawet katastrofy historyczne i romantyzm polski nie zdołały do cna wytrzebić jezuityzmu z naszych stosunków wzajemnych, z naszych enuncyacji oficjalnych, z każdego charakterystyczniejszego faktu życia ogólnego.

Już Bona królowa zaczęła uczyć Lechitów obok *molezzy* i *grandezzy* włoskiej także i początków kunsztu hipokryzyi; ale dopiero biskup pruski Hose, zwany w Polsce Hozyuszem, wzmocnił tę całkiem zbyteczną, a często zniechęcającą do nas innych Słowian nutę w polskim impulsywnym, szczerym i dla włoskiej hipokryzyi trudno podatnym charakterze, sprowadzając nam na głowy całe falangi hiszpańskich i niemieckich mentorów a zelan-

tów idei Ignacego Lojoli i patra Canissiusa. Gdy najtęższe głowy już z szesnastego wieku z genialnym Ostrorogiem i Fryczem Modrzewskim na czele radziły nam unarodowienie Kościoła, tak jak innych sfer i dziedzin socyalnego i politycznego życia, unarodowienie wzorem potężnych państw i narodów europejskich i wyemancypowanie się z pod patronatu Rzymu, teraz właśnie król szwedzki, ale z ducha Niemiec, z pomocą niemieckich patriarchów (którzy w warszawskim swym kościele przez pół wieku 17 tylko po niemiecku kazania głosili), z pomocą całej korporacyi kosmopolitycznych uniwersalistów Rzymu zdołał odeprzeć patriotyczny ruch wyzwalańcy się od Rzymu i owszem nawet z „ozieblonych“ *freddo*-katolików, jak jeszcze donosił jeden nuncyusz do Rzymu, uczynić Polskę w 30 lat „najwierniejszą parafią Apostolskiej kuryi“, jak już donosił nuncyusz następny. Ówierć wieku wytrwałej i konsekwentnej pracy uczniów Lojoli, cezaro-papistów, tych zatwardziały wrogów nauk przyrodniczych i matematyki, historii polskiej i filozofii greckiej, tych mistrzów obłudnego pochlebstwa i panegiryzmu, tych wielbicieli a podpór wszelkiego typu absolutyzmów, wystarczyło całkowicie, aby spaczyć mocno zbiorową duszę szlacheckiego narodu; aby ze słynnie w 16 wieku toleranckich i toleranckie idee apostołujących Lechitów uczynić zaciekle pogromców wszystkich inne religie wyznających (z wyjątkiem jezuickich beniaminków: Żydów), wystarczyło do zatarcia śladów wszelkich zaczątków samodzielniejszej kultury narodowej i wystarczyło wreszcie do rozbudzenia takich instynktów tyranii w katolickiej większości narodu, że, przed ich przemocą chroniąc się, sprowadzać zaczęli bracia na braci, Polacy na Polaków falangi protestanckie — szwedzkie i hordy dyzunickie — ruskie.

Przypomnijmy sobie na tem miejscu jeszcze, że gdy różnowiercy wszyscy w krótkim czasie swego istnienia założyli przeszło 1500 szkół elementarnych i w tem kilka świetnych uczelni wyższych aryańskich, zwanych Ateńskimi, Jezuici nie założyli ani jednej szkoły elementarnej popularnej, a w konwiktach swoich i collegiach, ekskluzywnie szlacheckich, i w Akademii wileńskiej paczyli, psuli młode dusze mechanizowaniem praktycznej wiedzy, podręcznikami frazesów krasomówczych, judzeniem na



dyssydencję oraz dewocją, przechodzącą w jakiś pół meksykański kult dla fetyszów, w pół egipski dla skarabeuszów. Pokolenia, wychowane w tych wylęgarniach kastowego i religijnego egoizmu, wyszedłszy na świat dziejowy, zaczęły działać według Pisma Świętego: „wywiedź za bramy bluźniercę i niech go ukamieniuje lud cały“ i wnet pchnęły nam różnowierców w objęcia szwedzkie, wnet rozdrażniły do stanu złowrogiego wschodnią schyzmę (intrygi t. zw. błogosławionego Józefata Kuncewicza), wreszcie rozpały straszny gniew i pomstę torturowanego i masakrowanego kozackiego ludu. Trzeba im jednak przyznać, że tylko oni uratowali byt katolickiego wyznania w Polsce i podnieśli je do godności pnia narodowego, pchnawszy naród w kosztowną rolę „przedmurza chrześcijańskiego“, *antimurale Christianitatis*. Co prawda, uczynili to kosztem rzek polskiej krwi i strumieni polskich łez, zawsze jednak w myśl kardynała Hosego z Prus (który nie znał nawet języka polskiego, a mówił wyłącznie po łacinie), „że lepiej kraj oddać wrogom, niżli heretykom“ i w myśl maksymy kaznodziejskiej, „jeśli zginie doczesna ojczyzna, to przy wiecznej ostoim“.

Jakżeż tedy reagowała satyra, t. j. rzeczniczka opozycji rozumowej na tę hegemonię absurdu, kryjącego się za maską absolutu? Można by powiedzieć, szła z biegiem czasów, nie zdobywszy się ni w jednym typie na protest przeciw ortodoksalności owej choć cokolwiek podobny do analogicznych śmiałych ataków na Rzym ze strony satyryków włoskich, niemieckich, angielskich i francuskich. Trzeba jednakże przyznać, że nie oszczędzała ani derwiszów, ni bonzów, rozgospodarowanych, roztyłych i rozzuchwalonych bezprzykładnie. Idąc koleją wieków, wszyscy niemal satyrycy polscy atakowali sybarytów, każących „w imię Chrystusa, a żyjących jak wieprze“, nieświadomych szarlatanów i augurów, rozpowiadających uroczne cuda o królestwie niebieskiem, a podpierających ziemskie królestwo przemocy kastowego gwałtu. Począwszy od prastarej omszałej pieśni z czasów modrzewiowych horodyszczy i pierwszych feudalnych grodów i burgów, począwszy od tej z czternastego wieku:

„Kapłanie, chcesz polepszyć dusze swej  
Nje mów często: piwa należy  
Bocz piwo jest dziwny olej,  
Więc z nich kłamają chłopci (z was się śmieją chłopci)  
A rzekąc: szaleni popi...“

I odtąd już wszystkie zdrowe mózgi u nas krytykują „szalonych popów“ i ich polską gospodarkę. Nie zdobyła się nasza „wolna myśl“ satyryczna coprawda na tej kolosalności szyderstwa z mitologii, jak „Chmury“ Arystofanesa lub „Bajka o beczie“ Swifta, ale w każdym razie omal wszyscy nasi wredy i przygańcy, począwszy od Ostroroga, biskupa Ciołka, spiżowego hetmana Tarnowskiego (w Sztuce Wojskowej), Bielskiego, Wolana, Reja, nie wykluczając wcale naszych prałatów i biskupów satyryków, a kończąc na Krasickim, St. Potockim, Zabłockim, — wszyscy sprawiali „wszetcznej księży“ nie ochotnie przyjmowaną flagellację pręcikami Jokusa. Pierwsze zaś czasy ich dorabiania się i wgryzania w zanadrze narodu i zaskarbienia sobie łask rządzących i potężnych sfer wywołały całą imienną i bezimienną satyrę demaskującą. I dlatego, przyszedłszy do absolutnej władzy i trzymania narodu na pasku różańcowym, zaczęli ją wycofywać z obiegu, wykradać, niszczyć, palić na stosach, wydierać z niej karty kompromitujące, aż wreszcie solidarnym wysiłkiem całego duchownego stanu powołano do życia Cenzurę w roku Pańskim 1643. Dzięki jej rozbudzeniu zasnęła w drugiej połowie XVII wieku wraz z Satyrą i cała literatura polska i tak spała, aż póki Europą nie wstrząsnął smoczy śmiech Lewiatana Hobbesa, póki nie padło wielkie, całym światem wyższej ludzkości wstrząsające hasło: Wytępić ohydę! i aż póki u nas nie wstąpił na tron król oświecony, „co to był niby z Polski, a po polsku nie myślał“.

I jeszcze zależy zarejestrować nam, ostatnio może, jeden z walnych powodów względnej tylko siły polskiej satyry i nie najmocniejszego akcentu prawdy w niej, nie-sięgnięcia jej w sam ośrodek, w jądro zła, nie-zajęcia absolutnie potępiającego stanowiska, opartego na granitowej rafie negacyi w tem morzu spienionego głupstwa. Powód ten — to kombinacja dwóch przesłanek przytoczonych już, t. j. przejęcia się, przepojenia



kulturą łacińską, z wyżej wspomnianą afilozoficznością polskiego intelektu. Kiedy więc w rzymskich autorach znaleźli nasi pesymiści gotową formę kontrastowania artystycznego przez zestawienia cieniów marnej terażniejszości z jasnościami zapadłego złotego wieku (*aurea aetas*), kiedy w Cyцерonie wyczytali zbożny kult dla zmarłych, cześć dla dziadów, a w Juwenalu nawet melancholijną tęsknotę do tych czasów, „gdy to ziemia była jeszcze młodą, a niebo nowem“, wtedy szczerze polska niechęć do kontrolowania logiki argumentacji i niezdolność do poza-przyziemnego stosunku do świata i jego zjawisk, wskazały satyrykom naszym w tem porównaniu ze starymi czasami i w tem chwalstwie czasów przebrzmiałych (*temporis acti*) doskonały i wypróbowany ideał, dla żyjących zawsze niedościgły. To powoływanie się na ongiś świetne, patryarchalne czasy (których w rzeczywistości nigdy nie było), poczęte przez pierwszych satyryków każdego narodu, t. j. przez teologów na kazalnicy, w naszej satyrze przeszło wprost w monotonną manię. Urodzeni progressiści, bojownicy ulepszania, udoskonalania i reformowania, apoteozowali jakąś przeszłość fikcyjną i niebywałą, byle tylko kłuć nią w oczy, i drażnić, i kompromitować swoich spółżyjących. W bezkrytycznym zaś i niefilozoficznym uwielbieniu rzekomej złotej epoki zacierzawali się nawet tak silnie, że jako lekarstwo i środki na wszelkie zło podawali reakcję sarmacką, jako wzór, powrót do przestarzałych form i poglądów, to jeszcze Saskich, to za Sasów do błogich obyczajów Łokietkowych, Piastowskich, kmiecych. Stąd płynęła tej satyry czasem Janusowa dwulicowość, stąd szło, że lewa ręka mazała to, co prawa zaledwie napisać się ośmieliła. Stąd antyczny ton naszego przectwa, które w zestawieniu z Robespieryczną zuchwałością satyryków z ludu u np. najkonserwatywniejszego z najkonserwatywniejszych narodu, bo angielskiego, wygląda miejscami ledwie jak maruderska obstrukcja, jak kominkowe zrządzenie z cybuszkiem w zębach.

I teraz, zsumowawszy te argumenty, konstatujące dość może jasno relatywną, specyficzną polską manię wzdychania do mirażów przeszłości (zresztą także tylko jeden numer z katalogu

naszej ospałości myślowej), konstatujące dalej słabszość, nie-samodzielność i połowiczność satyry staropolskiej, chciemy sobie zdać sprawę z tego, co znowu tworzy siłę, urok i nieśmiertelną wagę tej bądź co bądź *magna pars*, lwiej części całego piśmiennictwa staropolskiego, poczętej widocznie z bezwzględnych potrzeb i impulsów plemiennych, skoro pierwiastki satyryczne odkrywać można i w autorach z całkiem innych gałęzi piśmienniczych, przedewszystkiem obficie w historykach, ba, nawet w pierwszych historykach polskich, jak w Janie z Niedzielska, Długoszu i w Marcinie Kromerze. I oto z góry stwierdzić należy, że nawet ta nasza satyra, tak stale chodząca w chomątach polityki, tak niepsychologiczna, Muza forensis i Muza pedestris, rozwołczona piechotnym rytmem w nieświeżej formie ryzsztunku po sejmach, sejmikach, zjazdach, synodach, konfederacjach, obozach, rokoszach, kołach, bijatykach i pijatykach, zawiera w sobie całe encyklopedye obyczajowości polskiej, całe panoramy już nigdy niepowracającego życia, całe muzea drzeworytów, sztychów, obrazów, szkiców, sylwetek, sytuacji, kreślonych czasem z niezrównaną energią plastyczną, czasem ze skrupulatnością holenderską, czasem z precyzyjnością lubujących się w swym przedmiocie kunsztarzy, czasem z impresjonistyczną wskroś werwą, a często z bajeczną szarżą karykatury. Można zarzuty czynić naszym piszącym zrędom, że zbyt folgowali rycerskiemu stanowi i jego magnackim trymalchyonistom, albo znowu, że nie mieli zmysłu dla syntez historyzoficznych. Nikt im atoli nie zaprzeczy tego, co Francuz nazywa *sensem konkretnym*, nie zaprzeczy, że posiadali prawdziwe poczucie rzeczywistości i jakiś swoisty naturalizm, wprost podziwu godny u Reja, Klonowicza, Kochanowskiego, Krasickiego lub Zabłockiego. Są między nimi śledziennicy i wątrobiarze, którzy w posępnych i opłakanych czasach z łacińska po polsku, klecili tylko niezwyklej długości jeremiaszowe tasiecmce, tnąc całe okresy z Juvenała, indziej z ciemnawego Persyusza, myśli temu wszystkiemu nadając Erazma z Czerwonej Grobli, a tylko kostyummy i dekoracye polskie. Ale są szczególnie w czasach humanizmu i encyklopedyzmu talenty z czarciej łaski, samorodne, o Bachicznym dechu, pełne krewkiej „*joie de vivre*“, tryskające rzutkim mięsopustnym



dowcipem i wesołością jakby leśnych satyrów; są: Ciołek, Cricus, Janicius, Gawiński, Dzwonkowski, Miaskowski, a w Warszawie rokokowej miłe pokolenie farmazonów, libertynów, wyznawców Voltaire'a, Parny'ego, Crébillona, Diderota: Krasicki, Morski, Ancuta, Zabłocki, Naruszewicz i wreszcie Węgierski, na którego pamięci ciąży wciąż paszkwil krytykistracki Siemieńskiego, wku-piającego się w łaski stańczykowskiej parafii chwalebne zohy-dzeniem pieśniarza Katarynejdy.

Wszyscy ci satyrycy różnych czasów to jedna wielka par-tya racjonalistów. U niektórych z nich ten racjonalizm w mniej-szej dawce, przytłoczony balastem worków z ortodoksyą, u innych mocny, wyzywający, szukający zaczepki i rozbijający tak tablice Mojżesza, jak i tablice z drzewami genealogicznymi, a przede wszystkim tablice złych, egoistycznych kastowych praw i przywilejów, przez samowładczą większość coraz bezkarniej uchwalanych.

Walczyć musi ta satyra czasem i na dwa fronty, przeciw stadowemu zasypianiu całego narodu szlacheckiego, tępocie za-sklepienia się i grzeźnięcia w swojskiem, rodzimem, jedynozbawczem głupstwie. A na drugim froncie znowu walczyć musi przeciw szalowi *xenomanii*, przeciw małpowaniu wszystkiego, co dekoratywne, szychowe, szykowne z obczyzny, przeciw temu, jak Kochanowski określa, „*postronnemu ćwiczeniu*“, które z Polaka czyni, znowu według Grochowskiego, „*wendetę wszystkich ludów*“, przeciw tej łatwości u Polaków („zebraków na potrzeby, a w zbytkach dostatnich“) oblekania się w cudze piórka z całego świata... we węgierski żupan, perski kontusz, hiszpańską krezę, włoskie płaszcze, w niemieckie pludry i w austriackie łańcuchy Złotego Runa oraz austriackie jezuitom poddaństwo.

A że niewielkim jest ten inwentarz „grzechów“ polskich, jak i niezbyt różnorodnym i psychologicznie ciekawem było tworzywo tej satyry, oficjalne rycersko-Cyncynnatowe życie polskie, więc i przez ciąg wieków powracają ustawicznie te same wzory na kanwie twórczej, które dziadowie wnukom, a ojcowie synom dzierzgają: podobne „tańce grzechów“ polskich, te same ronda przywar, kręgi zwycięskich i wiecznie powtarzanych

błędów, o których to już wawelski dzwon Zygmunta wedle starej legendy wydzwaniał: „wszędą błędy! wszędą błędy!...“

Powtarza się tedy konterfekt arcy-samca, Don Juan'a, zwanego kolejno: otrokiem, junochem, czuryłą, wietrznikiem, galantem, filutem, inwantem, drygantem, gładysem, firecykiem. Powtarza się u Kochanowskiego i Klonowicza lichwiarz, pieczeni-  
niarz, bajczarz, skąpiec, „luszczybochenek“: „Żona modna“, jako motyw satyryczny, jest i w 15-tym i w 16-tym i w 18-tym wieku stale. Cudzoziemszczyznę, to przesadne i epidermalne naśladownictwo wszystkich z całego świata błyskotliwości, wykpiwa już Kromer, poczem Modrzewski (głęboko odczuwający efekciarstwo naszej *nobilitatis*, imponującej chodaczkom *vestitu splendore*), Rej, Jurkowski, Grochowski, Zbylitowski, Gorczyn, Jagodyński, Twardowski, Naruszewicz, Zabłocki i inni. Na bakszysz polski i przekupne trybunały skarżą się Kochowski, Opaliński, Gawiński. Włóczegostwo polskie po mody zagraniczne, nie mające nic wspólnego z angielską podróżomanią, zwalczającą niewygody i trudy, ryzykującą życie, inicjatywną, zdobywczą, nowe ścieżki cywilizacji odkrywającą, to polskie wałęsanie się po Europie typu określonego nazwą „*ciconia ex Polonia*“ chłoszczą Kromer, Rej i znowu Naruszewicz i Staszyc. Żeniaczka dla pieniędzy szpetna powtarza się jako zarzut bardzo częsty, począwszy od najstarszego wiersza rubasznego: „pojął-  
bych i świnię z obory, byli miała złota pełne komory“. Rów-  
nież często rozbrzmiewa skarga na sarmacką niechęć do książki, barbarzyne lekceważenie wszelkiego druku, obojętność dla skarbów umuludzkiego, składanych w tych „trumienkach ducha“, na półkach książnic, library i „gabinetów lektury“, jak je zwano za Stanisława. W dobie najpotężniejszej Polski skarżą się na to porównu dwaj sobie najwięksi wrogowie. Grzmi Skarga Pawełski na kazaniu: „nie radzi czytaniem się bawia, a pieniądze, które na zbytkach tracą, na księgi żałują i choć im księgi darujesz, w kącie je porzucają“. A jego przeciwnik, kalwinista Wolan pisze:

„To jedno tu przydawam, że w Polsce przyjaźni  
Poetowie nie mają i są mało ważni.



Prawda im to sprawuje, według mego zdania,  
Która była na świecie, jako żywo, tania;  
Póki im fraszki piszesz, to radzi czytają,  
Pisz-że co statecznego, srodze się gniewają“.

Wiersz ten mimo 350 lat starości jest dziś tak samo chyba aktualnym, jak był nim za tego Grochowskiego, który pisał:

„Byś był Homerem lub wdzięcznym Maronem,  
Ano wymownym rzymskim Cyceronem,  
Nie przyniesieszli to i nie weźmiesz Maronie  
I Cyceronie“.

Takie wiersze, skarżące się na „nikczemne dole literata“ w Polsce, często uciekającego i żegnającego się z ojczyzną „nie-wdzięczną“, pisali i Zabłocki i Węgierski już w czasach, kiedy to „był już August, ale jeszcze rzadkie Maecenasy“, kiedy bajką mityczną był w Polsce taki protektor literatury, jak np. kardynał du Bellay, który niegdyś tym gościom swoim, którzy zdradzili się z tem, że nie czytali np. boskiego pornografa Rabelais'go, kazywał siadać wraz ze służbą w izbie czeladnej.

Powtarzają się w różnych czasach karykatury obżartuchów bez cerebrum i opilczych gąbek. Bardzo często czysto-ludzka etyka każe satyrykom zaczepiać prerogatywy rycerskie i dumę z klejnotu, opiewać wyższość szlachetności cnoty nad szlachectwem rodu i kpać z tych, co się wywodzili od Abrahama (jak Abramowicze), od Adama (Adamowcy), od Abła (jak Rayscy), albo wprost od Chrystusa, jak Topór-Korycińscy, na tej podstawie, że św. Józef był z profesyi cieślą, a oni w klejnocie mieli przecież: Topór. Również często ci potomkowie w prostej linii Mahometa i Dawida, obstawiani przez Oyców Jezuitów pełnymi kubłami kadzideł za swe męstwo Cezarowe, geniusz wojenny Hannibala, odwagę Sulli, hart Mucyusza Scaevoli i t. p., dostają tegie ciągi satyryczne właśnie za swe *zasiedzenie, zależenie* po dworach, za zniewieściałość, tchórzostwo, zniedołężnienie i dolcefarnientyzm w wiejskich Tusculach. Bardzo wielu satyryków, począwszy od Bielskiego (w „Seymie niewieścim“), Kochanowskiego (w „Satyrze“), Widawskiego (w „Exorbitancyach“), ciągle przypomina i grozi tureckiem niebezpieczeństwem, wykazuje tak sromotne zaniedbania kunsztu

wojskowego, że, jak to mówi uszczypliwie W. Potocki, „pod mieczem jako wyżyły gną się ku ziemi“, „ledwie że nie z nogami włożą w szyszak przodka“. Wielu gromi zanik energii Marsowej, zaparcie się właśnie tego rycerskiego hartu i animuszu, który był niby kluczem do skarbu przywilejów rządzącego stanu. Ci sami odwodzą szlachtę z całą energią od handlu i przemysłu, w przekonaniu, że, po pierwsze, ziemiaństwo to jedyna militarna siła, broniąca państwa, a po drugie, wiedząc, że na tem handlowaniu i przemysłu rycerskiej milionowe straty ponosiłby skarb Rzeczypospolitej wobec istnienia głupich praw, że towary szlachty są wolne od ceł, że zatem miejsce płacącego wielkie cła mieszczaństwa zajęłaby szlachta, pod której płaszczem również Żydowie sprowadziliby towary kontrabandą, a „Rzeczpospolita nieboga i w temby się chwiała“.

Dwa są z pomiędzy przewielu innych jednakże stałe generalne akordy, które przez ciąg wieków bierze prawie cała kapela satyryków polskich, mniej więcej czterdziestu męża licząca. Dwa powtarzają się motywy przewodnie, powracające upornie, dwie czerwone nitki, ciągnące się od omal kolebki narodu aż w czasy rozbiorów. A te są mianowicie: przygana kobietom, „płci subtelnej, piękniej jeno na wejrzeń“, i obrona chłopstwa, które było wedle Skargi „jako ziarno pod kamieniem młyńskim pod pany swymi“. Na tym temacie „przygany białogłowskiej“ i potępienia niewoli włościństwa schodzą się wszyscy satyrycy nasi, i księża, i wojownicy, i posesyonaci, i ziemianie, i żółciowcy, i wesołkowie, renesansowi i rokokowi, artyści formy i grafomaniacy, wszyscy! dając tem samem świadectwo przenikliwości wzroku i rzetelności swego przectwa. Jak już pierwsi kaznodzieje z chłopskiej Polski Łokietkowej i z niemieckich jeszcze miast krzyczą z czeska rubacznie na „zbytki białogłowskie“, na „córy fryjowne“, „jedwabie na plecyskach wycięte“, „szlepy na dwa łokcie, które służki dźwigają“, na „kapelusze wysokie na sześć łokci w górę“, podczas „gdy Chrystus tylko w cierniowej koronie chadzał“, tak i ostatni wykwinłi monitorowcy i galantni espriforci potępiają to utracyzustwo w modzie i wybryki luksusu u sawantek, u madam z redut, „żon modnych“, gwiazdek



baletu, metres kosztownych i rozrzutnych „ficygernek z fox-hallowych ensemblów“. Dużo jest w tych kampaniach i dyatrybach przeciw rządowi kobiecemu teologicznego ducha i starodawnej ascetyki chrześcijańskiej, potępiającej wszelkie wogóle „caro foenum“ nieczystego stworzenia i napominającej o „memento mori“, dużo ogólnoludzkiej walki dwóch płci o supremację, bardzo wiele także i zwykłego wpływu skrupulatnie czytanego Juwenala, który w zaciekłości gorzkiej przeciw zepsowanym obyczajom kobiet dochodził do siedmioletniej wierszowej furii, ale wiele także słuszności lokalnej, gdy się uwzględni, jak polski temperament ognisty folgował zawsze zbyt słynnym już w średniowieczu z urody Polkom, tym wedle słów satyryka z XV wieku, Łukasza z Koźmina: „karocom do nieba“. Najświetniejsze karty satyry polskiej poświęcone są wesołej wojnie z „paniami duszkami“ i z „pstrzącami się sroczkami“. Bielski, Zbylitowski, Paprocki, Widawski, Twardowski, Gawiński położyli w swych „Seymach“, „Przyganach“, „Dziesięciorgu przykazaniach“, „Kamoenach“, „Groszach“ i „Dworzankach“ trwałe podwaliny pod tę wieżę próżności samiec sarmackich. Grochowski, dowcipny mędrzec, doskonale odgadł związek, jaki zachodzi między tem lekkomyślnem poddaniem się rządcom świata rządowi kobiet a największym złem polskiem, na jakie i niemasz już usprawiedliwienia, a to we wierszu, dziś jeszcze żywym i świeżym:

„Ta jeździ czterma, owa poszóstnymi,  
Ta świetna strojem, owa służbistymi,  
A mąż nieborak często nie ma kopy,  
Więc ściska chłopcy“.

I oto przychodzimy do najciemniejszej strony życia niepodległej ojczyzny, do tej odwrotnej części pięknego, barwnego kobierca naszych dziejów, do kwestyi chłopskiej, oglądanej przez pryzmat „prawdźców“ ostrzegaczy, nawołujących do opamiętania, przez pryzmat racjonalistów, protestujących, można powiedzieć, w niebogłosy, a w rezultacie skazanych jedno na rolę „clamantis in deserto“, krzyczących na pustyni, pustyni egoizmów, które pierwsze o trzy wieki przed Bismarkiem wynalazły maksymę: „prawa za mocą idą!“

Była Rzeczpospolita bez żadnej kwestyi *Paradisus Judaeorum*, Eldoradem Semitów niemieckich, hiszpańskich, holenderskich, węgierskich. Również atoli była, jak określił Modrzewski: *Infernus rusticorum*, piekłem włościństwa. Temu nie zaprzeczą żadne maskujące sofistery przygodnych skrybów, tańczących na dwóch łapach przed glinianonogiem kolosowem kłamstwem o humanitarnej Polsce, bo tego zatuszować nie zdołał i nasz mesyanizm, przeznaczający Polsce (jak Victor Hugo Francji) wspałałomyślnie szczytną, ale na mocnym pokładzie ignorowania faktów opartą rolę „rozdawcy sprawiedliwości ludom“. Nie, i potrzykroć nie. Przyznajmy sobie szczerze, że do tej roli jak nie przygotował nas i wiek XIX, tak i nie przygotowało nas pięć wieków państwowej egzystencji, w których, przyswoiwszy sobie całkowicie etykę feudalizmu teutońskiego, pokochaliśmy ją tak serdecznie, że trudno nam się było z nią rozstać samym bez obcych bagnetów i armat pomocy. Zresztą sąsiadowaliśmy o ścianę z prusackim junkrem-nadczłowiekiem, którego kastowa etyka i potęga, tkwiąca żelaznymi korzeniami w krwawej ziemi krzywd i ucisków, działała przykładem swego powodzenia edukacyjnie zaraźliwie i niegodnie. Ale to zło, które Prusom dało siłę i zrobiło z nich szanowną i głodną zakałą całej cywilizowanej ludzkości, to samo zło zatruło, przegryzło i wyniszczyło nas, widocznie materiał ludzki organicznie już lepszy, etyczniejszy, do życia moralnego powołany.

Przerzucanie satyrycznych kart obyczajowości naszej od-ucza nas definitywnie od wiekuiistych złudzeń o sielankowej patryarchalności szlacheckiej symbiozy z chłopstwem i przekonywa nawet po odtrąceniu odsetka przesady poetyckiej o tem, że było u nas istotnie tak źle, jak w one czasy omal w całej Europie.

Była kiedyś pół-chłopska Polska spokojną, pastersko-szczęśliwą i słowiańsko-etyczną. O tak, kiedyś. Ale odkiedy Bolesław Chrobry i jego witezie, odkąd rycerze runiczni zaczęli się solidarnie kumać i łączyć i odkąd pierwsze zwycięstwo europejskiej miary odniósł oręż lechickich drużyn nad nauczycielem swego militarnego kunsztu, nad prusackim Zakonem, odtąd, od Olbrzycha ciemnieje dola polskich *kmethonów*. Od traktatu To-



ruńskiego, jak opowiada Długosz, „wszystko się zmieniło”; zwycięstwo oręża i siła, jak każda przemocy wygrana, zdeprawowała zwycięzcę. Poznanie bogatszych i kulturalniejszych siedzib krzyżackich i miast handlowych uzyskanego świeżo Powiśla wzbudziło żądzę i potrzebę wyższej skali życiowej i komfortowniejszego, byle bez pracy, bytowania. I odtąd też zaczyna się wieczna walka o władzę i przemoc, wieczna emulacja ze sobą możnowładztwa i szlachty po skrępowaniu trzeciego: chłopca-autochtona (który tu siedział od Ptolemeuszowych może czasów), po obaleniu go na niziny roślinnego ledwo życia, w otchłanie „*plica polonica*” kołtuna... Trzy czwarte Polaków, rolników, siewców, włodarzy, żywicieli żyło przez pięćset lat w wydziedziczeniu. I oto wszyscy omal bez wyjątku satyrycy polscy, wszyscy omal krytycy naszego życia, satyrycznie je oświetlający, potępiali ten stan, nie mając dość mocnych słów indygnacji w swym słowniku na wyrażenie zgrozy. Mówi magnat Opaliński, że „stu gęb i stu języków i to jeszcze mało potrzebaby na słuszne chłopstwa oppressyi wyrażenie”. Pierwszy historyk, Długosz, ukrywany, zabroniony, przemilczany, z gorącym oburzeniem konstatuje niewolę *plebis rusticanae*. Modrzewski wątpi wprost, czy niewolnictwo w Egipcie mogło być gorszem od niewoli kmieci naszych, i załamuje ręce nad tą *extrema miseria*, nad tą bezkarnością i okrucieństwem szlachty. Książd Warszawski pisze: „sroższą niż babilońska jest niewola chłopstwa naszego”. Klonowicz całe strony swych poematów i traktatów poświęca tyrańskiemu „odrzychłóstwu”, widząc, jak, „podeptawszy zakon i naturę rzeczy, człek zwierzęco wysysa szpik z kości człowieczej”, sam naocznie przypatrując się ekonomom, „jak pijawki krew ludu wysysającym”, „jak lwy afrykańskie znęcającym się nad barankiem”. Inny satyryk, *Starowolski*, sympatyczny staruszek, znany ze słynnej repliki szwedzkiemu Gustawowi, porównuje szlachtę do szarańczy, „trawiącej zarobki chłopskie”, „prześladującej chłopstwo jak bydło nieme, jako łby skopowe”. Inny znowu przyrównuje stan chłopski do wielbłąda, obciążonego tak ciężko, że na nogi nawet podnieść się nie może. A liczego tego i czcigodnego szeregu najmocniejszych mózgów polskich, a często

i serc gorących nie zamyka jeszcze i książd Naruszewicz swoją zwięzłą syntezą tych stosunków socyalnych, tym dwuwierszem:

„Bo w Polsce złota wolność pewnych reguł strzeże:  
Chłopa na pal! Panu nic, a szlachcie na więzę”.

Z prawdziwą dumą przychodzi w naszych czasach wyłaniać z morza sarmackiego samolubstwa te perły chrześcijańskiej miłości bliźniego, które brać rycerska przeżywała sobie „paskwilusami”, „kiepskimi chryjami”. Z rzetelną satysfakcją czyta się te często nieudolne, chropowate, kulejące strofy, klecone przez uczciwych tamtoczasowych pozytywistów, szlachciców, z weredytwa znanych, a często „w gorętszych terminach” potężnej reakcji z konieczności ukrywających się i pseudonimowych. Niekiedy ta pisana opozycja przeciw bezmyślnej tyranii wzrastała i potężniała do istnego zalewu druków, broszur skryptów, listów, „powstydeń”. Szczególnie, gdy w czasach bezkrólewiołów magnaccy „demofagowie”, głowy rodów, wychodziły na obławy, by fundować fundamenta dzisiejszych już resztek z pomocą florenów dworu austriackiego, kamer: śląskiej, pruskiej, francuskiej, z pomocą szwedzkiego, włoskiego i węgierskiego złota, gdy szli „panowie rada”, by ofiarować stolec Piastów najwięcej bakszyszu dającemu kandydatowi, wtedy formalnie wzbierała powódź paszkwilów i pamfletów, demaskujących nagą duszę tych notorycznych zdrajców, a patetycznych obrońców i rycerzy „złotej”, bo złoto rozdającej wolności.

Ile sił mieli w sobie satyrycy i ile ognia dusznego, tyle używali na bicie taranami dosadnego szyderstwa w cyklopie mury obłudy, egoizmu, płaczącego krokodylami łzami nad zamierającą Rzeczpospolitą, i bufonady, wyciągającej w kościele (obcym starosaskim obyczajem) las szabel w znak gotowości do pogromienia Osmanów, Tatarów i innych „wrogów wiary świętej”, a w braku tamtych tymczasem pod ręką znalezionych biednych, skromnych, jedynych bohaterów orleji myśli polskiej, Aryanów. Ile mieli kultury i talentu, tyle kładli w z góry przegrany bój ze zawsze zwycięskim i nieśmiertelnym kanibalizmem słabomózgiej, ale mnogością zer imponującej krociowej większości.



Niestety! nie było między tymi z miotłą Augiasza ani jednego z siłami Anteusza. Lecz i ci, co byli, dając w każdym razie dzieła choć negujące, ale poniekąd też i *rehabilitujące*, stali się polskiem potwierdzeniem tej w cywilizowanych piśmiennictwach szanowanej maksymy, że więcej pożytecznej i twórczej prawdy znajdzie się zawsze w jednym dziele *satyry*, niżli w stu tomach optymistycznego i podchlebczego *liryzmu*.

BALZAC W POLSCE  
I W NIEMCZACH



**D**ante XIX wieku mieszczańskiego, de Balzac z Tours, ma u nas dziwne szczęście do tłumaczy. Czy jest to jakiś naturalny objaw wdzięczności za sympatye, jakie miał dla Polski całe życie, — nie wiadomo, dość, że co dziesięć lat jakiś szczerzy jego lubownik obdarza nasz rynek księgarski (ostatnio zavalony formalnie tłumactwem kałmuckich jednodniowych archidziel) zazwyczaj bardzo poprawnem spolszczeniem tych utworów, z olbrzymiego magazynu firmy Balzac wyjętych, które najbardziej tłumaczowi przypadały do smaku. W przedostatniem dziesięcioleciu Sygietyński dał „Jaszczura“, „Arcydzieło nieznane“ i, niestety, dalszą pracę przerwał. W ostatnich zaś latach dwie rzeczy, może zębem czasu najmniej drażnione, wiecznie świeże i rozkoszne, można czytać w doskonałej polszczyźnie dzięki mr. Boyowi. „Fizyologia małżeństwa“ (1909) i jej antytetyczne skompletowanie „Małe niedole pożycia małżeńskiego“ (1910) — oto tytuły wiele obiecujące dwóch przemyłych brewiarzów, które się czyta, przewyższając pierwsze strony, może nieco myszką zalatujące, z wzrastającą satysfakcją, z przybierającym rozlubowaniem się, wreszcie z radością i weselem. Jak za życia autora, tak i teraz przy rozejściu się tych dwóch tomów w publikę świat czytelniczy rozdzieli się na zwolenników, wielbicieli „Fizyologii“ i na entuzyastów „małych mizeryi“; przy pierwszej staną zwartą kolumną piękne panie; małe zaś niedole, leciuteńko myzogynicznym sosem oblane, dostarczą dzielnej broni „żonkosiom“ w utarczkach małżeńskich i mogą stać się nieprzebranym arsenałem, skąd raz po raz wyciągać da się godzące w samo serce sedna pociski. Mr. Boy, tu i owdzie odchylający już boyowej przyłbicy, amatorskie swoje zadanie wypełnił z ultrafachowym pietyzmem, dosłownie śmiało, autentycznie prze-



swobodnie, a z gracyą. Tłómaczenie Balzaca nie zdaje się być rzeczą łatwą. Styl jego był wiecznem mocowaniem się kłępego, niezgrabnego, sapiącego żubra galijskiego z eleganckim, gibkim, wyfraczonym, ale znającym wszelkie „chwyty“ klasycyzmem. Balzac z wolną nabierał manier szermierza *l'art de bien dire*, na lustrzanie wywoskowanych posadzkach sunął z dystynkcyą rasowego *lion de Paris* (upiżmowany do niemożliwości), ale czasem dzika, kosmata, tytaniczna bestya brała w nim górę, aż dochodziło do rżenia w trzech tomikach „Jurnych fraszek“. W dwóch niniejszych książkach „Fizyologia“ ma jeszcze dłuższy przegadywania się i całe partye „kręcka“ refleksyjnego, odczuwa się tu jeszcze maniaka, który całe noce skrybując bez odetchnienia, walczy z sennością, mając chwile przepysznych jasnowidzeń duszy ludzkiej. W „Małych niedolach“ niema już tego współpisania debiutanta z wirtuozem, ale wszystko układa się w równy, wartki tok narracyjny, w którym boski Asmodeusz Paryża „restauracyjnego“ odkrywa powały „przeciętnej sypialni“, przeciętnego stołowego, przeciętnego salonu i z miłym uśmiechem zupełnie genialnego Lucyfera wskazuje palcem: jako to sobie radzą tam w tych domkach samiczka i samczyk gatunku *homo patiens*.

Tłómacz mr. Boy zżył się bardzo z dyrektorem „Komedyi ludzkiej“, różne jego kulenia z „Fizyologii“ podpatrzył i przebaczył, i nawet starał się je zatrzeć. Kołowania długich frazesów koło jakiejś idei, którą dałoby się krócej sprecyzować, wydają się krótsze u boya polskiego, niż u rekordmana prozy francuskiej. Nawet gry słów często nieprzetłómaczalne przewzyciężył Boy, zostawiając słusznie francuskie słowo tam, gdzie już „nic się nie dało zrobić właściwie“, np. *bouder* i *boudoir*. Dowcipy wszystkie lśnią się, jak nowiutkie, patyna czasów starta jest z taką delikatnością, że te wszystkie panie Foullepointe, Fischtaminel, Deschars i droga Karolina wydają się nam, jak nasze najdroższe współczesniczki, panie Lili, Zuzia, Bela, Ewa, a każdy z was, współczesnicy, może się, jak w lusterku, przejrzeć od stóp do głów w niecnym mężu, przedstawionym niegodnie, jako ofiara ze wszech miar niewiniątka Karolinki.

Słowem, gdyby za życia Balzaca były wyszły te dwa tomy, p. Tadeusz Żeleński byłby przez panią Hańską natychmiast zaproszony wonnym różowym, w 19 do 30 pałek koronnych zdobnym liścikiem, poczem w salonie musiałby usiąść tu przy kanapie pontyfikalnej, wszystkie damy nachylałyby nad nim swe dekolty aż do kompletnego zawrotu bojącej głowy, winszowanoby mu z egzaltacyą typową na krótko przed 1848 r., wreszcie wszedłby i sam Mistrz swym słoniowym krokiem, i na czole p. Tadeusza złożyłby pocałunek z głośnym mlaskiem, wywołującym znów grymas niezadowolenia na „pulchnej twarzy“ „nizkiej, otyłej jejmości“ (!), „kuzynki kilku królów polskich“ (?), „uważającej się chętnie za rosyankę“, „wieloletniej kochanki doktora Knotha“ (sic! Knotha), pani z Hańskich Balzakowej. I wtedy, wtedy możeby zauważył ktoś, jak dziwnie podobną budowę czaszki czoła i brody ma autor i tłómacz, jak podobne są te dzikie, zarosłe, krzyczaste brwi, ten krój ust, ten grymas u obu... A potem wszedłby lokaj z łącą, na której herbata, makaroniki i modny wonczas „imbier w cukrze“. I Tadeusz Żeleński z pulchnych paluszków pani Eweliny musiałby przyjąć najgrubszy imbiru kawałek.

Z popularnością Balzaca w Polsce między latami 1830 a 1850 żaden autor świata równać się nie może. Nie tylko wszystkie damy chciały być anielskimi Eugeniami Grandet, czy cierpliwymi paniami Hulot, ale cały szereg pisarzy, jak Bogucki, Wieniawski, Protasz, L. Potocki, Kunicki, naśladowali mniej lub więcej udatnie w swoich Obrazkach, Zarysach, Szkicach obyczajowych właśnie styl „rozmyślań“ „elektycznego filozofa“, opisując całą skalę rozmaitych gatunków na wybranym typie, herbaryzując niejako wszelkie reprezentacyjne rośliny małżeńskiego ogrójca, i wykładając o nich w sposób pół naukowy, pół rekolekcyjny, przeplatając dygresye filozoficzne anegdotami, z życia śmiało pobranemi. Oczywiście, wszystko to tonęło w zawieszonym i pełnym maki sosie moralizatorskim, w groźnie nieudolnem mentorowaniu „żółtodziobów“, rogi przyprowadzających statecznym obywatelom gubernii takiej a takiej... w srogiem karceniu „białogłów, nie pomnających na srom niewieści“. Dość nudną monotonię tych kilkunastu



książek, à la Balzaca „Małe niedole“ pisanych, okupuje wzruszająco szlachetna tendencja pisarzy i przede wszystkim swojska oryginalność jako takiej, ale zawsze własnej inwencji autorskiej.

Nie da się tego powiedzieć o niejakiemu Karolu Gustawie Vollmoellerze, dziś nam rówieśnym znakomitym dramaturgu niemieckim, który kult dla Balzaca posunął do granic... przewidzianych kodeksem karnym, wywołując w niemieckim świecie literackim skandal niebywały, a nas Polaków specjalnie bardzo obchodzący. W Niemczech obecnie tłumaczy się Balzaca masowo, wydaje kompletami, ba, nawet gra się na wielu scenach jego „Macoche“, jego „Mercadeta“ i t. d. Jedną jednakże z pierwszorzędných scen berlińskich wystawiła z wiosną bieżącego roku dramat jednego z pierwszych poetów zamkniętej grupy estety i snycerzy słowa, autora znanej poprzednio wykwintnej feudalnej tragedii: „Katarzyna z Armagnac“. Z Balzakiem nie miało to niby nic wspólnego. Rzecz nosiła wiele obiecujący, syntetyczny tytuł: „Hrabia niemiecki“, i w naczelnej postaci „grafa Totta“, wstawionego w środowisko francuskiej arystokracji za czasów Ludwika XV-go, dawała pełny i absolutny obraz rycerskich cnót szlachty germańskiej, z wielkim naciskiem na dwóch przymiotach szczególnie, t. j. zdolności do poświęceń bezgranicznych dla przyjaciela i do cichej, bezsławnej, a nawet heroicznej wierności. W znanym stylu aleksandryjskich stylistów, dykcją wysztucznienie piękną i wzorzystą toczy się akcja, zresztą bardzo ciekawa, będąca w rezultacie swym apologią jasnej, dobrej duszy feudalnego junkra. Graf Tott w przyjaźni swej dla francuskiego barona Fery posuwa się do swych granic, że obaj zakochują się w jednej kobiecie, on, niczem tego poznać nie dając, usuwa się, i nie tylko pozwala żenić się z nią francuskiemu przyjacielowi, ale kupuje i urządza im pałac, zostaje majordomem ich i intendantem, sam mieszka „nad stajniami w antresoli“, żyje na uboczu, dogląda służby, słowem, ściśle swemu przyjacielowi gniazdko i pilnuje go przed grożącymi jastrzębiami-uwodzicielami. Kiedy piękna baronessa Fery, zaintygowana tą ofiarną przyjaźnią, zaczyna zwracać nań nieco uwagę, niemiecki hrabia

posuwa swą „*Deutsche Treue*“ do tego, że udaje głupowatego, niezgrabnego półgłówka, znudzonego jej widokiem. Gdy zaciekawienie nieodrodnej córki Ewy jednakże wzrasta i przybiera cieplejszy koloryt, *niemiecki hrabia* decyduje się, by tylko uratować szczęście przyjaciela, wzbudzić w niej obrzydzenie do siebie raz na zawsze i finguje stały stosunek z piękną profesjonalną, z tancerką Binetti... Cichy, w sobie zamknięty, bywa codzień u Binetti, składając zawsze *jednego lousidora* na kominku, tłumacząc tancerce, że podobną jest niezwykle do jego córki, i wzbudzając nadto u mamusi tancerki podejrzenie jakiegoś niesłychanie zbrodniczej perwersji tem melancholicznem beczynnem wysiadymaniem... Wreszcie na ukoronowanie wszystkiego bierze na siebie karciane długie hr. Fery, jako rzekomo swoje rujnowanie się na gwiazdkę baletu... i w rezultacie osiąga — co zamierzał: hrabina żywi dlań odtąd pogardę, wstręt, obrzydzenie, podczas kiedy ona dlań jest całym światem marzeń, pożądań, nocy bezsennych, tęsknot, szarów. Wreszcie hrabia francuski przyjmuje od przyjaciela niemieckiego nawet legat, a ofiarność, wierność potulność Niemca dochodzą do apogeum istnej świętości.

Oczywiście „*Der Deutsche Graf*“ (wytwornego poety i fabrykanta automobilów równocześnie) przyjęty był w Berlinie z wielkim aplauzem, a jako książka — z głębokim, pełnym szacunkiem krytyków, ujętych szczególnie urokiem plastyki zawsze „najwierniejszego alianta“ grafa Totta... junkra...

Tymczasem jednak okazuje się, niestety, że cały dramat jest nie już zuchwałym, ale wprost urągającym wszelkiej rzetelności pisarskiej plagiatem noweli Balzaca: *La fausse maitresse*. Znany krytyk berliński Feliks Poppenberg z druzgocącą logiką zdemaskował gentlemiana-poetę, porównując i zestawiając szczególnie po szczególe i na jaw wydobywając to przede wszystkim, że bohaterem cichym noweli Balzaca jest Polak z krwi i kości, polski *hrabia Pac*, nawet pod swoim nazwiskiem w noweli figurujący.

Plagiat jednego z „pierwszych skończonych wirtuozów słowa“, „odgrodzonych od wrzasku życia arystokratów ducha“, „marzącego symbolami wizyonera zamierzchłości“, nie jest by-



najmniej jakimś tylko tematycznym oparciem się na Balzacu, nie jest przybraniem sobie pewnych dramatycznych momentów z sezamowego skarbcza „Komedyi ludzkiej“, czego wielu autorów w XIX-ym wieku pokonywało z przesadną swobodą; nie jest też dokończeniem sobie pewnych figur czy sytuacji, co dość gęsto praktykuje się na Zachodzie (nawet Goethe do swego Claviga wycofywał całe ustępy z pamiętników Beaumarchais'go), ale jest systematycznym, ścisłym, na sceny rozłożonym tłómaczeniem omal Balzaca scena po scenie, figura po figurze, sytuacja po sytuacji. Przekręcenia polaka na Niemca pozwolił sobie esteta-eskamoter niemiecki, idąc za przykładem swego kolegi Juliusa Joachima, który, wystawiając w magdeburskim teatrze miejskim ekskrementalia mózgowe p. t. „Moskau“, dla niedrażnienia trzody teatralnej czerwoną chustką polskości, oszustniczo z hrabiny Walewskiej zrobił rdzenną Rosyankę, oddającą się Napoleonowi dla uratowania Moskwy przed pożarem. Trzeba jednakże przyznać wytwornemu stylisście Vollmoellerowi, że i poza germanizacją Paca pewnych zmian dokonał; nazwisko hrabiego Adama z noweli przemienił na barona Fery; baletnica jego *fausse maitresse*, Binetti, u Balzaca nazywa się Malagą i jest w cyrku... nie w teatrze; rzecz cała dzieje się — nie jak u Balzaca za Ludwika Filipa, ale feudalniej, za Ludwika XV-go; no i wreszcie, kiedy hrabia Pac zostawia Binetti na kominku zawsze *два louisdory*, niemieckiemu grafowi Tottowi każe „arystokrata ducha“ (ale i oszczędny prusak przytem) p. Vollmoeller zostawiać: *jednego louisdora*.

SZEKSPIR PO POLSKU



**S**zekspirowski rok jubileuszowy przyniósł nam rzecz bardzo doniosłej wagi, bo dwunastotomowe, może jeszcze nie definitywne, ale już krytyczne i ekletyczne wydanie jedynego dosłownie nieśmiertelnego dramaturga-taumaturga. Z dotychczasowych tłumaczeń grono znawców pod kierunkiem przezacnej pamięci St. Krzemińskiego wybrało najlepsze, to znaczy te, które łączą w sobie przymioty rzadko w przekładach, a jeszcze rzadziej u kobiet podobno spotykane, t. j. wierność i piękność. Każdy dramat poprzedzono wstępem, a całość zamknięto pracą o „Szekspirze w Polsce“.

Z góry zaznaczamy tu, że jak konkludujący edycję szkic dr. L. Bernackiego w sposób może zbyt pobieżny tylko i bynajmniej nie wyczerpujący temat tytułu przeprowadza, to w rekompensacie biografia krytyczna i wstępy poszczególne dr. R. Dyboskiego są prawdziwą chlubą, ozdobą i magnesem nowego wydania.

Bogate w treści, sumienne w metodzie, nowoczesne w formie i w duchu, dają one rzetelną wiedzę o Szekspirze a zarazem artystyczną satysfakcję czytelnikowi; zadowolając zaś i rzeczoznawców przedmiotu u nas, zadowolilyby chyba i najpedantyczniejszych egzegetów Szekspira zagranicą.

Radować się z tego wypadnie specjalnie, gdyż w szekspirologii europejskiej, liczącej dziś przeszło cztery tysiące tomów, t. j. tworzącej sporą bibliotekę, prace polskiego mózgu reprezentowane są w ilości kompromitująco nikłej. Rzecz tem dziwniejsza, skoro się zważy, że kult dla twórcy 37 organizmów dramatycznych rozbudził się w Polsce chronologicznie stosunkowo bardzo wcześnie, że, raz rozbudzony, miał tak możnych



i hojnych przedstawicieli, jak król Stanisław, księżna Izabella z Puław, kasztelan Wężyk, margrabia Wielopolski i inni; jeżeli się przypomni, że od czasu do czasu kult ten dzięki potężnym indywidualnościom aktorskim, rozkochanym w kreowaniu ucieleśnień Szekspirowskich, wzbierał potężną falą zainteresowania w inteligencji, i jeżeli się doda w końcu, że świat Szekspira jak i świat angielskiego dramatu Elżbietańskiego wogóle, jest bądź co bądź ze wszystkich światów wizyjnych, światów wyłonionych z głów twórców najbardziej nam z ducha bliskim, najbardziej... polskim.

Jaskrawość i ostrość tego paradoksu zblednie i straci znacznie pozornie niespodziewanego odkrycia, jeżeli zwykły nawet czytelnik z odczytaniem historycznym (jakich u nas przecież jest tak... wielu) zechce łaskawie przewertować kolejno po sobie dwie książki, t. j. Taina „Literaturę angielską“ i Wł. Łozińskiego: „Życie polskie“. Wtedy to zaczną powoli nasuwać się bijące w oczy analogie i bliźniacze podobieństwa między paralelnie wziętem późnym średniowiecznym polskim a angielskim, między epoką odrodzenia u nas a w Albionie; wtedy to bajecznie kolorowa, gwałtownie wybujała, żywiołowo krwista, dziko zgiełkliwa, krewko popędliwa obyczajowość wesolej Anglii okaże się nam bardzo jakoś bliską, krewniaczą, ogromnie sympatyczną. Gdy w żadnej innej historii narodu europejskiego i w żadnym wtórnym ich odzwierciedleniu, t. j. w dramacie, nie znajdziemy zupełnie lub znajdziemy bardzo mało analogii do naszego bytowania w XVI czy XVII wieku, tu, w tej Anglii rubasznej i zawadyackiej, pieniackiej i pijackiej, indywidualistycznej, z nadmiaru sił i zasobów rozlewającej się szeroko po brzegi dyscyplin i imperatywów etycznych, na każdym kroku natrafiamy na bliskie nam dusze i animusze, na podobne naszym problemy tragiczne i konflikty, cnoty i zbrodnie, na te same formy i dysformy życia, na tę samą dynamikę spotężnionego do ostateczności impulsu i impetu życiowego.

Czasem wydaje się nawet, że tylko jeden czynnik, co prawda najsilniej zawsze kształtujący i rytujący duszę narodu, zrobił z Albionczyków najpotężniejszy i najszcześniejszy naród

świata, a brak tego czynnika ze Sarmatów najnieszcześniejszy, najbezsilniejszy, t. j. morze. Przesłanki charakteru i zadatki rasy wydadzą się nam omal że te same, a w każdym razie niezwykle, frapująco podobne. Tak się jakoś upodobniają wielmoże Gloucestery czy Suffolki do Firlejów czy Kmitów, Mortimer z Masławem, Oleśnicki z Wolseyem, tyle w tej ekspansywnej, rozhukanej wewnątrz Anglii Zebrzydowskich a Orzechowskich; Sędziwoja całego odnajdziesz w Alchemiku Ben Johnsona, Henryki idą koleją naszych Bolesławów i Kazimierzów, walczą z sobą w Polsce pokoleniami Białe Róże z Czerwonemi Różami, roi się w każdym województwie od Chudogęb i Falstaffów, lady Makbeth niejedna *hic mulier fortis* chodzi po krużgankach kresowych zamków, w dziewicach polskich ta sama jest słodycz ofiarna Kordelii, Imogen, Wirginii, Mirand czy Rozalind, w Stańczyka Lirowego geniusz poety tchnął głębię uczuciowości jakiegoś *poor fool'a*, gorzkiego błazna Zygmuntowego; Leszek, Maćko Borkowic, Goworek, Włodkowa, Anna Chrzanowska, Kostka Napierski tak się dadzą widzieć plastycznie w dramatach Marlowa czy Massingera, że dziw doprawdy bierze, jakim prawem kaduka los podniósł tak wysoko więcej Kalibaniczny niż Arielowy naród Anglosasów, a wdeptał w taką niedolę naród Sarmatów za to tylko, że się w całości upornie wdał w typ Hamleta, a nie w typ przeczytanych twórczo Prus nowoczesnych usymbolizowanych — w... Jagonie. Jak w nadbudowie artystycznej epoki Elżbietańskiej, t. j. w całym kompleksie dramatycznej twórczości ówczesnej, tak we wszechświecie Szekspirowskim już najszczególniej widzi się co moment to jakby jakieś fatamorganatyczne odbicie obrazu spotęgowanej tylko niesłychanie obyczajowości angielskiej, ale i... naszej. I ten i tamten naród przechodzi fazę zdrowego dzieciństwa.

Wszystko jest w nich wybujałe, rozkipiane, nieokiełznane, bez szranków i granic. Miłość tych sękatych, żylastych natur półbestyalskich objawia się furią tytaniczną, nienawiść jest obłędem tylko żelazem uleczalnym, zazdrość zarazą trawiącą, żądza zemsty staje się piekłem.



Popędliwość ślepych chuci i zapalczywość głów wrzących nie znają hamulca i nad Wisłą i nad Tamizą. Cały naród ciągle pod bronią o byle co rwie się do korda i nikt nie śmie być pewnym swego życia, swego jutra, swego mienia, swego dziecka; w Kornwalii i na Podolu zamki bywają burzone i równane z ziemią, przysypywane solą, języki oszczerców wyrwane i psom rzucane na karm, oczy wrogów wypalane pochodniami, wojewodzianki czy countessy tańczą po trzy dni i trzy noce z rzędu, kasztelanowe gonią na kulbakach końskich, prowadząc na czele hufce rycerskich zbirów - bohaterów przeciw najbliższemu. Król polski wobec dworu bije w głowę posła, ze złą nowiną podchodzącego, królowa angielska wali na odlew w pysk hrabiego Essex, kiedy ten pożąda innej „rząc nieprzystojnie“.

Można być pewnym, że językiem Szekspirowskim, tą rozpustnie bogatą, niepowściągliwą, rozpasaną szermierką słów, to karczemnych i stajennych, to płomiennych i gromkich, to znów pokornych i łaszących, upojnie pieszczotliwych i aksamitnych, że tą dykcją to warczącą, to szczebioczącą, to miodopłynną, to piołunową, raz melankolijnie seledynową, raz od namiętności purpurową, że językiem 24 tysiące słów liczącym, tak kapryśnie bogatym w moc ukochanych Szekspirowi neologizmów i latynizmów a będącym dziś istotnie największym skarbcem korony angielskiej, że mową taką mówili naprawdę Brytanie z czasokresu Maryi, Elżbiety i Jakóba, a analogicznie rozbijała i wymyślała Polacy z czasów Stefana, Zygmunta i Władysława.

To się odczuwa intuicyjną i to się odkrywa przy równoczesnej lekturze „Ogrodu fraszek“ Wacława Potockiego i takiego np. „Koryolana“, w którym oczarowany do gruntu świeżo poznana rzymską historią komediant-samouk Wielmoże Shakespeare ubiera tylko grube, szorstkie, sobie spółczesne angielskie olbrzymie dziecka ludzkie w rzymskie togi i sandały. Może się to wydać fantazją zbyt dowolną czy za włosy ciągnionem zestawieniem, ale już ledwie lekko tą hipotezą zasugerowana lektura dramatów Szekspira otworzy pole i pozwoli odnajdywać w minionych oplenionych wiekach XVI i XVII-tym istotne powinowactwa między tymi dwoma narodami tak rozkochanymi w ideale wszelkich wolności politycznych, narodami żyjącymi w Europie

najwcześniej w formach parlamentaryzmu, decentralizmu i federacji, narodami tak pospólnie sensualistycznymi, a-muzykalnymi, a-filozoficznymi, a-formalistycznymi, między temi rasami tak wyjątkowo i bezprzykładnie uzdolnionymi do najwyższych, najpodniebniejszych, najeteryczniej lirycznych wzlotów myśli romantycznej, jak i do właśnie przyziemnego, robaczego, bez opamiętania grzęźnięcia w rubasznych trywializmach żywota.

I dlatego, mojem zdaniem, jakiś nieistniejący w literaturze, ale imaginatywnie w pomyśleniu możliwy twórca potężnych dramatów z dziejów polskich musiałby (pomimo wszystko, co się da przeciwko temu zaargumentować) przedewszystkiem wyrobić sobie tych dziejów generalną koncepcję czysto-szekspirowską i przejąć się, przepoić nawskroś duchem i barwą Szekspirowską.

Do tej koncepcji dotychczas najgenialniej zbliżył się, jak wiadomo, Słowacki i on też prawdopodobnie byłby dał wizję dramatyczne z polskich dziejów ogólnieuropejskiej wagi i sławy, nie tylko wieczyście skazane na rozwierzgane kopyto zachwytów swojskiej krytyki, gdyby nie to straszliwe zwycięstwo w jego charakterze kobiecych, poddańczych, bluszczowych, miękkich elementów, a co za tem idzie, późniejsza nieszczęsna psychoza mesyanistyczno-mistyczna.

Po Słowackim następnie i ci wszyscy twórcy, którzy z uczciwością twórczej intencji i z sumiennością przeżywających przeszłość myślicieli imali się pracy, mieli pewne przeczucia konieczności tej, tylko u nas Polaków całkiem uprawnionej Szekspirowskiej dziejów koncepcji.

Przezucie to daje się wysledzić w Bełcikowskiego „Mieszkę II“, w Korzeniowskiego „A. Batorym“, w Romanowskiego „Piaście“, w Wyspiańskiego „Bolesławie Śmiałym“, nawet do pewnego stopnia w Faleńskiego „Królowej“, W. Rapackiego „Wicie Stwoszu“, K. Glińskiego „Kazimierzu“, t. j. w utworach nieprzemijającej, nie repertuarowej a literackiej wartości.

W każdym z tych utworów daje się po skrupulatnem studyum wysledzić choć cząsteczkę, echo, kryształek z kosmosu twórczego Szekspira, czasem już tylko z drugiej ręki branego, z W. Hugo dziko-romantycznych transpozycji. Niema zaś nie



ni z elementu ni z elementarności Szekspirowskiej w tych dramatystach, którzy dzieje narodu liznawszy jeno jak barany sól po wierzchu popularnych szkolnych podręczników, sporządzają z tego potem *sine ira et studio* redutowe jasełka z kolorkowymi manekinami, te wodewile bez muzyki, a raczej czteroaktowe preteksty do przewietrzania na scenie stylowych, starych rekwizytów. Ci liweranci dzisiejszości zaparli się po trzykroć praszczura Szekspira i wszelkiego z nim powinowactwa z wyboru. I zaparli się słusznie. Ale takie zaparcie się, całkiem usprawiedliwione i wybacalne u rymodławców turniejowych, scenizujących zresztą podrzędne figury i pokątne wypadki z dziejów, zgoła jest nie do darowania u poetów urodzonych (*poeta nascitur*), uwierzytelnionych w państwie literatury posłów Piękna, którzy, śmiałą ręką budząc ze snu Wawelskiego królewskie trüchła, wyciągają je na deski teatru (przy sposobności życie niepodległego narodu podległemu narodowi przypominające), nie ze zgrozą do szpiku kości wstrząsającą, nie jako upokorzające, policzkujące memento, nie w straszliwym majestacie bezpowrotnych już wspaniałości i splendorów, nie z patosem Lirów, nie z głębią psychiczną Ryszardów, nie z potęgą dynastycznej woli Henryków i nie z tą posępną, bolesną pokorą, z jaką np. Wyspiański imał się królewskiego tematu Bolesławowej Polski... ale z bezceremonialną obojętnością przeciętników literackich, wynajdujących sobie tylko efektowne tematy z królami degradowanymi i detronizowanymi do roli dobrych ról, egzaltujących mob teatralnych i jego rzeczników reporterów premier. Dla tych to autorów Szekspirowskie Chronical-Histories z angielskich dziejów powinny być niemym wyrzutem, czy głośnem przypomnieniem tego, z jakim to *dystansem do patosu*, z jakim rojalizmem bogobojnym, czy poddańczym szacunkiem największy geniusz szanującego się i najszanowanego narodu odnosi się do zbrodniczych nawet po tragicznie grzesznych żywotach w śnie wiecznym w podziemiach Westminsteru spoczywających monarchów swej rasy. I z tego też więc powodu nowe wydanie wiecznie aktualnego, wiecznie na dobie będącego, ergo nadobnego *Shakescena*, „wstrząsacza sceny“ Szekspira jest, zdaje się, bardzo na czasie. Przypomina bowiem egzemplarycznie, że dramat histo-

ryczny jest gatunkiem twórczości dramatycznej nigdy nie obumarłym, co pokolenie nowe odradzającym się, niezrównanie żywotnym i odżywczym, o ile tylko nie tykają go obojętne ręce rękodzielników czy majstrów sprawnej techniki, tych *play-wrightów*, cieślów i stolarzy sztuki, podstawiających swe żabie nóżki tam, gdzie kuja kopyta Centaurom, i dających w ten sposób sposobność konfrontacyi ich plebejskiej małoduszności z olbrzymiością i tragicznym *Etosem* dynastycznych czy narodowych problemów.

## II.

„Tragiczne w ludnym igrzyska Londynie  
Choć nie są według praw Horacyusza,  
Jednak na cały świat ich chwała słynie,  
W pięknych dam oczach rzewne łyzy porusza.  
Myśl w nich jest przednia, gładkość słów w nich płynie,  
A wdzięk ich czuje i serce i dusza.  
Nic to, że z dawnych praw scena wykroćzy,  
Dobra jest, kiedy łyzy wyciska z oczy“.

Tak dwieście lat temu bez mała utrafił w sedno tajemnicy literalnej nieśmiertelności Szekspira jeden z naszych dostojnych kolegów, a zarazem jeden z licznych członków wysoce cerebralnego klanu Rzewuskich, hetman Józef (pseudonim Wacława), autor tragedyi o Warneńczyku i dwóch komedyi o „Dziwaku“ i o „Natręcie“:

Istotnie bowiem, nie można sobie wyobrazić dzieł sztuki *bardziej wykraczających z jakichkolwiek praw* i kanonów przepisanych wszelkiej twórczości scenicznej, mniej troszczących się o wszelkie prawa Arystotelesa czy Horacyusza, więcej i silniej swem zaistnieniem ośmieszających powagę teorematów wszelkich Boileau'ów, jak każdy utwór Szekspira nawet z tych, co są *doubtful plays*, a które jeszcze dziś i za sto lat będą miały więcej krwi tętniącej i rumieńców życia w sobie od wszelkich architektonicznie nieprzygannych, solennie retorycznych, klasycznie skostniałych arcydzieł Corneille'a czy Rasyna, już dziś dla swej udrapowanej nudy całkiem nieczytelnych a zgoła nienieśmiertelnych. Najbliższa nawet z najpośledniejszych kronik historycznych Szekspira obala w proch emfatyczne



zdanie Lessinga, że „zasady dramatu są tak nieomyślne, jak twierdzenia Euklidesa“. Wątpliwie nawet „Tymon Ateńczyk“ podaje w wątpliwość maksymę Goethego, że: „dramat polega na wykluczeniu momentów, opóźniających rozwiązanie dramatu“.

W dramacie Szekspira bowiem panuje właśnie *zasadniczo* natłok „momentów opóźniających rozwiązanie“. W akcję nie tylko wchodzi, ale rozpycha ją i przepełnia, wstręty, szczegóły, narosty, ingrediencye, sceny ornamentalne, pozornie najmniejszego związku z tokiem dramatycznym niemające; heroizm tuż przed rozstrzygającym aktem woli i siły zapuszcza się w rezonowanie; błazeństwo niesforne spycha ze sceny monolog cierpienia, kumoszki wszczynają gawędę właśnie w momencie, w którym miała być rozstrzygająca rada wojenna królów. Całą tę pstrą życia ludzkiego płataninę, cały ten gąszcz barwnej oczywistości, całą tę szeroką rozlewność zjawisk istotnych i wymarzonych bajkowych, daje Szekspir nieotamowaną, niewykarczowaną, nierozpłataną.

Każdym dodatkiem niespodziewanym, zbytecznym, nawet irytującym, udowadnia twórca Henryka VIII, że *le superflus chose très nécessaire*, że miernotę ślepo obowiązująca maksyma, o nieodzownym w dramacie „ograniczaniu się, a przez to pogłębieniu“ traci wszelki walor imperatywu estetycznego w praktykach wielkiego talentu. Akcja tych często tylko rozdyalowanych romanów czy nowel nie tylko nie posuwa się z „zegarową punktualnością“ naprzód, ale utyka raz po raz, rozkłada się wygodnie, nawet zasypia czy wpada w letarg.

O jakimś poprawnym czy choćby „porządnym prowadzeniu przebiegu“ nie może być mowy tam, gdzie Wilhelm Zdobywca Świata zwala na kruche deski sceny w swój „kurnik niegodny“ jakby odłam globu, gdzie w straszliwym widowisku okazuje mrówczej hołocie ziemian, jak to najpotężniejszy niekiedy człowiek pod żarnowym kamieniem Losu bywał i będzie starty w proch, jako ziarnko zboża, lub jakto z takim trudem przez mocnego, bohatera zdobywana i zdobyta wreszcie potęga indywidualistyczna wobec ślepego Trafu Wszechmogącego jest parasolem zaciskany w rękach kurczowo podczas trzęsienia ziemi.

Szekspir nie tylko nie stosuje się do żadnych „prawideł“, nie tylko ignoruje obowiązujący już wówczas Ben Johnsona czy akademistów styl tragedii, Seneki, nie tylko nie troszczy się o jakieś staranne ustosunkowanie, uplanowanie poszczególnych części akcji czy o jakiś perspektywiczny układ faktów i ludzi; on nawet istnienia tego wszystkiego nie dopuszcza do swej świadomości. Niema tu żadnego „rozmysłu w organizowaniu dramatu“, ani „żelaznego rusztowania konstrukcyi“, niema nic, ściśle nic z harmonii *greckiej*, z symetrii *francuskich* Cynn i Cydów, Rodogund, Polyeuctów, Nicomedów, Meroów, Medei...

Tu już widocznie to Szekspirowskie przenikające wskroś jasnovidzenie duszy ludzkiej z jej wszystkimi szczytami, przepaściami, labiryntami i ten obraz wszystkich po wieczne czasy możliwości uczuciowych serca ludzkiego, jaki zostawił „Wstrząsacz sceną“ w *universum* swej twórczości, nie dał się widocznie przelać, jak wino z miechów w butelki jednakowego formatu, w jakieś powtarzające się ustalone już, czy też w spadku przejęte gotowe odlane normy czy formy dramatyczne. Całkowitość rzeczywistości ludzkiej plus całkowitość wyrojonych baśniowych marzeń, przeniesione wprost w pełni i w potęgę na sceniczne rusztowanie fikcyi między trzy ściany dekoracyi, nie mogły oczywiście poddać się obrzezywaniu, komponowaniu, obcinaniu na rzecz nawet górnego ideału estetycznego, jakowychś greckich jeszcze np. „potrójnych jedności“. Olbrzymia polifonia życia, jedyna jedność życia z jej fortissimami czynów i pianissimami uczuć, ze wszystkimi dysonansami została z imaginacyi w rzeczywistość sztuki z temi samymi niekonsekwencyami i przypadkowościami, z tym samym brakiem logiki w tym samym nadmiarze i w bezładzie, jaki widzieć się zawsze daje i podziwiać w tej polifonii życia stanie jeszcze statycznym, surowym t.j. w samym życiu.

„Słodką nieregularnością“ Izabella Czartoryska definiuje tajemnicę uroku Szekspirowskiego, choć jej współcześnicy wyznawcy Boala, protoplaści tych dzisiejszych legitymistów czystego dramatu (tak przeważnie wygodnie bezpłodnych i tak bezradnie stojących ze swymi teoryjami wobec wciąż aktualnego fenomenu



Szekspira) oburzali się już wtedy na te utwory nieproporcjonalne, bezładne, zawsze w swej posepności nieprzejrzyste, na te „z grubą nieumiejętnością ciosane mamidla, nie dzieła gustu“, usprawiedliwione chyba tem tylko, że są one jako obrazy wystawiające „obszerne a wolne samejże natury postępowanie“. Ale już wysoce światła księżna z Puław, ta typowa w wieku XVIII-tym dyletantka, miała intuicyjną świadomość (często niebywałą u fachowych mędrców literackich), że tak przebogata, przewalająca się obfitością rozpetanego życia Elżbietańskiej epoki, jak wogóle cały ten nieskoordynowany, niezjednoczony, dziewiczo-bytny chaos bytu w nowoczesność odradzającego się średniowiecza wraz z psychiką ludzi rasy Szekspirowskiej, t. j. antypodów klasycystycznego dramatu Francji, tak nie dałby się wtłoczyć w poprawnie zbudowane kamery francuskiej formy, jak nie dałby się w rokokowym buduarze zamknąć Otello ze swą furją lub sir John Falstaff pomyśleć na tle strzyżonych pod oko szpalerów ogrodu Lenotra.

To samo znacznie już później odczuwał i kasztelan Wężyk, który choć otoczony fanatycznymi wielbicielami klasycznie pięknościowych i pustodusznych ale klasycznie zbudowanych tragedii francuskich, nie wahał się Towarzystwu Przyjaciół nauk przedłożyć referat-panegiryk, mocno obniżający oschłe piękno utworów symetrycznie ukształtowanych, formalistycznie nieskazitelnych, dla deklamacji patetycznej stworzonych, a im przeciwstawić zniewalającą krasę i olśniewający czar dramatów Szekspirowskich, w których forma nie objęła hegemonii nad treścią, czerpiących soki ze wszystkich bez wyjątku i bez wyboru objawów życia i po raz pierwszy dających światu obnażoną z obłonek konwencji nagą czystą duszę ludzką. I ci to pierwsi u nas apostołowie Szekspira, wiedzeni nieomylnym instynktem zakochanych w swem odkryciu znawców, wiedzieli też i czuli, że ta „słodka nieregularność“ Szekspirowskiego „mamidla“, która jednak według słów hetmana Rzewuskiego „w pięknych dam oczach rzewne łzy porusza“, winna też być integralną przywarą czy organiczną urodą podobnych i w polskim języku koncypowanych trylogii czy kronik, które z ojczystych dziejów będą czerpać opleśnione temata chronologicznie i psy-

chologicznie bliskie Szekspirowskim Henrykom i Ryszardom, Duncanom, Janom i Makbetom. I odczuwali to słusznie. Przyznać bowiem trzeba, że i dziś i u nas jeszcze mimo te pokłady literacko-technicznej kultury dramato-pisarskiej, mimo sukcesy produkcji szybko przeminionych Scribe'a i Sardou, „doskonała nieprawidłowość“ i „słodka nieregularność“ struktury dramatycznej Szekspirowskiej nadal jest i winna już zostać niepozbytnie związaną z tematami z odleglejszych dziejów czerpanymi. Jak bowiem psychologicznie biorąc najbardziej z ludów europejskich podobniśmy byli w czasach Batorówych i Zygmuntowych do *merry old England* medyawelu, jak podobne typy reprezentacyjne wydawały i oficjalne życie i obyczajowość przeciętna staropolska i Elżbietańska, tak i teraz najszczytniejsza bo najsympatyczniejsza artystyczna reinkarnacja tego życia t. j. dramat historyczny pod względem formalnym winien być zbliżonym do obdarzonych powodzeniem wyjątkowej nieśmiertelności, takichże restytucji dramatycznych angielskich. Tembardziej, gdy się przypomni, że ta dowolność architektoniki, ten niedający się zatrzeć czy zaprzeczyć brak dyscypliny i konstrukcji, czy nawet wzgarda rygoru i ładu formalistycznego będzie rasowym odpowiednikiem do takichże typowych cech charakterystycznych naszej zbiorowości etnicznej, naszej polskiej we wszystkim gospodarki. A jeszcze tem bardziej, gdy się przypomni tu, że w Szekspirze wobec całego ogromu rekompensat na innych polach i płaszczyznach twórczości, dla wielbicieli twórcy Hamleta kwestya doskonałości formy dramatycznej poprostu nie istnieje. Dla miliarda bowiem wyznawców Szekspira z wszystkich wieków i narodów, łatwo umiających doszukać się w najbardziej romantycznych jego komedjach istności bezwzględnej logiki wewnętrznej, znajdujących w najrozwicklejszej nawet *histoire en action*, w najdowolniejszym nawet korowodzie horrorów i komizmów mocną, jedną i jedyną zawsze ideę ogniskującą, dla tych zbożnie podziwiających niesłychaną koncentrację twórczą i jedność celowości w każdym organizmie dramatycznym i jego instynkt dramatyczny i jego moralny walor... cały rezultat artystyczny Szekspira jest symbolicznym, tryumfalnym wyrazem właśnie ładu w chaosie, piękna w nieregularności, ustroju w żywiołowości. Aczkol-



wiek w państwie twórczości Szekspira każdy dramat poszczegól-  
nie wzięty ze stanowiska kompozycji sądząc, jak niegdyś  
nasza Rzeczpospolita, krzepko „nierządem stoi“, to jednak całe  
mocarstwo, cały Cosmopolis Muzy Szekspira ma jednak wie-  
czysty byt zapewniony, bo ma w sobie moc zakłęta nieuga-  
szonej żywotności, zwycięsko przetrzymującej krótkotrwałe ży-  
wot wszystkich dzieł pisanych formalnie właśnie w posłuszeń-  
stwie „niewzruszonym“ zasadom i regułom tabulatury klasycy-  
stycznej. Ta cała nadbudowa dramatyczna epoki Elżbietańskiej  
jest bowiem pełną bez reszty sumą wszystkich skłębionych  
z sobą nierozłącznie pierwiastków, tworzących kalejdoskop  
Szekspirowskiego świata, więc: podniosłości i cudactwa, piękna  
i ordynarności, harmonii i gwałtu, fałszu i szczerości, nikczem-  
ności i delikatności, wszeteczeństwa i idylli, hipochondryi i dyony-  
zejskości, gruboskórności i wytworności, rubasznosci i cierpienia,  
zdrowia i kalectwa, chamstwa i słodyczy, rozpasanego humoru  
i rozpasanej rozpacz, zabobności i abnegacji. A wszystko to  
w zwielokrotnieniu i w spotęgowaniu, w wybuchowości i w mocy  
ostatecznej daje realistycznie wierny wizerunek Szekspirowskiej  
społeczności, stanowi najpotężniejszą dotychczas manifestację  
literacką najdoskonalszej po dziś dzień rasy ludzkiej, i jest wreszcie  
najdokładniwszym pan-universalem zwierciadłem całej psychy  
człowieczej już bez względu na naród, rasę, epokę, czasy, klimaty...

Można zwać dziełami nieśmiertelnymi Miliona: „Raj utracony“  
i Danta: „Boską Komedię“, tragedye Sofoklesa, Calderona,  
Rasyna i komedye Lope de Vega czy Goldoniego. To pewna, że  
w tych wypadkach słowo „nieśmiertelność“ będzie zawsze  
liczmanem i frazesem, rzucanym na kredyt Encyklopedyi; mało  
bowiem okaże się chyba śmiertelnych, którzyby któreś z tych  
dzieł nieśmiertelnych do końca doczytać się ważyli. Szekspir  
jedyńy pozostaje nadal jednym z autorów największe tantiemy...  
nieodbierającym, konkurentem bez konkurencyi, rywalem zawsze  
zwycięskim.

Jeszcze dziś tak nie ufamy, aby ten Wszechświat Wyobra-  
źni mógł jeden człowiek zrodzić, że przypisujemy twórczość  
Szekspira (zwanego już przez kolegów *factotum*) to Baconowi,  
to hr. Rutlandowi, to całemu konsorecyum genialnych drama-


tystów. Wydań jego jest tyle omal, ile wydań Biblii. Każde  
pokolenie w każdym narodzie zachodnio-europejskim uważa za  
swoją kulturalną obowiązek mieć swoje „generacyjne“ wydanie  
Szekspira.

My wydania obecnego z wstępami prof. Dybowskiego  
nie tylko wstydzicie się nie potrzebujemy (jak niektórych wydań  
własnych naszych sławnych klasyków), ale możemy z niego  
być dumni. Gdybyśmy jeszcze założyli u siebie w tym roku  
jubileuszowym Towarzystwo Szekspirowskie na wzór niemieckiego  
(pięćdziesięcioletniego) i angielskiego, kulturalny obowiązek  
spłacenia długu wdzięczności względem najpotężniejszego geniusza  
literackiego świata byłby spełnionym.



TEATR IRLANDZKI



d czasu, kiedy pisałem o „Odrodzeniu Erynu“ i o irlandzkich autorach, W. B. Yeatsie i G. Moorre, upłynęło zaledwie kilka lat; w najśmielszych nawet marzeniach nie można było wtedy przypuszczać, że to zmartwychwstanie celtyckiej kultury w tak krótkim czasie dojdzie do tych rezultatów, o jakich dochodzą nas wieści obecnie. Całkiem równoległe z politycznem dźwiganiem się Erynu, o którym czytać można codzienne niemal biuletyny w europejskiej prasie, posuwa się naprzód potężne dzieło duchowego rozrostu tego sobowtórnego nam narodu, tych „Polands of Western World“. Już nie w czternastu a w tysiąc czterystu kołach ludowych uczy się najmłodsze pokolenie starego gaelickiego języka, już wychodzą obok Nation Gavan Duffy'ego systematycznie pisma o dziwnie brzmiących tytułach: „*An Claidheamh Soluis*“ i „*An Lochraun*“, stary bojowy „*Samhain*“ drukuje się teraz peryodycznie, nie w luźnych zeszytach. Sztuka ludowa stosowana pod macierzystym patronatem angielskiej „gubernatorowej“, lady Aberdeen, i dzięki gorącej, egzaltowanej agitacji dam z arystokracji, rozwija się potężnie i zaczyna być faworytą całego Albionu. Najpotężniejszy jednakże dowód żywotności i mocy powstającego z uspienia niewolniczego narodu daje ten dział sztuki, który wszędzie jest odzwierciedleniem psychiki rasowej i wszędzie siłomierzem intelektualnych, moralnych i organizacyjnych sił narodu, to jest dramat. I w tym kierunku zrobili irlandczycy w ostatnich dziesięciu latach tyle, ile zaniechali i zaniedbali w ostatnich dwustu. Jak się to musi cieszyć stary, zacny profesor Kuno Meyer (od roku już do berlińskiego uniwersytetu przydzielony), kiedy widzi, jak z tych kilku małych broszurek, które ongi wypisał w Liverpoolu, naszpierał się pedantycznie, po szwabsku, w starych foliantach klasztornych,



że z tych małych załączków ziarenek wygrzebanego języka prastarego wyrasta teraz olbrzymi las: „silva gaelica“. Topnieje powoli olbrzymia liczba tych biednych chłopów, co rokrocznie szukali nowej ojczyzny za oceanem, a rośnie w oczach cyfra członków ligi Gaelickiej, ciągle jeszcze pod prezydenturą mr. Douglasa Hyde, rośnie cyfra tych, co zaczynają już mówić nawet potocznie językiem rybaków z Limerick, i nędzarzy z zachodnich brzegów, i starych uczonych filologów z Oxfordu i Cambridge. Doczekał się stary Kuno Meyer, że nawet „Times“ w marcu entuzjastycznie wychwala jego „Selection from Ancient — Irish — Poetry“, doczekała się i zacna miss Hörniman, że o zakupionym przez nią Abbey-teatrze pisała gorąco prasa Londynu i Nowego Yorku. Widzi teraz naocznie, że pieniędzy nie „wyrzuciła za okno“. Cieszy się i stary pater Dineen a z nim pierwsza rota „bojowników i rycerzy, zaprzysięgłych wiarę mitycznemu Finnowi, „Herkulesowi Erynu“, bohaterowi prastarych klechd i legend, że dokoła taki ruch, takie życie, taka siła idzie od ziemi, tak się zmienia, przekształca, hartuje i oczyszcza dusza ongiś rozpróżnionego, zdesperowanego, pijackiego, wrzaskliwego, kłamliwego ludu, zdeprawowanego do cna pod batem i perfidną, wampiryczną polityką Johna Bulla.

Trzydziestu dzisiaj okragło mężów i kobiet o męskiej dzielności i śmiałości pisze dla sceny irlandzkiej. Lat temu 15 było ich zaledwie *trzech*: W. B. Yeats, E. Martyn i Lady Gregory. Dziś wśród tych autorów czyta się już i takie rdzenne, jakoweś, jakby z Ossyana pobrane nazwiska, jak Seumas O'Connis, Padraic Colum, Mac Manus, Mac-Danogh... Wytworny paryzjanista, przyjaciel Mallarmego, G. Moore, zaprzął się też do pracy intelektualnej „od podstaw“ i należy do najzarliwszych. Nawet ten najkosmopolityczniejszy z irlandczyków, humanitarny fabianista i „tylko europejczyk“, Shaw, poczuł w sobie napływ krwi irlandzkiej, rodzicielskiej i wypisawszy najmańdrzejszą książkę, najpedagogiczniejszy dramat o „Drugiej wyspie J. Bulla“, obecnie gdzie może i jak może proteguje i popiera rasowy „revival“ Celtizmu... Tak, tak... dzieją się dziś na Zachodzie rzeczy, o których się naszym socyalistom jeszcze nie śniło... Wszyscy ci bowiem autorzy irlandzcy mają w najwyższym stopniu sumienie

socyalne, czują się z ludu i dla ludu, co jednak nietylko nie przeszkadza, ale potęguje w nich czucie już nietylko patryotyczne, ale w całym tego słowa znaczeniu: nacyonalistyczne. Tu też należy szukać przyczyny, dlaczego wśród nich jest tylu satyryków, tylu sarkastów, tylu ironistów, dlaczego *castigando* i *ridendo* starają się wpłynąć na przemianę psychiki narodowej i z wyspy „marzycieli i świętych“ a równocześnie z wyspy „tchórzów i krytyków“, „zdrajców i intrygantów“, „niedołęgów i słamazarów“, „poetów i bajczarzy“ uczynić wyspę mocnych, twórczych, zabórczych, żywotnych Keltów, „garnących pod się ziemię“. Jeżeli przypomnimy sobie pierwsze czasy nowej sztuki dramatycznej w Irlandyi, ujrzymy dokumentarycznie, jak zmieniła się atmosfera duchowa i zasadniczy pogląd na misję dramatyisty w narodzie niewolnym. Kiedy w roku 1899-tym założono Towarzystwo Literackiego Teatru, wszystko stało się pod znakiem i wezwaniem Yeatsa, to znaczy, w barwach mistyki. Chodziło wtedy o rzecz świętą, o ratowanie duszy narodu. Ponieważ synonimem znieprawionego anglosaksonizmu był gruboskóry, kramarski, merkantylny materyalizm, więc cała grupa apostołów odrodzenia podniosła jako sztandar bojowy walkę w obronie wszelkiego idealizmu z Materyą, z Mammonem, z Anglią. Rzucono się więc w otwarte ramiona drugiej ostateczności, w kult prostoty i zabobonu, w miłość nędzy i przesądu: stara pieśń gminna wiodła tę grupę w wysniony świat cudów i baśni, cieni i duchów, tego, co nierealne, i tego, co tajemnicze. A, że Irlandya jest Golcondą klechd gminnych i ziemią obiecaną mistycyzmu, więc cała ta gromadka nowych druidów, obcych życiu i światu ludzi, zatoneła doszczętnie w snach i w rojeniach... „Księżniczka Kasia“, fascynująca, cudownie melancholijna kreacja Yeatsa, wiodła ich wszystkich w uroczyska i maceczniki legend wysnionego świata, z których już niema powrotu w realne, istotne, twarde, beznadziejne życie irlandzkiej teraźniejszości. W heroicznej abdykacji z doczesności streszczała się ich ideologia, ratowanie *tylko duszy* zamierającego plemienia stało się ich celem, troską i hasłem. Ale już dochodziła do głosu i falanga nadchodząca, młodsza, inna. Zabranie poprzedników w abnegację i apatię, w egzaltowany kult piękna,



w cierpienie dla cierpienia, w kismet estetów oprzytomniło wreszcie nowych młodych. I oto działacz luzuje efeba, kapłani schodzą z kamiennych wież, „sterczących dumnie“ w szare, znojne, twarde życie chłopskie i robotnicze, stare liry złote wieszają na gałęziach równie prastarych dębów. Poeci patrzą rzeczywistości prosto w twarz i nie tylko nie cofają się, zakrywając oczy dłońmi, ale decydują się interweniować, przekształcać, reformować, nie tylko kwilić, ale krzyczeć, nie lamentować, nie przechwalać tego, co było, ale zastanawiać się nad tem, co będzie, starać się *myśleć o przebudowie*, aby lepiej było. Scena irlandzka staje się areną, katedrą, kazalnica, minaretem muźszina, konfesyonałem nacyi, parlamentem duchowym narodu, który jeszcze nie ma parlamentu politycznego. I oto powstaje cały szereg dzieł dla nas polaków, bardzo, bardzo ciekawych. Te wszystkie utwory bowiem można tłumaczyć na polskie, zmieniać tylko nazwiska i przenosić je do nas i będą, jak żywcem wzięte z psychiki polskiej. Weźmy takie J. C. Murraya: „Maurice Marte“, Lennox Robinsona: „Patriots“ lub „Drogi krzyżowe“, J. Campbella: „Sąd“, J. Birminghama: „Przedsiębiorstwo Eleonory“, J. Moora: „Niezorane pole“, J. Irvine: „Mieszane małżeństwa“, Murraya: „Ojcowizna“, R. Mayne: „Truteń“, W. Boyle: „Dziedziczny błąd“, a przekonamy się kolejno, do jakiego stopnia irlandczycy są polakami „of the Westernworld“. Dlatego też zapoznanie publiczności polskiej z dziełami najciekawszego z nich, J. M. Synge, to rzecz ważna, kulturalna i owocna. Między jego wytwornemi *symbolicznemi satyrami*, obok „Wesela szlifierza“ i „W cieniu kotliny“ jest bowiem to przedziwne arcydzieło poetyckiego sarkazmu, ten kilkakrotnie ongiś wygwizdany paszkwil na psychikę celtycką: „The Playboy (błazenek, rycerz-pyskacz) of the Western World“. Dziś ten niby chłopski dramat stanowi, obok Yeatsa: „Countess Cathleen“, drugą perłę w koronie sztuki dramatycznej irlandzkiej.

Dramat ten jest wstrząsającą satyrą wskroś genialnego i potężnego poety irlandzkiego, która w życiu duchowem wyspy szmaragdowej wywołała ongi tak epokowe i druzgocące wrażenie, jak pamiętny wieczór „Wesela“ Wyspiańskiego w Kra-

kowie. Obaj ostatni bardzi konającej romantyczności swych narodów spoczywają już w grobach; oba dzieła przeżyły swych twórców i żyć będą nadal nie tylko jako produkty natchnionych jasnowidzących imaginacji i dojrzałe owoce literatury, ale jako fakty zasadnicze, węgielnie przełomowe w życiu ogółem obydwóch narodów, niewolniczych narodów. Twórca „Playboy'a“ stoi również na pograniczu dwóch ideowych światów, jak słup na horyzoncie, chłonący w siebie i blaski seledynowe ostatnich promieni księżycowego idealizmu i silne promienie wschodzącego pozytywizmu. Cztery lata temu zmarły poeta natus baśnik i marzyciel w przedziwnych dramatach swoich stąpa mocną, pewną nogą po ziemi faktów i czynów, problemów i zagadnień, trosk i nędz, głodów i grzechów swego narodu. Ale, że jest poetą urodzonym, rasowym, predestynowanym, więc swe obrazy omal naturalistyczne z życia chłopskiego, rybackiego, proletariackiego, więziennego ubiera w takie uroki balladystyczne, w takie powaby uczuciowe, w takie lśnienia zaświatowe — w takie tęczowe kolory językowe, swoje tematy ujmuje tak miękko a tak mocno, postaci kreśli tak bolesne a tak skomplikowane w swej prostocie, że te satyry z niepocziwego, brutalnego żywota chłopskiego wydają się być to jakiemiś legendami z życia pierwotnych ludów aryjskich, to jak w tym „Playboy'u“ urastają do rozmiarów wypowiedzenia wojny całemu swemu narodowi, całej jego romantycznej, a raczej false- czy pseudo-romantycznej ideologii. Tak Syndza: „Rybacy morscy“, jak „Krynica Świętych“, „W cieniu kotliny“, „Brama więzienia“ są to rzekomo tylko wizerunki wieśniaczego bytu z Donegal, z Mayo, z Limerick, z Adare, to krwiste, mstliwe, groźne, posępne, tragiczne, to znowu rubaszne, zatracające humorystyką fragmenty bytu bez nadziei klerykałistyczną febrą roztrzęsionego ludu. Rzekomo takie same tragiczne chłopskie konflikty dają i Murray i Birmingham i Padric Colum; emigracja ludu, nędza, głupota, analfabetyzm, zabobon, fanatyczne próżniactwo, farnjentyzm desperacyjny, zawadjaństwo, piniactwo, brud, apatja i wreszcie pijaństwo wieczne niczem niewytopione, niezniszczalne, nieśmiertelne pijaństwo, oto różaniec psychicznych defektów i niewytopionych cech charakterystycznych, rzymski różaniec, jaki to do rozpacz,



to do wściekłości doprowadza garść patryotycznych autorów irlandzkich walczących jak św. Jerzy ze smokiem degryngolady tego tak hojnie w uroki psychiczne uposażonego, a tak moralnie upadłego, cywilizacyjnie jałowego ludu irlandzkiego. J. Millington-Synge w swych utworach dramatycznych nie rozstaje się prawie z niewolą i niedolą irlandzkiego chamity; jakieś rozkochanie bezpamiętne, matczyne, tkliwe i czułe każe mu bezustannie odkrywać ale i gładzić i pieścić rany ropiace się tych wiecznie kłótliwych, wrzaskliwych, tańczących do upadłego, kujących się z lada głupstwa po mordach rycersko-bitnych, pełnych emfazy i blagi Patricków i Seumasów, Jimnich i Douglasów.

Synge przeszedł po dantejsku wszystkie księgi piekielnej Gehenny źle się prowadzącego, źle chowanego, źle gospodarującego, marzeniami się upajającego, w piękności, w patosie retorycznym, w bufonadzie heroicznej samobójczo rozkochanego narodu. I stąd jego demoniczna furja i stąd gorycz piołunowa, z jaką ośmiela się zuchwale cały swój naród upersonifikować, zneutralizować, streścić i przeświecić analitycznie w jednej postaci herosa-lgarza komeďyanta-rycerza, romantykablagiera o takim nazwisku, jakie nosił słynny heros — Bramarbas francuskiej armii, ten, który ją przegrał do prusaków gente Kelt: Mac-Mahon...

Autorzy irlandzcy mają ten rys specyficzny, a może i naśladowania godny, że biorąc w rękę pióro, myślą już tylko o tej jednej, o tej jednej kochance swojej, o tej jednej męczennicy schorowanej, skatowanej, a wciąż tak pięknej i wytwornej — o swej Ojczyźnie.

Pisze pani Gregory dramat o Mojżeszu a trzeba czytać, że to Parnell; pisze G. Moore „The Apostle“ dramat o św. Pawle, a wszyscy wiedzą, że jest to problem skroś narodowy, rzetelnie nawet aktualny. To samo w potęgę maksymalnej ma i zmarły lat temu pięć sarkasta Synge. — Jego chłop na scenie nie umie sobie na przykład poradzić z siecią rybacką, kompasem, busolą, z mechanicznym siewnikiem — to znaczy Irlandja bezradna, tępa, chłopska, gamajdowata, nieoswojona i nienawidząca tego wszystkiego, co daje mocna, twórcza, depcząca cywilizacja anglosaksońska; u Synge śliczna czarnowłosa wdowa Susan zawodzi

dziwną, czarowną, starodawną, upojną pieśń Oisiniczną. Wszyscy mężczyźni na scenie zapadają w drętw, w porażenie psychiczne, w inercję. To znowu cała Irlandja rozpoetyzowana, rozśpiewana, rozlegendaryzowana, rozballedowana, Irlandja, dominium klechd i klechów, guseł i czarodziejstw, liryków i lirników, włóczyków, tromtadratów, bałagulów, szalawików, krzykaczy, egzaltadosów, oratorów i głodomorów. Niema tak egzotycznego zda się tematu czy środowiska antycznego irlandzkim piórem w literackość przenieszonego, z poza którego by nie przeglądała się ta błada, suchotnicza, umęczona twarz tej lekkomyślnej, a tak jeszcze pięknej Marji Magdaleny narodów, zgwałconej chucią a potem skopanej butem bestjalicznie maskulinarnego i muskularnego Johna Bulla...

Satyryk małego katolickiego narodu, któremu szpik i krew wysysa od lat 600 olbrzym anglo-saski, rzuca swemu narodowi w twarz rękawicę i zapytuje się go wprost, śmiało, bezwzględnie, czy wyście moi rodacy zrobili naprawdę wszystko? wszystko, żeby zasłużyć sobie na nią, na Pegeen Flaherty, na moc doczesną, na wolność, na szczęście? Powiedźcie, czy wasz heroizm nie jest rozdymanem tylko konwencjonalnem kłamstwem? Powiedźcie, dlaczego nie zabiliście tego, którego trzeba było zabić i z domu wymieść? A jeżeli nie zabiliście, to jak macie czoło gnić, kłamać heroizm i gnić, hałasować, skomlić, skarżyć się, pisać poematy o sobie i gnić?

Ale istnieje w literaturze dramatycznej irlandzkiej satyra jeszcze silniejsza i bezwzględniejsza, z którą zapoznać się warto. Jest nią zaś Gerge'a Birminghama: „Generał John Regan“. Już premiera tej sztuki miała przebieg wysoce dramatyczny. W niewielkiej, starodawnej, ale bardzo pretensjonalnej mieścinie irlandzkiej, w Westport, zaszedł mianowicie wypadek, chyba jedyny w dziejach teatru wogóle. Dawano tam w jednym z hotelów, w zaimprovizowanej sali teatralnej, sztukę wesołą, graną przez przejeżdżającą trupe, która atoli nie wzbudziła wesołości u publiczności, ale wręcz przeciwnie, doprowadziła do tego, że po pierwszym zaraz akcie wygwizdano autora, po drugim zarzucono scenę zgniłemi owocami i stołkami, a po trzecim publiczność weszła już na scenę, potłukła i poturbowała



aktorów, rozwalila dekoracje, a wreszcie, podrażniona swym tryumfem nad autorem i aktorami, pomimo oporu całej miejscowej policji... zdemolowała i zburzyła hotel... dosłownie zdemolowała i zrównała z ziemią hotel, w którym odważono się coś podobnego zagrać...

Sztuka, która wzbudziła tak silny rezonans u publiczności, nosi tytuł: „Generał John Regan“; pierwszy raz w Dublinie została zaimprovizowana przez polaka, dyrektora Repertory-Teatru, K. Dunin-Markiewicza. Autorem jej jest ksiądz proboszcz Hannay, znany pod pseudonimem George A. Birmingham. Zastanawiającem w niej jest przypadkowe podobieństwo w głównych zarysach treści do sztuki, która rok temu w Warszawie wywołała w Teatrze Polskim również natychmiastową reakcję pewnej części publiczności, co prawda nie tak żywiołową, nie tak szczerą i nie tak odważną; mianowicie do „Nowych Aten“. Przebogaty amerykańnik, yankee w każdym calu, przybywa do apatycznego, zdrzemanego w swem dolce-far-niente, niemożliwego w swej biedzie i dziadostwie, ale pełnego szumnych tradycji miasteczka Ballymoy i tu dla eksperymentu psychologicznego, dla igraszki poprostu, wmawia w rozpróżniane a gadatliwe, politykujące i zakłamujące się wzajem obywatelstwo, że dziecko tego miasta, zmarły w Boliwii John Regan, doszedł tam do wielkich godności, był generałem, zwycięzcą, znakomitością, ergo należy mu wystawić pomniczek. Oczywiście, na ten lep mr. Horacego Billinga wpadają wszystkie notable miasteczka i „kawał, pozwalający na wyeksponowanie przed widzom całej jeszcze-romantycznej, celtyckiej psychiki społecznego, wiecznie prowincjonalnego irlandczyka, znakomicie się udaje. Odsłonięcie pomnika „dziecka Ballymoy“, bohatera boliwijskiego, jest też kulminacyjną tej komedii sceną, którą Londyn oklaskiwał przez cały rok 1913, a po której miasteczko Westporst zburzyło doszczętnie nawet gmach... w którym „coś podobnego“ grano. Analogie w akcji, w figurach, nawet w scenach całkiem przypadkowe i mimowolne między polskiem a irlandzkim dziełem dowodzą jasno znowu, jakiej broni i jakiej to taktyki chwytają się satyrycy, aby zwalczać z sukcesem te same wady, niedomagania, dysformacje, ma-

niactwa, defekty, te same charakterystyczne rysy w bliźniaczo do siebie podobnych narodach, „narodach, którym się nie wiedzie“. Proboszcz irlandzki, postawiwszy na nogi cały szereg sylwetek małomiejskich z lordem, hotelarzem, dziennikarzem (*Tadeusz Golligher*, redaktor: „Orla Connaughckiego“) na czele wykazuje wszystkie siedem grzechów głównych i siedemdziesiąt ubocznych, z powodu których dla Irlandyi Europejczyk czy Amerykanin nie może mieć szacunku, a co najwyżej litość, z powodu których Irlandya jest krajem pauperystów, cierpi na chroniczną emigrację, na hyperprodukcję analfabetów i poetów, no, i z powodu których homerule, tak szybko dla południowych Afrykanów uchwalony, z takim trudem rodzi się dla Szmaragdowej „świętej“ wyspy... Małe Ballymoy jest miniaturą całego narodu. Swojsko tu, ale brudno i niezdarno. Pracę uważa się za przekleństwo. Wielkie tradycje rycerskich czasów, zobowiązują tutaj jednakże do ciągłych, bezpłodnych rozpamiętywań, święceń, lamentacji i autoadoracji. Nuda życia w nędzy, w obszarpanstwie, nieporządku, wręcz wschodnio-słowiańskim, każe kurczowo tęsknić za wszystkimi nadzwyczajnościami, upornie wierzyć w każde nadzmysłowości, marzyć o coraz to innych mirażach. Mali społecześni żyją ciągle kosztem wielkich umarłych“. Niema końca rocznicom i jubileuszom. Wszyscy ustawicznie nie mają czasu, a nikt nie nigdzie nie robi. Cały naród ciągle zgorączkowany, zadyszany. Bardzo łatwo się tanio egzaltują, jeszcze łatwiej zapominają, co ich właściwie wczoraj w drogą ekstazę wprowadzało. W każdej rodzinie rodzi się co czas jakiś druid czy bard, ale alkoholików nieuleczalnych jest jednak więcej. Na każdym rogu ulicy stoją sentymentalne gaduły godzinami, a całe Imperyum angielskie nie ma tylu miódopłynnych złotoustych, co małe Ballymoy; no, i tyle głów dyplomatycznych... Tylko nie trzeba im mówić, że są rozleniwionym zaściankiem, że ich polityka ma siłę palca, kiwającego palcem w bucie, że ich domostwa są gorsze od wigwamów murzyńskich i że błaga ich fałszowanego idealizmu już się przejada. Na te prawdy są bowiem nadmiernie wrażliwi, czasem nawet, jak stare histeryczki. Tego też nie trzeba im mówić. A natomiast trzeba im mówić, jak w sztuce Birming-



hama, że mają jeszcze jednego bohatera narodowego do święceń, do jubileuszów, do retorycznych popisów, do marzycielskiej egzageracji, do zaimponowania sobie samym i nędznej, „w oczach się rozpadającej“ Anglii i całemu światu; i to bohatera, o którym zapomnieli. W to łatwo uwierzą ci wygłoszeni na pochwały celtowie. Wtedy bowiem nie potrzebują już znowu ani budować dróg, ani ziemi lepiej orać, ani stawiać fabryk, ani szpitali, ani tamować emigracji, ani zwalczać alkoholizm, ani analfabetyzm tępić. Należy im tylko szybko wznieść nowy pomnik „odkrytemu, wielkiemu rodakowi“... A potem o tem mówić i mówić, pisać i pisać... i rymować...

To im także mówił ze sceny yankee amerykański, Horacy P. Billing, a raczej jego ustami *nowoczesny proboszcz*, reverend J. O. Hannay (autor świetnej również *Eleanors-Enterprise*). Ale poznali wreszcie... ci (jak mówi publicysta Kelley w piśmie „*Leader*“) polacy Zachodu, w czem rzecz. I w małym miasteczku nadmorskiem w Westport doczekał się wreszcie świetny satyryk tryumfu, jakiego mu można pozazdrościć... Zdemolowano nawet hotel, w którym zagrano raz jego rodakom *prawdę*, a nie bajkę o narodzie irlandzkim...

B I B L I A B E L G Ó W



**T**ak nazwał jeden z najznakomitszych społecznych belgijskich pisarzy, Lamin Lemonnier, książkę francuską, która wyszła z druku w r. 1867 pod dziwnym tytułem: *La légende et les aventures héroïques, joyeuses et glorieuses d'Ulenspiègel et de Lamme Goedzak au pays de Flandres et ailleurs*“.

Biblia jest to, jak wiadomo, książka, czytana przez niewielu. I istotnie, książkę pod tym tytułem zna tylko inteligencja belgijska; są uczeni, artyści, politycy, malarze, którzy kochają się w niej i nie rozłączają z nią; w szerokich kołach jest mało znana, o popularności niema nawet mowy. A jednak jest to dzieło, w którym streściła się cała w wątlę ciele małego narodu zamknięta, mocna, prężliwa dusza ukochanego dziś przez cały świat cywilizowany narodu, jest to dzieło herbowe, sztandarowe, symbolizujące cały szczep, epos narodowe w całym tego poważnego słowa znaczeniu, a zarazem jest to jedna z najmilszych, najzabawniejszych i najrozkoszniejszych lektur dla czytelnika, który potrafi się wyemancypować z pochłaniania tylko teraźniejszości, a zagłębić powoli w obce światy, w zamierzchłe czasy, w starodawne narracje, sposoby i style.

Autorem „d'Ulenspiègla“, czyli Sowizdrzała belgijskiego, jest zmarły lat temu trzydzieści kilka Charles Théodore Henry de Coster, autor „Legend flamandzkich“ i „Opowieści Brabanckich“, pisarz za życia swego znany tylko nielicznej grupie najwytworniejszych mózgów swej klasy i rasy, po śmierci bardzo wysoko oceniany i opisywany, dziś pomnikiem uczczony, i zaliczony do klasyków. W pierwszych swych utworach zdecydował się de Coster skonstruować dla swoich tematów język specyficzny, sztuczny, naśladowujący francuzczyznę z XVI-go w., rabelizujący i archaizujący coś, coby stawiło jego opowieści: *Les*



*frères de la bonne trogne, Les Pèlerins d'Haecendoover*, obok Balzakovskich: „*Contes drôlatiques*“. Celu swego dopiął, wzbu-  
dzając zachwyt i wdzięczność znawców i lubowników (E. Deschanel)  
ilustracje genialnych entuzjastów (Rops), ale nie zyskując uznania  
w szerokich kołach modu czytelniczego, który zawsze i wszędzie  
domaga się jasnej, czystej, przystępnej prozy reporterskiego,  
wulgarnego prostactwa. Ten to autor, z zawodu profesor litera-  
tury *francuskiej* w kadeckiej szkole wojskowej gminy *Ixelles*  
w Brukseli, dał swemu narodowi prozą pisanego flamandzkiego:  
„Pana Tadeusza“, który, co prawda, dopiero teraz niedawno  
przetłómaczono na flamandzkie narzecze (1896, *vlaamsch ver-  
taald dor Delbecqu en Johan*). Książkę tę powinniśmy poznać  
w czasach, kiedy pokój nastanie. Rozwiąże nam ona zagadkę  
psychologiczną, skąd w przebogatym i sybarystycznym narodzie  
kupców, jobberów, mercatorów, kolonistów, aferzystów w chwilach  
decydujących wybucha przeczystym, ognistym słupem bohaterstwo  
bezinteresowne i zapamiętałe, szaleńcze i ofiarnicze, i dreszczem  
podziwu i uwielbienia wstrząsające. Książka ta opowie nam,  
polakom specjalnie, że zmysł dla handlu, przemysłu, interesów  
bynajmniej nie wyklucza instynktu bohaterskiego w narodzie,  
jak to nam ostatnio suflerowali chytrze i z powodzeniem krajowi  
cudzoziemcy, oburzeni na nas, że od lat kilku „przybijamy ruble  
na gontynie narodowej“, „że wyrzekamy się rycerskiego testa-  
mentu wieszczów romantycznych“, że „szkaradzimy duszę  
sarmacką merkantylizmem amerykańskim“...

De Coster bierze postać legendarną z opowieści gminnej  
średniowiecza mieszczańskiego, znaną zresztą z kroci książeczek  
i w Polsce, figurę alegoryczną specjalnie, w Belgii każdemu  
dziecku nawet znaną, Dyla Sowizdrzała, mieszczańskiego Stańczyka,  
wesołego harlekina i okpiświata, płąającego otoczeniu psikusy  
złośliwe, niefrasobliwego włóczęgę jarmarcznego, drażniącego  
i epatującego bez wytchnienia spase i śpiące „burżujstwo“  
bogatych miast i miasteczek flamandzkich. Tego to Sowizdrzała  
de Coster stawia na tle rozbudzonych i rozgorzałych walk i bojów  
o niepodległość, na tło rewolucyj, wymierzonej przeciw gniotą-  
cym jego ojczyznę Hohenzollernom średniowiecza, t.j. Habsburgom  
hiszpańskim. I oto pod piórem szlachetnego patrioty-poety,

z mocno plebejskiej fantazyi wysnuta postać „gorzkiego błazna“,  
zdolnego rzekomo z początku tylko do irytowania sławetnych  
kołtunów i łyków, z bogactw „foluszników“ i „tkaczów“,  
„passamomików“ i miodosytników z Gandawy, z Arras, z Ar-  
mentières, wyrasta przed oczyma czytelnika w gorącej, pło-  
mienistej atmosferze buntu narodowego na działacza świętej  
sprawy, na bojowca wielkiej idei, na agitatora i organizatora  
potężnego ruchu wolnościowego. Z mięsopustnego zawalidrogi,  
drażniącego się z przekupniami i w tej fazie, i w tej postaci,  
znanego z licznych książeczek medyawelu, z wartogłowa i bibosza  
przekształca się de Costerowy Sowizdrzał w mocny symbol roz-  
budzonego gniewu ludowego. Ten, co tłukł kiedyś tylko gliniane  
garnki babom pod sukiennicami, teraz wstrząsa pierwszy  
żelaznemi okowami, pętającymi dumny, patrycyuszowski, twórczy  
naród Egmontów i Arteveldów. Ulenspiëgel wędruje ze swym  
Sancho-Pansą z miasta do miasta, z kiermaszu na kiermasz  
z pieśniami buntu i niezadowolenia, szyderstwa i pogardy.  
Podjudza, wyśmiewa, budzi z uśpienia abnegujących i zrezy-  
gnowanych, zubożniałych w niewoli hiszpańskiej, a ongiś  
hardych i pańskich flamandów. Pełno go w gospodach, w goś-  
cińcach, na rozstajach. Sowizdrzał uczy, kogo i jak nienawidzić.  
Zagrzewa, rozpala i rozdrażnia zwolna przecierających oczy  
belgów, „wstrząsa snem narodu“, ospały lud wypycha na bary-  
kady, popędza do arsenałów, w ręce im wciska berdysze i rusznice,  
lonty i żagwie. I wreszcie dopina i dokazuje swego. Lud flan-  
dryjski zrywa się i powstaje, wybucha rebelia żebraków, *Guezów*,  
„braci leśnych“, jak długie i szerokie La Neerlande, tworzy się  
konfederacja w Breda. Demon Habsburski, Filip II, wysyła na  
zbuntowaną Belgię naprzód księcia Albę, z rajtaryą niemiecką  
i rotami albańskich górali, poczem Don Jouana d'Austria.  
Ojczyzna wstaje w płomieniach buntu i twórczej nienawiści,  
w czyn zamienionej. Okrzyk: *Plaendren ende Len!* Flandryjo,  
do Lwa! wstrząsa powietrzem. Pajac z Damm okazał się Sal-  
vatorem, zbawcą.

Taką jest ideowa osnowa powieści de Costerowej, nad  
którą ten spokojny, sztywny na zewnątrz, a w sercu gorąco  
miłujący i nienawidzący poeta pracował po Flaubertosku krągło



lat czternaście. W przedziwnie barwnym kalejdoskopie kilkuset jakby uruchomionych w drzeworytowej manierze obrazów Brouwera, Teniersa, Jordensa, Ostadego, Steena, Wouwermana, Breughelów i innych przesuwają się kronika bohaterskiego życia wesołego kpiarza, przerażającego się w niezbłaganego chorążego narodowego *risorgimento*, idącego z kaduceusem - lusterkiem przed szeregiem tych, co wypowiedzieli walkę na śmierć i życie najezdniczej tyranii, siejącego bunt furii ludowej i zbierającego burzę wojny wyzwoleniczej. Z surogatu gminnego mocno mięso-pustnej i trywialnej legendy szlachetnej geniusz pisarza belgijskiego wyrzeźbił nie dającą się zapomnieć postać, mającą coś Dyogenesowego, coś Don-Kiszotowego, wiele z Szekspirowskich „błaznów“, mędrszych od króli“, a wszystko z duszy belgijskiego ludu. W tym Ulenspièglu pozostaje już bardzo niewiele z prototypu małych ludowych książeczek. Z figurki ogólnocentralno-europejskiej staje się Ulenspiègel typem reprezentatywnym, skroś fizyopsychologicznie rasowym, flamandzkim. Cała różnorodność i bujność, trzeźwy realizm i somnambuliczny mistycyzm tego szczodrce i hojnie genialnością obdarowanego narodu i rubasznego, i wyrafinowanego, i dobrodusznego, i okrutnego, i bachicznie Rubensowsko używającego, po Meumerowsku pracującego ludu, cała stubarwność i tęczowość charakteru néerlandzkiego magicznie zogniskowała się pod technieniem de Costera w tej postaci, wystylizowanej na skończoną jakby formułę-kwintesencję narodu króla Alberta. W wycyzelowanej przemisternie „figurze mądrego błazna“, „gorzkiego błazna“ uosobił de Coster i głos sumienia swego całego, nade wszystko umiowanego ludu i dał wyraz jego rozbudzonego samozachowawczego instynktu. Proces psychiczny w duszy beztroskiego pędziwiatra, zajętego początkowo tylko przekornymi błazeństwami, wywijającego kaduceusem i rzucającego jeno naokół pociski prawdy, owinięte w bawełnę żartu i fraszki, proces w duszy wesołka, z którego *szaleństw* zaczyna zwolna przeglądać pewna *metoda* i który z czasem odsłania się i ujawnia, jako konsekwentny, logiczny działacz, przejęty jeno fanatyczną miłością uciśniętej i zdeptanej ojczyzny, przeprowadza de Coster z maestrią nieporównaną i tak zachwycającą, że godziłoby

się już raz postać tę postawić obok takich wszechświatowych arcytypów, jak: Don Kiszot, Robinson, Wilhelm Tell czy Joanna d'Arc. Płynna narracja, niezwykle rzeźbiarska plastyka i zdarzeń zgiełkowość, intensywność retrospektywnej wizji XVI wieku, a wreszcie i głównie bijąca ze wszystkich stron młoda radość życia, wola życia, wiara w życie sprawiają, że książka ta musi stać się istotnie biblią belgów i księgą, którą czytać winna Europa, młodzież europejska, a przede wszystkim młodzież polska. Zasługuje na to ze wszechmiar de Coster, *homo unius libri*, a więc pisarz już temsamem wzbudzający wielkie zaufanie. Zasługuje na to ze wszechmiar ten ton bohaterski, zdrowy i mocny, młody i ufny, który czytelnikowi pozwala żywić bezwzględna pewność, że naród, który umiał zrzucić z siebie, za czasów Ulenspiègla, Habsburgów hiszpańskich, zrzuci dzisiejsze jarzmo Filipa II-giego, karykatury protestanckiej.



V E R H A E R E N



**J**edną z najpiękniejszych odpowiedzi na ankietę Sienkiewicza w sprawie wyłączeń w Poznańskim dał Emil Verhaeren, dziś może pierwsza z największych chluby francuskiej literatury i jedna z najciekawszych fizyognomii duchowych Europy.

Urodzony pod Anvers, flamandczyk z krwi i kości, z bardzo czujną solidarnością i odczuciem plemiennym, *pierwszy* tom poezji „Flamandzi“ wydał krągło 25 lat temu. Jeszcze kiedy był prawnikiem na uniwersytecie w Lowanium, wydawał pismo akademickie „La Semaine“ na wspólnie z dzisiejszym słynnym śpiewakiem wagnerowskim, Van Dykiem. Z czasem bierze gorący udział w pierwszych kampaniach Młodej Belgii, współpracuje kolejno w organach bojowych nowej sztuki, szczególnie solidaryzując się z tem malarstwem, które reprezentują dlań nazwiska, jak Renoir, de Groux Monet, Sisley, Meunier, P. Signac, van Rysselberghe. Formalistycznie wychodzi z między parnasowców, używa jeszcze przepoprawnych aleksandrynów, hypochondryczne impresye wiejskiej Flamandyi zamyka nawet w kształt sonetu; duchowo jeno wyzbywa się obiektywizmu Parnasowców, a liryzm swój subiektywizuje aż do stopnia, który jego monograf A. Mockel zwie paroksyzmem. Na wieś, chłopstwo, młócki, zwózki, kirmessy, wesela, życie ferm, młynów, wiatraków patrzy silnem obrzydzeniem ze stanowiska Zoli, Maupassanta czy Uspieskiego lub Mirbeau, czasem tylko wznosząc się z poziomu znużonej, ziewającej, chorobliwej depressyi do stanu nabożnego wytechnięcia, podobnego jakby atmosferze obrazów Milleta (Angelus). Z biegiem lat przechodzi Verhaeren proces duszny, który jest omal typowym dla pokolenia, dziś do pięćdziesiątki się zbliżającego. Pojedyncze etapy tego procesu, od absolutnej negacyi życia aż do jego



ukochania, to świetne tomy poezji absolutnych: „Pieśni Północy“, „Mnichy“, „Wieczory“, „Kłeski“, „Czarne zagwie“, „Wyprawy widziadłowe“, „Krajobrazy wyobraźni“, aż do ostatnich tomów, jak: „Miasta kuszące“, „Oblicza mego żywota“, „Jasne godziny“, „Godziny popołudniowe“. Z każdej strofy tego imponującego cyklu wyjawień psychicznych, z tego pamiętnika duszy, skroś nowoczesnej i każdoczesnej, przebija się tło katolickiej, tajemniczej, pełnej feudalnych ech Flandryi, tęsknota elegijna poety za *jednolitością* kultury dawnej, rycerskiej, średniowiecznej, a niechęć i obawa przed szarą pstrością, gminnością i hałasem dnia dzisiejszego, industrialnego i zgiełkliwego, brzydkiego. Liryk Verhaeren jest w technice swej bojownikiem verslibryzmu, będącego organiczną formą jego emocjonalnej poezji; ale tensam liryk jest również potężnym dramatykiem, którego w wielkim stylu koncepcje olśniewają plastyką poetyckiej wizji, przekonywującą siłą dyalogów i przedziwnie skondensowaną arystokratyczną atmosferą, całkiem odseparowaną od faktyczności życia istotnego. Dramaty te to: „Klasztor“, „Filip II“, „Jutrznie“. Tylko ten ostatni przyswoiła doskonale naszej literaturze pani Markowska, podczas kiedy tak *Filip II*, to głęboko ludzkie studium duszy posepnego, ale konsekwentnego, jak spiż, władcy feudalnego, jak również *Klasztor* (r. 1900), 3 aktowy obraz twardych zgrzytów tragicznych, w pozornej sielance ascetycznego życia 7 mnichów, zasługują na jak najszybsze przetłómaczenie na język tego narodu, o którym tak mocne i zdecydowane słowa wypowiedział genialny elegik hieratycznego katolicyzmu.

Dziś ten wróg wielkich metropolii z bezgranicznych ciemnic swych kłesk duchowych, przeklinań życia i omal patologicznych wstrętów do wszystkiego, co dzisiejsze, wydobył się na jaśniejszą platformę spokojniejszej dyspozycji dusznej. Monografia o Rembrandcie uкрепиła jego siły przez spóżyte duchowe z kolosem mocnym, twórczym, muskularnym, dobywającym błyski światła z największych posepności. Z hołdem dla artysty, który napisał wstrząsającą monumentalną scenę Filipa II nad zwłokami Don Carlosa, z hołdem dla liryka, z którego 10 tomów biją wieczorne opary zroszonej znojnym potem gleby flamandz-

kiej, niech się oto łączy hołd dla człowieka, który długie lata był z Vander-Veldem filarem sekcji sztuki we wspaniałym „Maison de Peuple“, a który dzisiaj nie wahał się Niemcom, od dziesięciu lat zachłannie anektującym go w obręb promieniowania germańskiej kultury, powiedzieć słowa prawdy. Gratias anima valida!

Człowiek ten trzydzieści lat temu był obrazem nie tylko wszelkiej nędzy i rozpacz, zwątpień i rezygnacji, niewiary w siebie i w ludzi, który nie tylko sam tonął w odmętach hypochondryi i anestezji, nietylko grzebał z uporem samotnika w chorych trzewiach patologicznej psychozy, nietylko opancerzył się egotyzmem estetycznym od wszelkiego spóżyca z twórczymi, produktywnymi, działającymi ludźmi, który nie tylko przeklinał dzień, godzinę i uroczę *Bas-Escaud*, gdzie 57 lat temu ujrzał światło dnia słonecznego, ale wszystkie te defekta swej przypadkowo wadliwej, kalekiej czy nieleczonej dyspozycji dusznej podniósł w górę jako godło sztandarowe. Będąc zaś od tej samej przeklinanej przyrody uposażonym mózgiem wulkanicznie i spontanicznie genialnego twórcy, z defektów tych wytworzył sobie mocną *religię niemocy*, którą z cichym fanatyzmem i monomanną zaciekłością apostoła obwieszczał a temsamem szerzył, rzucając od swej fascynującej indywidualności na całą poezję, nietylko francuską ale i zachodnio-europejską, potężny cień.

Dzisiaj ten „syn cieniów“, ten ongiś zatracony, „l'immesement perdu“, piewca wszystkich stacyi Kalwaryi twórczych, ten zaprzysiężony nieprzejednany wróg nowoczesności, ten najumiłowańszy patron wszelkich desperatów i abnegatów objeżdża główne metropolie europejskie, przesiadając się jeno z rapidów w ekspresy, z ekspresów w rapidy i wygłasza po Europie w natłoczonych salach odczyt o zdumiewająco już anti-verhaerenoskim tytule: *Kultura entuzjazmu*. Entuzjazmu! Zaiste przepotężne procesy i kryzysy musiała przejść ta olbrzymia dusza poety z najcywilizowanego narodu Belgów wyrosła i cały ten naród w sobie streszczająca i syntetyzująca, jeżeli człowiek, który w jakichś dziesięciu tomach kazał i wieszczył kulturę *depressyi*, uczył misternie ospałej rezygnacji, zachwalał dosto-



jeństwo bezpłodności, sugerował piękno beznadziejności, dyffamował wszelkie mozoły i trudy kombinującego praktycznie rozumu i racjonalnego patrzenia w życie, jeżeli ten pieśniarz gorzkich żalów i cierpkich spotwarzań Bożego świata uważa teraz za swój obowiązek wieszczyć, za swoją misję cywilizacyjną, za imperatyw swej twórczości nie tylko całym szeregiem dzieł nowych dyskredytować twórczość swą z czasów pesymistycznego Inferna, ale nawet osobiście w życiu europejskie interwenjując jeździ z jednego miasta „olbrzyma-głównoga“ do drugiej „miastośmiornicy“, by apostołować idee, których sam tytuł zapowiada już: afirmację życia, kult życia, ukochanie życia..., urodę życia!

I te kryzysy duszy Verhaerenoskiej, te głębokie przemiany, jakie w niej odbywały się, zanim przyszło uniwersalne wyzwolenie prometejskiej natury z pęt i oków rdzawego pesymizmu, ta w najwyższym stopniu frapująca ewolucja twórcza, ta droga od zmierzchu „*Godzin wieczornych*“ do „*Wzmózonego Blasku*“ dni dzisiejszych, od Mizerere urodzonego do liryzmu i liryczności piewcy z lat klasztornych w *Forges* do Halleluja wojażującego dytyrambisty energii ludzkiej, to jedna z najciekawszych, nienapisanych jeszcze ksiąg naszych czasów. Zmarłych powstały Łazarz Verhaeren przechodzi bowiem wszystkie fazy duchowe od najskrajniejszej negacji życia aż do dyonizyjskiego przechwalania życia, nie tylko indywidualnie ale i uniwersalnie oraz symptomatycznie. To co on dynasta i grand-seigneur przeżywał intelektualnie z mocą tytana i z świadomością natchnionego jasnowidza, to nasze całe pokolenie młodych europejczyków przechodzi z opóźnieniem, wtórnie, załźnie, słabiej, z drugiej ręki.

W każdym jednak razie, opłacające się z lichwą i szczególnie nad wyraz zapoznanie się z jego działalnością twórczą od jej debiutów samoanalizacyjnych począwszy, od tych bolesciwych zawodzeń, uragań przyrodzie, rzekomo okrutnej niszczycielce, od tych napawań się smutkiem *de tout cela*, od tych wyznań neurastenicznych, od tych jeremiad przewlekłych, anemji wychwalanych, paroksyzmów degout do bytu, obarczeń bóstw wyrzutami i apoteoz samozniszczalności czy samozatrącania się,

nirwany aż do biegunowo odmiennych nastrojów i kolorów psychicznych z tomów: „*Falujące lany*“, „*Godziny południowe*“, to jest nie tylko sybarytyczno-literackie przywłaszczenie jeszcze jednego intrygującego nas erupcywnością swego talentu dojrzałego i doskonałego twórcy, ale co więcej to walna pomoc w uświadomieniu sobie kryzysu, jaki każda nowoczesna jednostka twórcza wcześniej czy później musi przechodzić... a zarazem radosne przekonanie się, że te wszystkie identyczne cierpienia wątpliwości, szarpiące niepewności, nienawiści, bóle, depresje, nieustanne konflikty, kwestje moralne, ataki wściekłości, erupcje buntu, które przed krystalizacją finalną dusza męczniącego nawet pośledniego twórcy chaotycznie przechodzi, te same dosłownie przechodzi i kosmiczna, wszechświat w sobie odzwierciadlająca psyché olbrzyma duchowego, słupa ognistego epoki, reprezentanta czasów, twórcy przyszłych wartości, proroka nowych zakonów Verhaerena.

Dla nas zaś, polaków, zapoznanie się z twórcą dawnych: *Zmroków*, *Kłesk* i *Czarnych sztandarów*, a dzisiejszych „*Wyśnionych siół*“ i „*Jasných godzin*“ jest ze wszechmiar jeszcze pożądane i nagłe. Najpierw jest to jeden z tych nielicznych dzisiaj wersyfikatorów, których bez powstydzania się a z wielkim pożytkiem moralnym może czytać moralny człowiek dojrzały i zdrowy na umyśle, któryby każdym innym „zbiorkiem“ liryków natychmiast po rozcięciu kartek wyrzucił o ziem, jako wiązkę przeważnie excentrycznych banałów i przenudnych młodziankowych exhibicjonizmów. Następnie jest to jedyny poeta francuski, który z powodu swej *affirmującej terażniejszości* tendencji, wychwalania epoki handlu, przemysłu, fabryk, maszyn, mostów, portów, doków, bulwarów, kamieniołamów, kopalń, sieci kolejowych... z powodu swej egzaltowanej *adoracji dzisiejszości* z jej gwizdem syren, łomotem kilofów, hukiem młotów parowych, hałasem ulic wielkomiejskich, stukotem pociągów towarowych, rykiem kominów okrętowych, chrzęstem kolejek łańcuchowych..., *in summa* z powodu swej postawy a-romantycznej, antimetafizycznej, skroś-nowoczesnej jest starannie i programmatycznie nie-polecany, nie-rekomendowany i nie-reklamowany przez naszych arystarchesów i aj-wajdelotów



(tak troskliwych komiwojażerów i zachwalaczy wszelkich poetów depressji i destrukcji) a następnie chronicznie nie tłumaczony przez nasze nałogowe tłumaczki wszelkich francuskich krasnoludków i mikromegasów, błazenków i Paul-Fortków...

Dzisiejszy zaś odczyt tego duchowo tak cudownie ocalałego Fausta poezji francuskiej zasługuje na tem większą wagę, że w tytule odczytu mieści się jedno słowo, łyskające jak płomień z popiołów: „entuzjazm“. Jest to słowo dzisiaj w najwyższym stopniu nie aktualne, nie używane, nie warszawskie, nie polskie; *dzisiaj* to znaczy 26 grudnia 1913 roku. Miejmy nadzieję, że z Nowym Rokiem to słowo na nowo wejdzie w użycie i w tym mieście, w którym zawsze było może nie na ustach ale leżało w pokładach duszy, na dnie serc. Metamorfozy duchowe na Verhaerena..., który z mrocznych odmętów apatii, marazmu, depressji, astenji wyszedł śmiałym krokiem radosnej spójności, powinny nas krzepić na duchu, dodać otuchy..., wiary..., nadziei.

Pierwsze tomy liryki Verhaerenowej to był ten częstokliwie się powtarzający przy końcu XIX wieku ściśle subiektywny pamiętnik jednostki odseparowanej od świata cyklopim murem artystokratycznej pogardy i wstrętu, z ustawicznym confiteor duszy niesłuchanie pobudliwej, patetycznej a szlachetnej, zamkniętej w chorem i to gastrycznie chorem ciele (vide Mockel). Obolały, zgorączkowany, zgorzkniały doszczętnie i znękany dolegliwościami anachoreta wiedzie struchlałego czytelnika w labirynt udręki i cierpień swych przeżyć i przemyślań. W hallucynacyjnych, koszmarnych wizjach febrycznych to w monotennie zmornych impressjach, to w dokuczliwie szarych deskrypcjach obrzydza czytelnikowi-laikowi świat okalający, udowadnia bezcelowość, nudę, bezistotność tego wszystkiego i lepką szlamowatą żółciową gorycz ze swej duszy przelewa w setki dusz swych społecznych. Trzy pierwsze tomy Verhaerena to trylogja Golgo thy czasowo ciężką neurastenją obciążonego siłacza, zmożonego chorobą indywidualną i chorobą końca wieku. Jest to całkiem subiektywny kobiecy, bezkostny liryzm, pławiący się z zapamiętałością w swej izolacji, stwarzający mistrzowi wielkie satysfakcje twórcze, ale szerzący

dokoła psychozę negacji i abnegacji, hojnie rozdający emocje omal opiumistyczne, karmiący młodzianków trującymi listkami kwiatu lotosu. Dziwna rzecz, że właśnie utwory z tych czasów mają nieskazitelną pereł (rodzących się jak wiadomo z chorej tylko macicy) i są dosłownie preciozami o definitywnej precyzji formalistycznej, są koronnymi biżuterjami liryki współczesnej, jakim równych nam Verhaeren (jak zapewniają przysięgli arbitrzy i koneserzy) już nigdy nie stworzy i nie rozda. Niektóre z nich mają bliźniacze kongenialne podobieństwo z klejnotami pierwszych serji Tetmajerowych; ta sama gorycz, pustka, nuda, zniechęcenie waporyzuje i odurza ze słów poety, który urodził się „entre la France ardente et la grave Allemagne“, który mówi „o mon âme du soir ce Londres noir“..., albo „mes jours toujours plus lourds s'en vont roulant leurs cours“..., jaka kiedyś panoszyła się w chwilowo chorem sercu Homera naszych Teatr Janosika Tetmajera.

Ale ta apatyczna a bezbrzeżna nienawiść okalającego życia doszła w Verhaerenie do tak krańcowych wreszcie ostateczności, że musiała zawierać już w sobie załączki i pierwiastki reakcyi na ten nie do zniesienia dojmujący duchowy stan, że musiała wywołać nadchodzące przesilenie. Z typowej u chorego antypaty do zgiełku wszelkich miast, do tej pstrej, hałaśliwej, estetycznie nie zjednoczonej kiermaszowości dnia dzisiejszego wyrodziła się z jednej strony zwykła w tych razach i omal już konwencyonalna tęsknota do wielkolinijnej, jednolitej, artystycznie mocnej kultury katolicko-feudalnego romantycznego średniowiecza, z drugiej zaś strony ucieczka młodego mieszczanina za mury miast w pejzaż, w pola, w lasy, w łąki w szeroki, jasny, przestrzenny, zdrowy świat. I oto chorobliwie przeczulony, nerwowo zrujnowany, twórczo samospalający się degenerat, młody adwokat socjalistyczny Verhaeren powoli wżywa się w duszę imaginacyjnie wymarzonego typu jakiegoś średniowiecznego mnicha i jako taki zaczyna pielgrzymią wędrówkę po tej ziemi, której jest synem wybranym a marnotrawnym, wędrówkę nieobliczalną w swych następstwach, wędrówkę uzdrawiającą, kojącą, wyzwalającą. Cichy braciszek z klasztoru nie z Bruges (splugawionego już admiracją wszyst-



kich semickich Safonek europejskich) ale z jakiegoś niedostępnego jeszcze snobom... może Ypern... wędruje z sioła do sioła, ze wsi do miasteczka i zaczyna teraz te oblicza ziemi opisywać. Już patrzy i na kowala przy pracy i na młynarza, dzwonnika, rybaka, nawet grabarza bez niechęci a z sympatją, ze współczuciem. Miasta wampiry są za nim; przeszedł „moce burzliwe“ i „morza listopadowe“. Radują go ogrody i lasy, cieszą pełne stogi i kosiarze przy pracy i wężerze w roztocza rzeki zapuszczone. Z Wirgilową prostotą szkicuje przechodzący do zdrowia pielgrzym bukoliczne dyalogi wiejskie i sielskie...

Pątnik Verhaeren zaczyna kochać chłopą belgijskiego, wpatruje się godzinami w rytm pracującego ciała ludzkiego, z czasem zaczyna wierzyć w piękno pracy, zaczyna się egzaltować dostojenstwem mokołu człowieczego. Z klasztoru wyszedł na pola i łąki, począł oddychać ozonowem powietrzem pleneru *Wszystkiej Flamandji* i oto pierzchają bezpowrotnie zmyry przygniatające klatkę piersiową, znikają demony, które mu wysysały serce, a ostaje się natchniony piewca każdego kątką, każdego strzępka swej ojczyzny, człowiek o potężniejącym z dnia na dzień instynkcie życia, o zwielokrotnionej pulsacji zdrowej krwi, czujący się jednością z przyrodą i z bóstwem, fanatyczny bard doczesności, pogodzony z rzeczywistością, przyjaciel rzeczywistości.

Chłop-gigant belgijski, Reymontowy czy Milletowy chłop, oracz i siewca uczy „poetę z miasta“ Verhaerena respektu przed życiem, szacunku dla doczesności i wiary w człowieka, przedewszystkiem wiary w człowieka!... I były cherlak i charłactwa kunstmistrzowski obrońca czuje już w swych żyłach i ścięgnach przypływ nieznanych sił, nowych sił.

„J'aime mon champ vivant et claire, plus que mes os plus que ma chair“, pisze na jednym miejscu, upajając się formalnie oddechem ziemi, zapachem rozpruwanej pługami gleby, wiecznością ziemi matki. Od jednej granicy Belgii do drugiej przejeżdża wzdłuż i wszerz swój kraj, krokiem wędrowca przemierza wszystkie gościńce i drogi i poznaje wszystko i rozmiłowuje się w swojszczyźnie i uwiecznia to potem w staroflandryjskich

jakby miniaturach, w wierszach w tylu starych gadek, klechd i przyspiewek chłopskich. Zachowuje przytem tę samą dawną bajeczną Verlainsko-muzykalną wibrację wiersza, zachowuje to samo zmysłowe, niepokojąco-ewokujące widzenie wizyonerskie, tą samą widziadlaną delikatność rysunku lirycznego, bezinteresowność lirycznej koncepcji i lirycznej ekspulsji uczuciowej. Ale wiersz jego, wypuszczony już za mury literackiego szablonu w wolny świat zrzuca z siebie ciasny, krępujący frak z parnaskiej aleksandryny uszyty, by rozebrany, nagim, wolnym *vers-librem* rzucić się na oślep w życie. Furya twórcza, przychodzącego do zdrowia i siły Verhaerena wytwarza wiersz nieprzewidywany, wiersz Whitmanowski, bez wyraźnej stopy, to długi to krótki, czasem szorstki, to znów przesłodki, rymujący się u zwińzań, to na drodze ku nim, wiersz spontaniczny. Przypływające siły, rozkochanie się w przyrodzie i rodzący się z tego jakiś fundamentalnie mocny, nowy, zdobyty dopiero w walkach życia a nie przyrodzony optymizm, nie optymizm sytych głupców a optymizm zwycięskich myślicieli, jakiś monostyczny, czy kosmologiczny optymizm, wzbudzają w nim wreszcie zadrżmane poczucie własnej potęgi. W przypływie tego poczucia pisze on tą słynną strofę:

„Je suis le fils de cette race  
Dont les cerveaux plus que les dents  
Sont solides et sont ardents,  
Et sont voraces...“

a na innem miejscu:

„J'aime mes yeux flegreux, ma cervelle, mes nerfs,  
Le sang dont vit mon coeur, le coeur dont vit mon torse  
J'aime l'homme et le monde et j'adore la force  
Que donne et prend ma force a l'homme et l'univers...“

W przypływie też tego poczucia zdobytego zdrowia i siły odważa się już Verhaeren na dwa następne akty afirmacji życia i zgody z życiem. Po pierwsze więc decyduje się poznać byt i innych narodów.



I temu Verhaeren poświęca następne lata, kształcąc się przytem wytrwale i w tak bezwzględnie niepoetycznej nauce, jak socyologia angielska. Ale temu też zawdzięcza Verhaeren kompletne otrzeźwienie, zmęczenie i absolutne wyzwolenie z lirycznej effeminacyi, z kultu słabości, z bzdurnych mrzonek kosmo-polityzmu i z romantycznej, nie męskiej a efebiej poetyckości.

I taki dopiero Verhaeren spełnia drugi akt afirmacyi życia, akt niesłuchanej odwagi poetyckiej, t. j. decyduje się wracać do brzydkich miast, poznać rytm pracy miejskiej, nie tak poetycznej jak praca na roli, zapuścić się w życie robotnicarzy, górników, hutników, rękodzielników, węglarzy, okretowych niewolników i rehabilitować artystycznie i tę ciężką dolę. I ten akt arcy-heroizmu u artysty Verhaeren spełnia za przewodem Meuniera.

To zaś, czego teraz dopiero życie go nauczyło i co mu to życie objawiło, to poświęca „a cele qui vit a mes cotes“ t. j. żonie swojej, będącej, jak wiele żon współczesnych artystów, tymi ich aniołami-stróżami, które Łazarzom, leżącym w pobielanych grobach upadku, każą wstawać, podnoszą ich i wywodzą na życie, na czyn, w słońcu!

Jak Zaratustra z gór, tak Verhaeren z kijem pańniczym w ręku zeszedł z wysokości szczytów wieży ze słoniowej kości, w której się ongiś, izolował — w niziny niepoetyckiego bytowania, zeszedł tam, gdzie stoją fabryki obok fabryk, gdzie wysokie piece deprecjonują idylliczny pejzaż, gdzie kamieniołomy wyszczerbiły zielony dywan ziemi, gdzie w szklanych hutach czerwienią się krwawe potoki roztopionej stali, gdzie w windach-olbrzymich o sinym poranku zjeżdżają w przepaście węglowe całe kohorty młodych smutnych ludzi, gdzie z żelaznych ganków jak tylko spojrzysz okiem w ciemną noc biegną parzyste linie szyn kolejowych i ślizgające się czerwone oczy pełnących pędem robaków pociagowych i tam, gdzie znowuż olbrzymie rzęsiste jasne domy towarowe wyszczerzają swe okna, gdzie w wielkich białych hallach pałaców wystawowych przewalają się tłumy. Tam zeszedł z własnej woli monseigneur

Verhaeren, by to życie społeczne skalowane monotonnie przez cherlacznych estetków, zapoznane stare pannice i emissaryuszów sprytnego kapitalizmu semickiego (obarczonych chytrą misją obrzydzania aryjczykom wskrośzmaterializowanej nowoczesności), by te nowe życie Europy, to dantejskie „nuova vita“ poznać, ogarnąć, wchłonąć i jego misteryum przepotężne rozjaśnić... wyśpiewać...

I oto teraz okazało się, że dopóki Verhaeren był posepnym Tyrteuszem własnych męczeństw, przeklinającym z furją czasy i ludzi, dopóki w Goyoskich halucynacjach w wstrętem i odrazą nieuleczalnego szpitalnika czernił człowieka i przyrodę, plwał w serce Boga i w mózg człowieka, dopóty jak czarny kometa ciągnął za sobą długi ogień i estetyzujących desperatów i utalentowanych abnegatów wdzięcznych mu bezgranicznie za to doszczętne zohydowanie życia tych, co pracują, walczą, zwyciężają lub giną. Negatywny i destrukcyjny, ciemny i ponury był bożyszczem ekwilibrystów wersyfikacji, szlifierzów eleganckich sonetów, wszelakich zapoznanych miernot, macherów wyszukanej tandety, pawłów piskliwych i pysznych, bufonów „sztuki dla sztuki“. Liryzm był bezinteresowny, był godny, dostojny więc immanentny i ważki. Miesięczniki efemerydki drukowały do Verhaerenie sążniste panegiry „pod kątem wieczystości“; delikatne mechesy wypisywały o nim subtelne majufesy. Ale gdy w lwiogrzywym, sumiastym Belgu zaczął z pod romańsko-gallijskiej polewy kulturalnej wyłaniać się człowiek północnej rasy, gdy zaczął się w nim rozbudzać mocny syn Aryów konstruktorów, organizatorów rządów, gdy w przywróconem do zdrowia ciele zaczął rozprężyć się pełen duch, mężki, mężny duch nie częstkę estetyczną, ale wszystką całość życia ogarniający, wtedy ogon komety belgijskiego zaczął maleć, maleć, niknąć, aż wreszcie na firmamencie niebieskim ostała się tylko samotna jasna gwiazda, gwiazda pierwszej konstelacyi.

Paryskie Feldmany i Hirszbandy, a za nimi bandy ich aryjskich elewów i adeptek typowo zapalczywych neofytów kultury artystycznej, poczęły nieufnie spoglądać w górę na nawracającego się ku światu Szawła Verhaerena. Jego sztuka nie była już czystą. Jego liryka zatraćła już kaznodziejstwem,



agitacją, społecznikostwem, interwencją w życiu ludzi dorosłych i dojrzałych, jego poezja stawiała się wodą na młyn „skroś materialistycznej“ burżuazji! aryjskiej burżuazji. Wyzyskały te pajace i rzezańce to, że pod wpływem naporu idei naprężenia i ognistości ducha, bogactwa myśli i żądy co najrychlejszego zwiastowania swojej dobrej nowiny, nowej ewangelii i to, że za przewodem amerykańskiego poety Whitmana, ten istotny Prometyda, aryjski Prometyda Verhaeren zerwał wszystkie szranki rafinowanego konwenansu, szranki własnej tradycji poetyckiej i w mistrzostwie nieskazitelnej formy, kosztem ściśle formalistycznych powabów i uroków zaczął wybuchowo wyrzucać ze siebie obok potoku płynnego złota i szaromętą lawę z lśniącymi seledynowo żuźlami. Te karły i garbuski ducha uczepiły się drobnych skaz, dowolności i potknięć rytmicznych natchnionego improwizatora „Wychodźców“, „Fabryk“, „Zdobyczy“ i do olbrzyma... tak często zaniedbującego cyzela-torstwo formalistyczne, jak często je zaniedbywali Beethoven, Michał Anioł, Balzac, W. Hugo, Poe czy Dostojewski, jeli przykładać te probierce, wymiary i łokcie czysto estetycznych przykazań jakie sobie przykładali z powodzeniem wzajemnie „wesole mimowoli“ megalomany z „Chimery“ lub wypełzłe już dziś znakomitości ze starych zeszytów *Mercure - de - France*...

Nie raczyły zwracać uwagi te brudasy broniące „czystej sztuki“, że ta tak zjawiskowo fenomenalnie nowa przedświtowa treść ideowa musi znaleźć dla siebie samoistny wyraz formalny, że poetyckie pańskie przemienienie codzienności w hymn musi się wypowiedzieć całkiem innymi niż dotychczas środkami ekspresji artystycznej, że pierwsze w wieku naszym zwersyfikowanie rytmu maszyn musi się spełnić przy pomocy całkiem nowych swoistych kunsztów twórczych...

Z tem wszystkiem ani paryskie artifexy i efeby ani ich warszawska expozytura i nasze domorośle kaftaniki czystej sztuczki pogodzić się z Verhaerenem nie chciały. Liryka powinna być zawsze irracjonalną; dla liryka świat rzeczywisty ma być Hekubą; rozum ludzki jest spluwaczką, zdobycze techniki i wiedzy pozytywnej są barbarzyństwem; poezja winna być estetycznym samogwałtem psychicznych exhibicjo-

nistów; badanie pulsu Europy jest żurnalistyką; Amerykę powinny zalać oba oceany; utwór artysty winien być tylko bańką mydlaną; przemysł, handel i złoto są marnością nad marnościami, a nie są ni motywem, ni kanwą dla szanującego się poety; przemysł, handel i złoto powinny być oddane tylko Semitom...

I dla tego Emil Verhaeren, który się tem wszystkiem niedostojnie zajmuje, który amerykańskiego Homera Whitmana naśladuje i synergję pracy wszystkich Aryjczyków apostołuje, ten Emil Verhaeren, który się całej swej średniowieczyzny zaparł i jest dziś tą jakby elektryczną centralą wysoko nabitą i na wszystkie strony Europy wysyłającą wibrujące fale siły, fale poczucia siły..., w teorii optymizmu nie przyniósł rzeczy ważkich...



KULTURA CZECHÓW



**K**iedy się romantycznych oczów spojrzeniem rzuci na ten wyłaniający się z modrej Węławy zjawiskowo piękny wid Hradczanów i tem samem spojrzeniem ogarnie dzieje zmarłych - powstającego w XIX-ym wieku Łazarza czeskiego, na usta ciśnie się tylko jedno słowo: cud, cud! Widzi się omal naocznie, jak wedle prastarej i czeskiej i polskiej legendy dobywają się z czeluści skalnych Wyszehradu czy też Braniku drużyny śpiących rycerzy, jak Anteusz czeski: „Honza“, olbrzym a dziecko, dotknawszy się swej mamy-ziemi, rozprostowuje dziecięcy swój ale zdrowy organizm, przeciera oczy, pręży ramiona muskularne i wreszcie wychodzi w świat szeroki i daleki na świata tego zdobycie.

Ale romantycznych mędrców „szkiełko i oko“ na bok odsuwając, starajmy się możliwie ściłą introspekcją zbadać tego Anteuszowego cudu Feniksową zagadkę, a rychło przekonamy się, że Łazarz powstawał wolno, z blizka ledwo że widocznie, że nim Honza czeski wyszedł na świat i wygrał wielką stawkę swego imponującego rozkwitu, trzy pokolenia zdobywały prawo do życia narodowego piędź po piędzi, stopa za stopą, cierpliwie, uczciwie, po męsku. Cud czeskiego revivalu nie przestaje być cudem, ale historia, dzieje ekonomiczne, statystyka, socyologia, psychologia pomagają nam w rozwiązaniu zagadki, „jak to cud taki mógł się wydarzyć“.

Wystrzegając się w miarę sił gołosłownego panegiryzmu, starajmy się, oparłszy się na materyale dat i cyfr, uwidocznici na jak żelaznej konstrukcyi opiera się wspaniały bezsprzecznie gmach teraźniejszości naszych starszych braci z Zachodu.

Wiadomo przedewszystkiem, że po kataklistycznej bitwie pod Białą Górą i całym szeregu jej konsekwencyi, po zniszczeniu Czech ogniem i mieczem germańskim, spadł na nie



potop kar, konfiskat, pomst ze strony rozjuszzonej reakcyi katolickiego feudalizmu. Cały naród zdziesiątkowany, wycieńczony, po wyróżnieniu omal dosłownie do „nogi“ rycerskiej szlachty, dostał się w ciężkie okowy imperyum niemieckiego. Oficjalnie Królestwo czesko-słowiańskie przestaje istnieć, wszystkie ogniska narodowego bytu zalewano bez opamiętania, tu i owdzie dobijano resztki kacerskich panów, przepędzano precz heretyckie mieszczanństwo; lud, podejrzany o echa husytyzmu, czeskiej wiary, kalwinizmu, topiono w stawach. Nasi, niestety, Lisowczycy, przysłani przez zagorzałego Niemca i ortodoksa Zygmunta III, dopełniali miary nieprawości kontrreformacyjnej. Aż wreszcie i nad całą czeską ziemią zapadła noc niebytu, niemy wiek ogzystencji zadławionej, podziemnej, w czas której język stary schronił się już tylko pod słomiane strzechy, w góry, w lasy, w lepianki, w samotnie, by ino przeczekać straszne, pomór i pożogę niosące dnie sądów ostatecznych germańskich. Praga i ocalone miasteczka stały się od tej połowy XVII-go wieku czysto-niemieckie, a na niespalonych i niezburzonych zamkach osiedli baronowie i freiherzy, hojnie wynagrodzeni łupami za wiktoryę 30-letniej wojny. Imię czecha, synonimujące dojrzałą kulturę i szczytne poloty ducha w wiekach średnich, germańska ręka w stal zakuta wymazała z wielkiej karty cywilizacji. Tak to dotrwało omal aż do czasów Józefa II. Patent tolerancyjny i zniesienie niewolnictwa chłopskiego, poprzednio kasata zakonu Jezuitów i rozwiązanie 60 klasztorów innych, te fakty przedświtowe dopiero pierwsze drgnięciem ożywiającem przeszły przez pogrążony nie w agonię a tylko w letarg organizm przychodzącego do przytomności ludu czeskiego. Od Francji słysząc już było pierwsze pianie galijskiego koguta nadchodzącej rewolucyi: Honza się budził. Dopomagały walnie do rozbudzenia go niewczesne germanizacyjne zapędy ambitnego Józefa II, jego ni stąd ni zowąd „obrażenie się“ na Pragę, zakusy centralistyczne i ukaz wprowadzenia języka wyłącznie niemieckiego do urzędów, sądów, gmin i szkół choćby najniższych. Instynkta lokalnego separatyzmu i reagowania na tę centraliztyczną kampanię z Wiednia już były rozbudzone u panów frankmasonów i deistów pragskich. Czeskość postanowiono jako atut wygrywać

przeciw chimerom germańskim Józefa. Pierwsi czesi mówili po niemiecku, pisali jeszcze i po łacinie, rozumieli nieco włoskie opery, ale już w izdebkach poddaszowych i na zebraniach Królewsko-Czeskiego Towarzystwa Nauki w Nosticowym pałacu (od 1780 r.) debatowali i odkrywali zwolna Sezam staro-żyty i starej literatury czeskiej. Język potoczny uratowały wraz z pierwszym poczuciem narodowej przynależności stare „babiczki“ i mamki z gór „Biety, śpiewające ludowe piosenki“; to zgodnie stwierdzają i matrona Nemcova i wielki komtur poezji Zeyer. Pierwszego kontyngensu narodowego mieli dostarczyć synowie tych od niedawna uobywatelnionych wieśniaków, już dzięki wolności posyłanych do licznych szkół założonych z funduszu 14 milionowego, Jezuitom skonfiskowanego Sztab zaś apostołów czeskiej frondy składał się z młodych uczonych, masonów, z różnych stron Czech w Pradze ze sobą zetkniętych i raczej dla filologicznego interesu z początku czeską mową się egzaltujących. „Gdyby się nad nimi był raz sufit izdebki zawalił, byłyby Czechy znowu nie istniały...“ Mieli oni w sobie wiele z doktrynerów, maniaków i idealistów, Jeden z nich, guwerner u grałów Nosticów, Dobrowski w przystępie sceptycyzmu wyrzekł nawet swe pamiętne: „nie budźcie umarłych!“ do odgrzebywających skárby języka przodków; ale sam budził i rozgrzebywał. Były to jeszcze czasy rokokowej idylli. Niemiecki Michel z łagodnem pobbązaniem i omal serdecznością patrzył na przecierającego zaspane oczy Honzę, pozwolił śmieszna ideą opętany pierwszy młodym patryotom zagrać raz i drugi w niemieckim teatrze po czesku „Dezertera z miłości“, potem nawet sam się przysłuchał oryginalnemu opus „Brzetysław i Jutta“ (1786), potem „z pozwoleniem zwierzchności“ wyszło kilka szwabachą wydrukowanych książeczek, ale wszystko to wyglądało raczej na nieszkodliwe igraszki młodych uczonych... Tymczasem już i Herr Kramerius zaczął wybijać swą gazetkę: „Ces.-Król. krajowe nowiny“, Herr Jungmann wydrukował słownik niemiecko-czeski i sam za darmo uczył po szkołach czeskiego „dyalektu“, wreszcie Herr Pelzl prosił i dostał miejsce lektora tego „dyalektu“ na *universitas Carolina*. Ani się nie spostrzegli pierwsi apostołowie,



jak oto coraz szersze kręgi zataczało ich maniactwo starodawnej czeszczyzny. Za Józefa, następcy Leopolda, w pamiętny czas pierwszej wystawy czeskiego przemysłu ludowego w Pradze w r. 1791, jużby i małe izdebki uczonych z poddaszy na Małej Stranie nie wystarczały dla wyznawców nowej ewangelii, ni wielkie nawet sale pałacu panów Nosticów. Z takim to zapalem fraczaste i harcopfowe niemiaszki roznosiły dokoła pierwsze czeskie książki i pakowały je *par force* w ręce zdumionych mieszczuchów i ich mamsell. Już w teatrze w „butice“ na Końskim Targu nietylko skromnie po południu przepuszczano „bachorki“ i „balaki“ ze śpiewkami, ale pierwszy czeski manażer Bulla już i wieczorami czasem mógł wygrywać po kolei 50 tłumaczonych a 8 oryginalnych dramatów „od“ „Wentzla Thama“. Już „Makbeta“ i „zbójców“ można byto czytać po czesku. Już Herr Pelzl miał znacznie liczniejsze audytoryum, Herr Jungmann drukował nowe, grubsze tomy, w „Ekspedycyi“ Herr Krameriusa był ruch wielki, a Herr Dobrowski korespondował uczenie z naszym księciem A. Czartoryskim i wydawał duże opus po łacinie o „Instytucjach języka słowiańskiego dawnego dyalektu...“ I już kto nie chciał się kompromitować nieporządkiem pisaniem musiał pisać „frei nach Kramerius“... Ba, nawet podczas koronacyi Leopolda panowie magnaci ostentacyjnie głośno rozmawiali ze sobą po czesku... Głęboko wzruszające są te pierwsze momenta zmartwychwstającego poczucia narodowego w Czechach, ten zapal ognisty fanatyków, pobudzonych jeszcze niespodziewanemi sukcesami, ta ochoczość, z jaką i drobnomieszczaństwo i wyższe sfery, przeważnie do cna zniemczonej noblesy przyjmują dobrą nowinę o narodzeniu się czeskiej idei narodowej. Jest w tem coś wprost rozczułającego. Dobroć poufała i łagodność wdzięczna po obu stronach: niemieccy lekarze w okularach pomagają przyjść do życia i zdrowia czeskiemu rekonwalescentowi; czeski rekonwalescent uczy swego lekarza swej starodawnej mowy. Oczywiście apetyty chorego wzrastają w miarę, jak dostaje coraz to pożywniejszą strawę. Nowa faza absolutyzmu Habsburskiego we Franciszku I, Meternicha bezwzględne ograniczenia wszelkich swobód, cenzura, ucisk podatkowy i powtórnie podjęty

plan zgermanizowania Austrii, wysmarzony w miałkich mózgach biurokratów wiedeńskich, ta cała nowa fala reakcyi germańskiej jest tylko pożądaną wodą na młyny czeskiego odrodzenia.

Propaganda czeskiego uświadomienia przybiera już tony zacięte, przekorne i zatwardziałe. W r. 1802 założona pierwsza politechnika w Austrii praska gromadzi i co bujniejsze żywioły młodzieży. Pierwsza broń narodowa: — język — wykształca się coraz zapamiętalej i to w sposób nietylko naturalny, ale omal kunsztowny na podstawach jak najszerzych zapożyczeń z innych słowiańskich magazynów. Drukuje się oryginalne ze wszechmiar tłumaczenie Attali Chateaubrianda z dopiskami, co które rzadsze słowo będzie znaczyło. Pierwsze pokolenie patryarchów piśmiennictwa pisze niezmordowanie dzień i noc, byle było jak najwięcej tomów, byle to wszystko prezentowało się jak najobficiej. Ci dobrzy ludzie, ale słabi muzykańci, z imienia Polak, Houlbek, Puchmajer, Marek, Nejedly i t. p., dają ze siebie całe góry prac, studyów, opowiadań; a ich przyjaciele i wielbiciiele agituja za tem, „ekspedują“ te tomy „po domach“. Jestto wszystko prymitywne i naiwne, zdrowe i ludowe, ale misję swoją spełnia znakomicie. Nawet najchlubniejsze dzieła owych czasów, np. mistrza i pradziada słowianizmu Kollara „Sławy córa“ — są to jeszcze pełzania dziecka na czworakach po omacku. Ludzie z małych miast szerzą zamiłowanie do starosławnej gwary w małomieszczaństwie. Stwarzają się solidne i szerokie podstawy przyszłej pur sange demokratycznej kultury. Równocześnie w r. 1818 założone Muzeum królestwa czeskiego, fundacya grafów Sternberków, staje się pierwszą świątynią inteligencji, pierwszym ogniskiem wyższej kultury umysłowej. W promieniach tego instytutu opracowują pierwsi czescy uczeni europejskiego stempla, Palacki i Szafarzik, dzieła historyograficzne i archeologiczne, w których dla przyszłej kultury urabiają się mocne cementowe fundamenta wszechsłowiańskie.

W głowie ojca narodu, Palackiego, krystalizuje się już pełny program polityczny dla przyszłości. Równocześnie romantyk Macha oswaja się z wyższą artystyczną kulturą na wzorach Polskich, a romantyk Hanka puszcza w świat chytrze



falsyfikaty króloworskich i Zielenogorskich rękopisów (idąc śladem Macphersona, komponującego fikcyjne Ossyanowe pieśni), byle tylko ojczystej literaturze dać jak najodleglejsze mityczne skarby, równe Nibelungom i igorom. Ambicje i nadzieje rosną.

Atoli idyla zgodnej i harmonijnej symbiozy Michela germańskiego z Honzą, czeskim i jego „mamą” Słowiańszczyzną cokolwiek już się zaciemnia i zachmurza. Jeszcze sła wspólną petycję do Ferdynanda Dobrotliwego kataleptyka, o rozszerzenie przywilejów *dla drugiego języka własti*, jeszcze butik Terpsychory jest utrakwistyczną, jeszcze się tam grywa czasem pogodny idylliczny wodewil: „Czech i Niemiec”, ale już coraz rzadziej, coraz rzadziej. Lud czeski, który już przeczytał swoje dzieje, dowiaduje się po raz pierwszy o minionej potędze swej w XIII i XIV w., „o szekspirowskim „Morzu Czeskim”, o swej wspaniałej kulturze w XV w. — i po raz pierwszy może od lat stu kilkadziesiąt marszczy brwi i zamyśla się posepnie... Już teraz i domyśla się, co zawdzięcza „hiszpańskim pryncem” z wiedeńskiego Burgu, co „Krucygerom”, „Braniborom” z Północy. I posepny, utajony gniew ludu tego symbolizuje się cały w mocnej, mądrej i agresywnej satyrze politycznej Hawliczka Borowskiego. Tu i owdzie, przy kufelkach i lampkach wina na razie, wykwitają marzenia o jakowejś republice..., w żyłach czuć napływ tej krwi, co to już tyle buntów chłopskich wszczynala... Nadchodzi wiosna narodów, rok 1848. Wezwani na zjazd do Frankfurtu czesi, jako jedna z germańskich prowincji, nad wszelkie spodziewanie wręcz odmawiają, a co więcej z całą już świadomością swej istności, za przewodem ojca Palackiego, zwołują wielki wiec Słowiańszczyzny do Pragi... Przybywa i eksplodujący anarchią Bakunin... młodzież jest gorącą..., przypadkiem przychodzi do ulicznych manifestacji, pada strzał pierwszy i drugi! Na barykady! Rewolucja!

Wreszcie i bije godzina odwetu rozgniewanego Michela. Po prezencie patentu o zniesieniu pańszczyzny dostaje Praga „uśmieritiela” w osobie księcia Windiszgracza, a lejce austriackiego omnibusa bierze w niezgrabne łapy karykatura Metternicha, arcyreakcjonista Bach.

Ale ten rok 48 dokonał swego. Rzeczywistość twarda i realna obuchem siły militarnej uderzyła w plecy miłego Honzę, któremu, jeszcze niedorostkowi, już się coś zamarzyło o czeskiej idei państwowej... republice... samostatności... Zasnęło się Honzie ni stąd, ni z owąd, że ma siedmiomilowe buty na nogach i że już doszedł do swego celu. Armaty Habsburgów i śruba centralna kancelaryi wiedeńskich przypomniły mu smętną i jeszcze bezsilną rzeczywistość. I matuszka Słowiańszczyzna wysłaniem swoich regimentów na Węgry, ku podparciu podpiłowanego tronu Habsburgów, dała mu też wiele do myślenia... Honza, ząbkujący politycznie, zamyślił się i podrapał w głowę. Nasunęły mu się refleksje, że jeszcze sam musi rość, mieć krzepsze łydy i bicepsy muskularniejsze. Honza nabierał przekonania, że nie tylko słowem Bożem żyje człowiek, że nie tylko w literaturze eksponują się żywotne i ambitne narody, że nie tylko bibuła i zwały druków prezentują kulturę narodu. Jeszcze stary Michel mu mówił, że kultura zależy i od tego, czy Honza co dzień się myje i czy wiele mydła zużywa... Przytem radził mu Michel kupować mydło tylko niemieckie! mydło Schichta! uniwersalne mydło Schichta!

I Honza teraz wiedział już, co ma zrobić... Na złość Michelowi postanowił sobie mieć mydło własne... Postanowił zamknąć się i ograniczyć bardziej w sobie, sprężyć się i skupiać, pracować i organizować, a już tylko godziny wypoczynku przeznaczać na „Słowo Boże” o czeskiej przeszłości, na literaturę. Czeski lud zatęsknił za ładem własnym, dostatkiem i siłą.

Na szczęście, nie za późno. Przemysł, ku któremu skierowała się młoda ekspansja sił, nie powstawał tu pod różdżką czarodziejską. Jego tradycje sięgały jeszcze Karola VI (sukienictwo, płótno, szkło); za Maryi Teresy już cudzoziemskie kapitały stałym korytem wpływały do kraju, uprawiano lepszy len, lepszy rzepak i szkoły rolnicze powstawały; za Józefa II około 100 fabryk stanęło na stoczach gór wśród lasów.

Rok 48 odurzył Honzę takiego, jakim on jest in completo, wiary w siedmiomilowe buty rewolucyjnych cudów a na razie i ufności w jakąkolwiek realną pomoc wielkiej Słowiańszczyzny. Hawliczek z Rosyi wracał już nieco wytrzeźwionym



„tylko Czechem“. Zato nauczył czechów miłości tylko do siebie samych, do swych interesów i swych ideałów, do swej pracy i swych nadziei, nauczył go *egotyzmu narodowego* t.j. kochania bliźnich narodów, jak i siebie samego, ale nie więcej! Nie więcej!

Szczęśliwy, że mu oszczędzili jego mistrzowie szczytnej roli Mesjasza narodów! Szczęśliwy, że mu nie przykazywano czekać cierpliwie na Królestwo niebieskie, gardząc ziemskimi dostatkami i materyalną siłą. Szczęśliwy po trzykroć czeski Honza, że po starej Babiczce i mamce Biecie nie dostał za mentora „rozumnego szaleńca“ „pijanego natchnieniem“ i niemiecką filozofią oszołomionego mentora, któryby mu w rozpieszczonych oktawach gloryfikował młodziankowy „*heroizm ofiary*“, bagatelizując i szydząc z męskiego i twórczego *heroizmu obowiązków*.

## II.

Czasy Bacha i wszechpotęgi biurokratycznych pasorzytów — to najsmutniejsza karta w dziejach zarówno czechów, jak i galicyjskich polaków. Strumień życia narodowego zapada znów od czasu do czasu pod ziemię. Do pełnoletności przychodzi po znoszącym pańszczyznę patencie Ferdynandowym największa i najszerza warstwa — lud, a punkt ciężkości z życia małomieszczańskiego przesuwają się zwolna na życie wsi. Pomimo zacieklego ucisku centralistyczno-wszechgermańskiego, przybywa już i czeskich pism peryodycznych. Do pierwszego literackiego z r. 1806, do pierwszego naukowego z r. 1821, dołącza się około r. 1850 aż 7 czeskich; nie jest to wiele, ale i niemało, gdy się zważy, że dopiero właściwie drugie pokolenie umie czytać po czesku i rozumie. Ze zdobywaniem Moraw dla czeskiej idei narodowej idzie ręka w rękę zdobywanie jak najszerzych warstw sedlaków dla kulturalnego uświadomienia. Już i do uniwersytetu i do politechniki przedostają się czesi jako profesorowie, już w korytarzach uczelni najwyższych śmieiej brzmi „*idjom słowiańsko-czeski*“. Teatr jest nadal utrakwistycznym, czy to w reutowych salach na Rożanej, czy w Arenie i najciężej musi walczyć z obojętnością publiki praskiej. Zainteresowanie się nim rośnie dopiero, gdy

repertuar narodowy dostaje dwóch przepłodnych dostawców, Klicperę i Tyla, z których każdy płodzi po kilkadziesiąt dramatów patryotyczno-rycersko-średniowiecznych, taszcząc na scenę oczywiście i Husa i Žyžkę.

Ogół narodu cokolwiek chłodnieje w zapalach bezkrytycznych dla każdego drukowanego słowa, a natomiast pracuje coraz intensywniej w praktycznych zawodach, w warsztatach i na roli. Życie narodowe nabiera charakteru dośrodkowego. Poczucie siły wzrasta znów o jeden stopień po upadku sromotnym Bacha. Rok 1862, to rok emancypacji całkowitej teatru czeskiego, który, rozwiódłszy się z niemieckim, przenosi się do własnej, tymczasowej „budy“. Rok 1863, to data narodzin nowej muzyki czeskiej w Smetany „*Braniborach w Czechach*“, tej muzyki, która z czasem, reprezentowana jeszcze przez Dworzaka i Fibicha, stanie się jednym z bardzo typowych przejawów genialności plemiennej i zdobędzie sobie Europę w tryumfalnym pochodzie.

Dusza ludowej burżuazji czeskiej kształtuje się właśnie w tych latach, co prawda nie zawsze bardzo szczęśliwie, gdyż reakcja wiedeńska, pchając ją w objęcia kazonnego panslawizmu lub, przekupując dla austriackiej idei centralistycznej, demoralizuje ją tendencyjnie. Są to właśnie czasy renegatów Preclitschków w Galicyi, jako „forsteherów“, „krajshauptmanów“, „hofratów“, wyśmianych świetnie przez naszego Lama i czasy takichże preclickowych renegatów czeskich na rosyjskim uniwersytecie w Warszawie, ubierających się w czamary, wielbicieli Milutina i Czerkaskiego.

Ta sama era narodzin burżuazji kształtuje też młodoczeski liberalizm, ta sama w początkach swych wysylda przepiękny poemat Mahy: Maj, w końcach swych przemilcza Zeyera, ogląda wielkiego mistrza malarstwa Manesa. Patryotyzm z tych czasów lubi na niedzielę odtńczyć sobie kamarińską na przekorę Wiedniowi, słowiaństwo tych czasów jedzie do Moskwy Katkowi i Tołstoja, jako do Mekki antygermańskiej. Na te lata przypada też zadrażnienie największe stosunków polsko-czeskich, w tych latach grasuje nagminnie typ czeskiego parweniusza i karyerowicza, typ uniżonego lojalisty to



dla Petersburga... to dla Wiednia. Egotyzm patryotyczny zwyrodniał się w kierowniczych grupach w egoizm szowinizmu, podszytego kultem dla despotyzmu. Są to czasy ciężkiego i ciemnego przesilania się czeskiej idei politycznej. Nie grzebiąc w tem dziś już opuszczonem śmietnisku poronionych kombinacji historyzoficznych, zaznaczyć trzeba, że pod tą zewnętrzną skorupą lawy, brzydką, brudną i twardą, rozpościerało się życie żywe i bujne, wytwarzające specjalne formy solidarności narodowej, specjalne instytucje narodowego uświadamiania, specjalny ton demokratycznego egzystowania. Szkoły, macierze, besedy, wystawy świętojańskie, nalepki, podatki narodowe, te wszystkie charakterystyczne kształty solidarności społecznej wytwarzały się w myśl podszeptów ducha plemiennego. Z wzrostem przemysłu ludowego, artyzmu w pracach zimowych na wsi, wzrasta i strawną literaturą ludową, szeroko się rozlewającą, fortunnie zaczęta standardworkiem B. Nemcowej „Babiczka“, podpierana talentem Trzebickiego, a do dzisiejszych czasów dochodząca w nazwiskach: Reissa, Bahra, Szimaczka, Sztecha, Kronbauera i innych. Wielką twórczość w mocnej prozie i wykwiintnej już poezji sygnifikuje tryumwirat trzech filarów literatury: Neruda, Cech i Vrchlicki. W nich już powieść, dramat, nowela, feljeton i wszystkie wogóle formy krasopisarskie otrzymują całkiem świadomych, europejskich i bardzo płodnych przedstawicieli. Smak ich i styl, tresura umysłowa i dyscyplina artystyczna emancypują się z pod popularno-spiessbürgerskich modeli i patronów niemieckich, a widoczne skłanianie się ku romańskiej kulturze, francuskim wzorom — w wielu już pracach się przebija.

Wreszcie i sztuka dramatyczna dostaje swój chram godny tumu świętego Wita, w pamiętnym roku 1881. W tych warunkach Narodne Divadlo staje się istotnie i świątynią w Efezie i miejscem Dyonyzejskich „sławności“, Pielgrzymują doń tłumy z najdalszych stron i zakątków Bohemii. Uroczystość otwarcia staje się w wielkim stylu świętem narodu. I choć złośliwem losu zrządzeniem 12 sierpnia tegoż samego roku wszystko jednej nocy idzie na pastwę płomieni, naród czeski

już genialnie solidarny, ambitny, czujny, bogaty, wici smutne otrzymawszy, groszowemi datkami w dni kilkanaście zbiera jeszcze większy fundusz. I staje po dwóch latach jeszcze wspanialsza „kapliczka nad Wełtawą“, monument *aere perennius!* Ten symbol renesansowy narodowej woli i siły długi czas teraz będzie streszczał w sobie sumę najrozmaitszych przejawów duchowego żywota. Wszystko wysili się na to, aby w tej świątyni Piękna język czeski miał już ton imperatywny i pański. Do apelu staje cały szereg twórców dramatycznych, jak Halek, Samberk, Stolba, Bordech, Wł. Cech, Szubert, wśród których na pierwsze miejsce wybija się pierwszorzędny mistrz słowa, poważny, mocny i pański twórca Jirasek, świecący kolejno cały szereg zasłużonych tryumfów, szczęśliwy autor „Margrafa Gerona“ i istnego snu czeskiej nocy letniej: „Latarni...“

Na polu a raczej ugorze politycznym czesi patentem konstytucyjnym z 1860 r., czując się skrzywdzonymi, rozpoczynają swój absenteizm parlamentarny, bodaj że niefortunny. Obiecany współabsenteizm polski w ostatniej chwili zawodzi, pomnażając wzajemne gorycze, niechęci i żale... Rewanżując się za bezsprzeczne zaparcie się Czechów przez pobratymców galicyjskich, przezywają odtąd „Narodni Listy“ a z niemi wszyscy młodocześni i całe Czechy Królestwo Polskie „Powiślem“. Wreszcie za Taaffego następuje zelżenie w napięciu antygermańskim przeciw Wiedniowi i absencya się kończy. W r. 1882 dostają czesi własny, pełny uniwersytet po długoletnich, mozolnych, ale pełnych taktu, powagi i sumiennosci staraniach, nie stanowiących żadnej analogii z hajdamackimi ujadaniami i borbami działaczy-boryteli ukraińskich. W Narodnim Divadle to Vrchlicki to Smetana zastawiają przed swym narodem dosłowne uczyty artystyczne, a Szekspir kanonicznie i pietystycznie wystawiany staje się własnością kulturalną Czechów.

W r. 1885 daje Honza wielki jubileuszowy koncert swej pracy realnej i swego patryotyzmu przemysłowego i gospodarczego w Pradze. Egzamin *cum summa laude* zdaje już przeszło 4-milionowy naród. W r. zaś 1892 na wystawie teatralno-muzycznej w Wiedniu czeska muzyka i czeski teatr święcą



wielki absolutny tryumf sukcesami „Dalibora“, „sprzedanej narzeczonej“, „Dymitra“ i pięknej poezji Vrchlickiego. Nawa narodu czeskiego z potężnego i trwałego materiału zbita płynie spokojnie ku tajemnym dalom przyszłości, nie przechylając się na boki nawet przez to obecne, gorszące omal polskie rozprężenie wśród brygady swych marynarzy; płynie spokojnie, bowiem u steru nawy stoi z zakasanymi rękawami dzielny Honza, dojrzały, dorosły, twórczy, trzeźwy lud.

Od czasu jeszcze, kiedy zwyciężył t. z. pozytywny kierunek polityczny t. j. aliaż jakoby cośkolwiek z naszych dawnych haseł organicznej pracy, a coś niecoś z ugodowego realizmu, w każdym razie kierunek chemicznie wyprany z wszelkiej blagi idealistycznej i przelicytowywania się we frazesach, tempo życia ogółowego wzmogło się też niesłuchanie, a sukcesy narodowe mnożą się mimo pozornego zniechęcenia i braku oryentacji na samej życia publicznego powierzchni. Niesłuchane różniczkowanie się w programach i doktrynach polityczno-socjalnych nie tyka ani na jednym punkcie peryferyi solidarności i ekspansyi gospodarczej, nie oziębia ani o stopień wysokiej temperatury uczuć narodowych. Może w jedynych Czechach istnieje dosłowna doktryna i partya patryotycznego socjalizmu. Najzagorzalszy socjal-demokrata uzna w pośle leaderze Kramarzu działacza europejskiego gestu, dzięki któremu bawelna z 250,000 wrzezion jedzie już i do Indyi. Pod hasłem kooperatyw sunie swój ku swemu i wszyscy są silni swym zespołem. Ten kapitalny zespół podziwia się i w Narodnim Divadle, i zazdrości się go na Cieszyńskim Śląsku, w kapeli Filharmonii i na zebraniach politycznych na Morawach, ba, nawet i w amerykańskich koloniach i u cukrowników, na Wołyniu. Nie trzeba ich sądzić według polemik, waśni, podkopywań i intryg stronnictw, klubów, swarów i zapienionego wrzasku dziennikarzy, ale trzeba ich widzieć i admiirować, gdy będzie chodziło o czeski uniwersytet w Bernie (w 1908 r. odmówiony) lub o regulację Węławy czy Łaby! Wtedy ta brygada czeska ze 108 ludzi, na 8 klubów niepotrzebnie rozbita, da wielki spektakl karności, jak go dawała już tyle razy, choćby ostatnio przy wystawie r. 1908; nawet *enfant terrible* Kłofacz nie wyrwie się wtedy ze swoim roz-

wichrzonym indywidualizmem, jako nasze Filipy z Konopi się wyrrywają, by potem uciec... na Pragę...

I choć tej załodze z parlamentarzystów i polityków czeskich możnaby wiele zarzucić, choć sukcesy na polu politycznem Czechów nie mogą się równać ani części ich sukcesom kulturalnym, to jednakże z góry zastrzedz trzeba, że przegrane polityczne zewnętrzne bynajmniej nie paralizują życia wewnątrz, nie demoralizują, nie wywołują stanów tak klinicznej depresyi ogółowej, jak np. u nas. Na szachownicy austriackiej polityki mogą zgorączkowani leaderzy brać mata po macie, a w kraju puls życia bije całkiem równomiernie. Po odniemczeniu Pragi — i całej plejady miast czeskich przychodzi kolej na wytrzebienie napływowej szwabszczyzny z miast morawskich. Już nie jedno, ale cztery muzea mieści w swych murach złota Praga i nie jeden bank, lecz cztery wielkie a moc i przemoc małych „załozni“ choćby w najmikroskopijniejszych miasteczkach. W pejzażu Szwajcaryi czeskiej stare ruiny dziwnie nie kłócą się a harmonizują z kominami fabryk i „zawodów“, 150 zamków starych tworzy pendent do 150 cukrowni. Typ Wielkosedlaka zaczyna być typem herbowym Czech. Wszędy gospodarka najintensywniejsza, najpostępowsza, wszędy rola i gleba „uprzemysłowiona“. Szkoły fachowe i szkoły gospodarskie kształcą młodzież, której patryotyzm polega na pracy, sporcie, oszczędności, erotycznej normalności, fizycznej sprawności, znajomości dziejów ojczystych nie na deklamacyach i historycznych atakach... Nadprodukcya intelegencyi pcha młody narybek do przemysłu i handlu, nie do pajdokracji dyktantyzmu literackiego, strajków, bojkotów, szpitalów i nędzy. Budżet oświatowy w r. 1907 wynosił w samem Król. Czeskiem 43 mil. koron, analfabetów Czechów jest 4.26% w Austrii (gdy Polaków w Galicyi 40.82%, a w Królestwie?... a w Warszawie?...). Czeskich gimnazyów w Austrii istnieje 52 (polskich 49), realnych szkół czeskich 43 (polskich 11), politechnika praska i berneńska miały w r. 1907 Czechów 2,952, uniwersytet praski przeszło pięć tysięcy! W języku czeskim wychodzi 320 pism politycznych, 530 niepolitycznych (w r. 1885 było wszystkiego 175), jedna polityczna gazeta przypada w Austrii na 18,900 Czechów (na 44,762 Polaków). Uzupełniające szkoły przemysłowe dla



rzemieślników ukończyło w r. 1907 Niemców 56 tysięcy, Czechów 55,998, Polaków 7,067; stowarzyszeń rzemieślniczych jest w Czechach 328, a członków 54,230 i t. d. i t. d. Sokół czeski liczy w ogólnej sumie do 70,000 członków... Czechów po ministeriach austriackich jest mniej więcej cztery razy tyle co Polaków... Teatrów czeskich w Pradze jest obecnie sześć, a trup amatorskich, zorganizowanych w stałe związki przeszło 60. W Otta „Słowniku naukowym“ współpracowało przeszło tysiąc stu uczonych czeskich. Oto wonna cyfr wiązanka; Czesi mogą jeździć swemi wagonami, ścigać się swemi automobilami i swemi rowerami, grać na swoich instrumentach, pisać swoją stenografią, zarzucać świat swemi gramofonami, pić swoje piwo i swoje wino, wyrabiać swoje maszyny drukarskie i drukować na swoim papierze, mają samodzielny eksport i import, tani kredyt dla wszystkich spółek udziałowych, zorganizowany kapitał. Oparci na samych sobie, mogą sobie zupełnie wystarczyć, nie oglądając się na nikogo w Europie. Szacunek, jaki dla małego ledwie, że siedmiomilionowego narodu, żywi cała rasa anglosaska, sympatya, z jaką do nich odnosi się nawet tak wstrętne egoistyczna Francya, i bojaźliwa nienawiść, jaką względem Czechów pieni się zdegenerowany prusactwem pangermanizm, są najwyraźniejszymi, sprawdzonemi dokumentami wartości tego jedynie kulturalnego z narodów słowiańskich.

Pozostawałaby jeszcze kwestya, jak na podwalinach tak imponującego odrodzenia się przedstawia się dzisiejsza kultura form bytu, towarzyskiej egzystencji, wyrobienia światowego, dobrego smaku, wykształcenia, stosunek do sztuki i piękna, wreszcie korona życia, kultura duchowa. Otóż i na tych polach i w tych wyższych i wysokich regionach zanotować przyjdzie same plusy i progresy. Czesi zwolna ale systematycznie wyzwala się ze swojej poczwarkowej fazy małomieszczaństwa. Społecznością demokratyczną zostaną już zawsze, a w typie oglądy zewnętrznej najwięcej zbliżać się będą do rubasznych i swobodnych Amerykanów. Nie mieli wieku XVIII w swych dziejach i nie mają szlachty. Wprawdzie obecnie, po Lobkowitzach, Thunach, Harrachach już coraz więcej rodzin arystokratycz-

nych od wieków zniemczonych, zaczyna pośpiesznie się Czechizować (świeżo hr. Kaunitz, pisząc się Kounic, ofiarował 600,000 koron na Dom Akademicki w Bernie), wprawdzie wszyscy członkowie dynastji habsburskiej uczą się obowiązkowo i mówią po czesku, atoli oficjalnego high-lifu czeskiego jak nie było, tak niema, „salonu“ czeskiego, jako w pojęciu terenu artystyczno-kulturalnego, nie było, niema, a życie towarzyskie, niestety, nadto z niemiecka centralizuje się poprostu w kawiarni czy w knajpie. I na tem to polu, jak niektórzy twierdzą, mogliby wiele (czy jedynie tylko) zyskać bracia z nad Wławy w bliższym zetknięciu się i zaprzyjaźnieniu z braćmi z nad Wisły...

Stosunek do literatury i sztuki także przybrał już całkiem europejskie formy. Imię niegdyś zlekceważonego mistrza „Manesa“ nosi dziś wielkie i silne stowarzyszenie artystyczne, mające swój pałacyk sztuki, swój świetny, od 10 lat wychodzący organ wyłącznie artystyczny „Volne Šmiechy“ i drugi sztuce stosowanej poświęcony „Style“, swoje zakłady reprodukcyjne. Czeski naród wydał największego i najoryginalniejszego dziś rzeźbiarza słowiańskiego Franc. Bilka. Malarstwo czeskie liczące się dopiero od drugiego pokolenia, ma już kilku twórców wielkiej marki, by tylko Uprkę, Kalvodę, Panuszkę wymienić. Obrazów z „wystawą“ po prowincji jeżdżących nie tylko już nie krają ni opluwają mili parafianie, ale je... kupują. I mecenasów sztuki, idących śladami Wojciecha Naprstka, czy fundatora milionowego Hlavki i kolekcjonistów w typie dawnego zbieracza szkła pana de Launa, mają Czechy bogate coraz więcej. Całkiem zwykli panowie Duda i Stetka rozpisują np. własny konkurs na dramat. Może i niezbyt błahym a nieco zaciekawiającym będzie i taki szczegół, że Praga ma trzeci w świecie największy zbiór drzewo i miedziorytów (de Launa), a Czechy drugiego z rzędu w świecie kolekcjonistę... orchidei (Roezla)...

W stosunku do literatury charakterystycznym jest, że nazwę zlekceważonego niegdyś poematu Mahy: „Maj“ przejęło największe i potężne stowarzyszenie pisarzy, liczące do dwustu członków. Jak w życiu gospodarzem, tak i w inte-



lektualnem, wszystko tu zorganizowane i składne. Wychodzi moc książkowych miesięczników i tygodników..., różne ducha kierunki w Europie odzwierciadlających; obok starożytnej „Osvety“ (Biblioteka Warsz.), całkiem nowoczesne: „Nowina“, „Maj“, „Lumir“, „Moderni Revue“, („Mercure de France“), dawniej „Kvety“, „Rozhledy“ (Hlidka), „Nov Zivot“, (modernizm chrześcijański) i moc innych. Piśmiennictwo przeszło już dawno erę edukowania, poprawiania i „krzepienia serc“ narodu. Idee Cecha, Nerudy, Vrhlickiego przeszły w krew i żyły całej nacyi. Nowe pokolenie stanęło już raczej pod rycerskim proporcem wytwornego artysty Zeyera. Nie mają czesi nadal kwalifikującego się na europejski eksport dramatu, z wyjątkiem Kvapila, Hilberta, Mrstikon, nie mają (poza Breziną) istotniejszej liryki t. j. tej najmniej potrzebnej, a u nas zachwaszczającej wszystko profuzji osłabłego, schorowanego, niewolniczego i skobieconego ducha rasy, ale mają doskonałą prozę beletrystyczną, wprost świetną krytykę literacką, (Szalda, Wodak, Krejczy, Prohazka, Marten), bardzo interesującą satyrę polityczną i społeczną (Machar, Dyk, Neuman, Horky, Losztia, ba, nawet An. Sova), która stojąc już na stanowisku bardziej krytycznem wobec przesycenia całej atmosfery postulatami, interesami i frazesami narodowemi, opierająca się bardziej na realistyczno-radykalnych doktrynach grupy profesorów Masaryka i Drtiny, stara się nieco przewietrzać Czechy i oczyszczać od nadwyżek blagi vlasteneckiej. To zresztą emancypowanie się lekkie od presyi przesadnego i już dokuczliwego nacyonalizmu, od idolatrii „swojszczyzny“ odczuwać się już daje i w malarstwie ostatniem, poszukującym ponad — i pozanarodowych stylów, dróg, technik, motywów, kształtów, barw i w muzyce (Foerster, Weiss, Nedbal, a szczególnie Nowak) i w poezyi dramatycznej czy innej, emigrującej masowo z terenów rodzinnych w najegzotyczniejsze ziemie, czasy, epoki, w dziedzinie legend, bajek, byle nie rzeczywistości. Dochodzi do tego, że punktualni praktykanci pocztowi płdzą, przedrżniając Maeterlincka, tragedye renesansowych książąt, a skrupulatne Remington-mamselle ze sklepów tęsknice swe do mężczyzny mocnego wierszem wygrywają, kontefretując się jako bra-

banekie czy burgundzkie prynCESSY. Jest to nieszkodliwe, gdy się zważy, że tom druku kosztuje 50 zhr., tylko, że bezcelowe wobec braku chętnego temu ku świata czytelniczego. Wielka reszta literatury pracuje solidnie i sumiennie nad transponowaniem, kompromitowaniem życia czeskiego dzisiejszego w powieści, noweli, dramacie i komedyi w takim świetle, na jakie ono wedle indywidualnego temperamentu twórcy, choleryka czy sangwinika, melancholika czy abnegata.. zasługuje. Z dowolnego kompletu takich książek poznać można bardzo już gruntownie dzisiejszy nurt życia czeskiego w Pradze, na prowincyi, na Morawach, w Wiedniu, w Ameryce, na Wołyniu, w Tatrach, w rajskiej „Hanie“, w kopalniach, w fabrykach i na okręcie.

Cała literatura, podobnie jak i nasza, czeka niecierpliwie na swojego hr. Melchiora de Vogüé, lub w gorszym razie swojego Brandesa, któryby ją zechciał wywieźć z ziemi egipskiej, z domu niewoli, od swoich krytyków, swojej publiczności, tak od kultu, jak i od zapoznania przez swoją własną partyę, patryę i parafię; inaczej czeka na „swojego“ francuza, któryby ją „odkrył“, sprezentował Paryżowi, Francyi, Europie i... sobie nie zaszkodziwszy, i nam innym wszystkim pomógł...

Czeka na to i czeski Honza, dziś już dojrzały mężczyzna, „wielkosedlak“ z małym brzuszkiem, dobrobyt figurującym; czeka, patrząc z góry na swoich małych chłopaczków, uganiających się po polu za zwiewniami „Pampeliszkami“ wszelakich egzotyzmów, ultrasymbolizmów, hyperestetycyzmów i supra-dekadentyzmów... I cierpliw jest wielmożny pan Honza, bo wie, że druk tomiku kosztuje najwyżej 100 koron i to na „własnym“ papierze, „swojskimi“ czernidłami na „rodzimych“ maszynach drukarskich...

### III.

Stosunki wzajemności literackiej i wymiany swoich utworów między dwoma jedynie bratnimi narodami zachodniej Słowiańszczyzny są dopiero w stanie ząbkowania.

Na przestrzeni dziesięciu lat mniej się tłumaczy ze spokojnej, krzepkiej i życiu przyjaznej literatury Niemcowej, Nerudy,



Zeyera, niż w jednym roku, ba! w jednym kwartale z haszyszowej, trującej i tępiącej witalną energię młodzieży literatury zatracen-  
ców Wschodu. Nasza nieznajomość literatury czeskiej podobna  
jest do tej ignorancji, jaka się zachowała w tradycji po ks.  
biskupie A. Załuskim, człowieku tak zresztą wszechogarniającej  
wiedzy i tak światłym. W jednym z listów swoich, prze-  
chowywanym dotychczas, w przejeździe do kąpiel w Czechach,  
pisze on, „że są tu jakowś ludzie wśród Niemiaszków, gadający  
językiem bardzo naszemu podobnym.“ Już atoli inny biskup,  
nieco później żyjący, ks. Kossakowski, wydaje pierwszą wiado-  
mość polską o literaturze pobratymczej koło r. 1803: „Rzut oka  
na literaturę czeską.“

Dzisiaj nie tłumaczmy atoli z tego języka prawie nic,  
aczkolwiek w wieku XIV. i XV. jemu zawdzięczamy swój wyższy  
poziom kulturalny i, aczkolwiek oni np. tłumaczą już w XV.  
wieku takie pieśni religijne Władysława z Gielniowa, lub np.  
pierwszy polski utwór świecko-dramatyczny Reja, myzogyniczny,  
dIALOG Warwasa z Dykasem (jedyne tegoż rękopis w Muzeum  
Narodowym Czeskim).

W r. 1834 wydaje krótki zarys literatury czeskiej K. Wina-  
rzycki, a pod wpływem poczęcia się idei słowiańsko-rasowych  
i filozofowie nasi i uczeni nawiązują stosunki ze światem nau-  
kowym czeskim, kiedyś na krótko tylko zadzierżgnięte między  
ojcem sławistyki Dobrowskim a naszymi badaczami literatur:  
ks. Adamem Czartoryskim i Bandtkie-Steżyńskim. Libelt i Tren-  
towski jeżdżą do Pragi, gdzie są znani i tłumaczeni.

Wpływowi historyzoficznych idei Trentowskiego poddaje  
się jeden z najgorętszych, herbowych patryotów czeskich, publi-  
cysta Karol Havlíček-Borowski, legendarny słowianofil, otoczony  
w Czechach przez lud kościuszkowskiego aureolą omal bohaterstwa  
i męczeństwa.

Dopiero po 48. roku i po zjeździe praskim zaczynamy się  
goręcej zajmować Czechami. Charles Edmond Chojecki po  
powrocie z Pragi wydaje dwutomową, kompilację pół-nau-  
kową p. t. „Czechia i Czechowie“. Eliszka Krasnohorska tłumaczy  
bardzo poprawnie „Pana Tadeusza“, a powieści Dzierżkowskiego,  
Zacharyasiewicza, Bałuckiego, Wilczyńskiego, Czajkowskiego,

M. Pawlikowskiego raz po raz pojawiają się na praskich półkach  
księgarskich w tłumaczeniu Klika, Kosznara, Nečasa lub wreszcie  
serdecznego przyjaciela Polaków, a już szczególnie Krakowa:  
Szwaba-Połabskiego. Z poetów, o ile wiemy, Siemieński, Wa-  
silewski, Asnyk i wreszcie Słowacki, znajdują translatorów  
w p. Vondračku, Volaku, Nečasie i w naszej literaturze jawi  
się kilku świadomych przyjaciół piśmiennictwa czeskiego, jak  
zmarły Bronisław Grabowski, a z żyjących profesorowie Baudoin  
de Courtenay, Brückner i uczony spraw aryjskich, druid gaelicki,  
szanowny poseł kaliski Parczewski. Potężny wzrost naszej  
literatury, symbolizujący się w trzech nazwiskach: Sienkiewicza,  
Prusa i Orzeszkowej, powoduje w Czechach wzmocnienie ruchu  
tłumaczeniowego. Dr. Bożywoj Prussik i Krebda zaznają Cze-  
chów z Reymontem, Żuławskim, Kisielewskim; p. Rácek  
specjalizuje się w Sieroszewskim; Tetmajera tłumaczyli p. Ma-  
ternowa (także Konopnickiej „Italia“), K. Rieger i Pawlista,  
Przybyszewski ma tłumaczy w p. Brzeska i Fúćiku, a bardzo  
inteligentnego i fanatycznego propagatora i tłumacza w p. Miro-  
sławie Kropačku. Weysenhoffa tłumaczył p. Vondraček.

Oczywiście wpływa też na niepomierne zwiększenia ilości  
tłumaczy z polskiego i ta okoliczność, że w Pradze istnieje  
prywatna szkoła nauki *specjalnie języka polskiego*, rok rocznie  
wypuszczając w świat przeciętnie 80 osób, mówiących dobrze  
po polsku!

Otóż tej rzeczywistej przyjaźni dla naszego piśmiennictwa  
i tej imponującej liczbie tłumaczy z naszej literatury my prze-  
ciwstawić możemy bardzo mało. Nawet jeżeli już uwzględnimy  
bezsprzecznie znacznie skromniejszy stan i dynamikę literatury  
czeskiej, zbyt mało. Nie mówimy już o pracach krytycznych  
i informacyjnych. Tu broszurowy zarys prof. Zdziechowskiego  
p. t. „Karol Chynek Macha i byronizm czeski“ stoi prawie  
odosobniony.

Rzetelny przyjaciel i tłumacz poetów czeskich, M. Szukiewicz,  
od jakiegoś czasu milczy, jak zaklęty. Tu i owdzie bardzo  
sporadycznie jawią się informacyjne szkice dr. Franciszka  
Krčka ze Lwowa, prof. Magiery, lub rapsody krytyczne świet-  
nego stylisty, p. Nalepińskiego. Tłumaczy się bardzo mało,



i to tylko *rzeczy krótkie*, nowele, coś z Jiráską, z Nerudy, Cecha, to z Arbese lub Machara. Jedyne wyjątek stanowią dwa tomy Zeyerowe Zenona Przesmyckiego, okupujące niejako swoją wyrafinowaną doskonałością, nieskazitelnością swej polszczyzny i prawem, serdecznym ukochaniem szlachetnego romańskiego samotnika przez jedyne, dziś żyjącego pełnego reprezentanta polskiej pańskiej kultury — tę wielką krzywdę, jaka się dzieje bratniej literaturze czeskiej przez jej całkowite z naszej strony przepomnienie. Ale to też od Przesmyckiego, jak wiele innych inicjatyw i poczynań, broniących kultury zachodniej w Polsce, tak i ta wyjść powinna myśl, by się złączyło grono przyjaciół zachodniej Słowiańszczyzny u nas.

Jest nas kilkunastu może, którzy pokochaliśmy serdecznie słowego lwa czeskiego, złoty miraż królewskich Hradczan i modre lśnienia karaceńskiego ryszunku na żarliwym rycerzu romanizmu, Zeyerze. Połączmy się w jedno kolisko pod łaskawym sceptrem przyjaciela Zeyerowego, tego, co swą wszechwiedzą uchronił młodą Polskę przed wyłącznym paryżyzmem, przed pansjonizmem, feldmanicością i utwórzmy stowarzyszenie *przyjaciół zachodnio-słowiańskiej kultury*, literatury i sztuki.

SIEUR DE BEAUMARCHAIS  
(PRZED PREMIERĄ).



**N**ieśmiertelność tego „wujaszka“ rewolucyi francuskiej liczy lat dwieście dwadzieścia; nie już z jego społeczników nie utrzymuje się na deskach pierwszej Komedyi świata, cała wielka klasyczna arystoteliczna simili-rzymska tragedia jego poprzedników leży na półkach bibliotek zaśnieża na wieczność, a obie afery „Łaziebnika, Sewiliańskiego“ nawet i bez impregnujących je tonów Rossiniego i Mozarta żyją życiem ucieleśnień scenicznych trwałe, skrzące, lśniące.

Bowiem człowiek, który je powołał twórczym rozkazem do egzystencji, był to mocny typ przyjaciela życia, przedsiębiorcy wielkich rozpoczynai, inicjatora gruntownych przemian, rekonstrukcyonisty bytu. Umiał jasnym wzrokiem przeszywać nurty społeczności aż do jej dna, a to wszystko, co grało się w duszach jego najbliższych — najdalszych, zdołał w dwóch zamachach pisarskiej woli dramatycznie zogniskować i stać się tem samem i rzecznikiem i reprezentantem czasów.

Od zegarmistrzostwa przeszedł do grynderstwa. Od ofiarowania pewnego pięknego poranka właśnie świeżo z edredonowych poduszek wyłonionej, jeszcze ciepłej pani Pompadour maleńkiego zegareczka, co się dał zmieścić dzięki jego kunsztowi nad kunszty w pierścionczek na paluszek, przeszedł aż do ofiarowania walczącym o wolność Washingtonom i Franklinom całej flotylli uzbrojonej i wyćwiczonej ochotniczej marynarki „mojej marynarki.“ Były zegaromistrz, jegomość Caron, kupiwszy sobie szlacheckie *de*, kupił sobie tem samem prawo wygrażania arystokracji na jej własnym terenie. Ucząc córki Ludwika XV. szlachetnej sztuki przerabiania paluszkami na klawiszach klawicymbałów, mimochodem wychodząc, wypisywał na ścianach sterczącego dumnie rokokowego feudalizmu: Mane Thekel... Upharisim. Mając żywe, rozfalowane srebro w swym tempera-



mencie, umiał przyciągać do siebie złoto ze wszech stron; były zegarmistrzyna obracał milionami ze swobodą Rohanów, Saganów, Richeliiich. Już mu i wcale nie imponowała wzrastająca na drożdżach potęga trzeciego stanu, objawiająca się tak świadomo i tak symbolicznie w jego właśnie genialności i w jego złocie. W nim już tylko wychylała się tęsknota i ciekawość wielkiego nadchodzącego tragicznego spektaklu etyczną niosącej satysfakcję rewolucyi; a kiedy ta zbliżała się zbyt powolnymi jak na jego gorączkowość krokami, świetny aferzysta paryski postanowił i własnoręcznie nieco ją przybliżyć.

Tymczasem zaś rozsadzały jego wyczekiwanie plany i plany. Gdzie tylko rzucił swoim okiem grynderskim, wszystko można było zmieniać, przerabiać, konstruować, ze wszystkiego po uderzeniu Mojżeszową laseczką sprytu businessowego mógł wytrysnąć potoczek chłodnego, miłego złota; a to więc wodociągi w Paryżu, a to monopol handlu negrami w koloniach hiszpańskich, a to państwowa premiowa pożyczka, a to handlowe drogi na Suez. A to wreszcie możeby... tak amerykańską modą dało się wziąć za gardło monarchiczną oligarchię Burbonów i tak nieco przytłoczyć do ściany i nie puścić, aż zrzeknie się tych niezliczonych przywilejów, które sprawiają, że  $\frac{9}{10}$  narodu smaży się w piekle wnętrza wulkanu, a  $\frac{1}{10}$  narodu, z labusiami na czele i dziewczynami wygimnastykowanymi do kunsztyków, tańczy erotyczny kankan na wulkanie w takt melodyi: après nous le déluge!

Pan de Beaumarchais nie był chciwym na pieniądź. Miliony, które zyskiwał wczoraj, tracił dziś i tylko widok uruchomionego metalu sprawiał mu rozkosz niewypowiedzianą. Ot, aby się przewalało z kas do kas, z kieszeń do kieszeń. Trzeba sobie uprzytomnić, że to była historyczna godzina nie tylko markiza de Sade i kawalera Faublasa, nie tylko encyklopedystów i anglo-manów, ale także godzina olbrzymiego wzrostu przemysłu i handlu, portów i fabryk. Beaumarchais nie tylko był dzieckiem tej godziny, ale i dzieckiem szczęścia; pecha miał tylko w tem, że od razu trzymał za ogon sto srok i sto businessów wzajem sobie szkodzących i że żył ściśle w stylu swej epoki, tj. kąpiąc się w różach a rwąc po drodze każdy ledwo zakwitający kwiat

dziewczęcych lilii. Nadto mając np. nobliwą pasję wydania pełnego Woltera, uważał za konieczne... wybudować własną fabrykę papieru... własną leżarnię czcionek... własną drukarnię. Takie zaś fantazyje kosztują.

Do literatury wszedł, opowiadając o swojej młodości, w masce balwierza hiszpańskiego. Dla sfer rządzących miał w r. 1775 jaki taki szacunek. Almaviva z tego czasu ma jeszcze talent, grandezę i koncept. Powoli na posadzkach salonów przekonywał się już naocznie, że to dobre towarzystwo jego czasów jest bardzo tępą, płciowo rozbuchaną, ideowo nędzną, materialnie pasożytną, moralnie zgangrenowaną hołotą, którą prędzej czy później należy tak wytępić, jak infamny kler, pijawczo rozgospodarowany u Gallów; Almaviva z r. 1784, tj. zaledwie po 9 latach od „Łaziebnika“ jest już tylko nicponiem, sprzętem, frantem i fantem, z którym stan trzeci na razie nie wie co zrobić, ale *fantem* jeszcze wspartym na istniejącym porządku państwowym, społecznym, normalnym i moralnym, tj. amoralnym i anormalnym.

Dzięki protekcji Maryi Antoniny i królewskiego brata, Figarowe afery grano na dworskiej scenie w Fontainebleau, a zebrana noblessa, pewna siebie bez granic zaśmiewała się do rozpuku, ni na moment nie przeczuwając, że dzisiejszy golibroda jutro już brzytwą gilotyny obetnie uperukowaną głowę egoizmowi kasty pasożytnej; tylko sam dobroduszny Ludwik XVI miał moment złowrogiego niesmaku i... to podczas... partyi „l'hombré“. Więc na pikowej siódemce szybko skreślił rozkaz aresztowania zuchwałego burżuja. Ale wnet za protekcją wszystkich przyjaciół śmiechu rabelesowskiego i Fauna gallijskiego wypuszczono na wolność popularnego viveura, faiseura i pieniacza... i pieniacza.

Albowiem jeszcze pieniaczem zagorzałym był ten w ukropie kąpany wszędobylski, tryskający życiem sieur de Beaumarchais. Z procesu wpadał w proces, jak z afery w aferę. Głód sprawiedliwości za każdą cenę był w nim tak silny, jak gorączka złota. Wiedział dobrze ten człowiek o spotężniałym zmyśle rzeczywistości, że demaskując kupną i kastową sprawiedliwość parlamentu, rozdymając do niestychanych rozmiarów taką rozprawę z sędzią



łapownikiem Goezmanem, trafia absolutyzm w samo sedno i doppinguje naskuteczniej indygnację coraz to radykalniej już myślącej burżuazji. I istotnie można stwierdzić, że jego *Memoiry* pieniackie w Bastylijskiej cytadeli zburzyły z 5000 cegieł, a zuchwałego ich autora zrobiły wieloletnim kochankiem młodziutkiej wonczas i dopiero w świat wstępującej opinii publicznej.

Poza temi czterema dziełami wraz z „Nowym Tartuffem“ albo „Matką zawinioną“, nie napisał Beaumarchais już więcej nic. Poetą był tylko w wolnych godzinach i to poetą pozytywnej prozy. Nieśmiertelność jego leży nie tak w jego artyzmie, ni w stylu, ani w świetności struktury, ani w natchnieniu, którego ni moment nie posiadał, ale wyłącznie w tem, że, *sam, żyjąc życiem żyjących*, umiał spętać życie i rzucić je na karty skryptu, w tem, że *pisząc czynił*, że z arki swego całkiem egoistycznego przeżywania życia puszczał w świat gołębie zwiastujące nowe potopy i nowe tęczę, i nowe przewartościowania przegniłych do szpiku kości wartości.

Takim był przenajmilszy Sieur, Piotr Caron, *ex-zegarmistrz*.

GOETHE, A ŻYCIE  
PRAKTYCZNE



I.

**W**nawalnym potopie prac o Goethem, które w ostatnich latach wyszły w języku niemieckim, na czoło literatury krytyczno-monograficznej wysunęły się tomy, podpisane nazwiskami, zdradzającymi bardzo jasno ich ongiś, dawniej polskie pochodzenie; najbardziej i najogólniej chwalona dwutomowa monografia wyszła z pod pióra Wojciecha Bielschowskiego; monografię siostry Goethego, Cornelli, a także biografię, uznaną za najlepszą, samego Olimpijczyka, napisał Jerzy Witkowski (Max Hesse Verlag, Leipzig); wreszcie p. t. „Goethe und die Descendenzlehre“, ważna praca o wszechgeniuszu z punktu przyrodniczego, ma za autora W. von Wasielewskiego. I wogóle wyznać to trzeba, że takiego mnóstwa nazwisk ex-polskich, wciągniętych w kulturalną, normalną pracę w piśmiennictwie niemieckim, jak w ostatnich trzech latach, nawet proporcjonalnie biorąc, nigdy nie było. Nie o to jednakże w niniejszym szkicu chodzi. Między przelicznymi pracami bowiem, z przeróżnych stanowisk oświetlającymi geniusz weimarskiego orła, na specjalną tu uwagę zasługiwałaby nie wydana jeszcze, ale znana już z fragmentów, drukowanych po pismach, praca zurichskiego uczonego, Adolfa Teutemberga o „Goethem jako obserwatorze życia gospodarczego“. Mieli już o twórcy „Fausta“ wiele do powiedzenia przyrodnicy, jako o swoim antenacie (Virchow, Helmholtz), ale z tych fragmentów dzieła A. Teutemberga dowiadujemy się dopiero, jak żarliwym i gorliwym, ciekawym i skrupulatnym badaczem ekonomicznego rozrastania się sił narodu swego był napoleoński „oto człowiek“.

Pod uwagę wzięte są nietylko dzieła poetyckie mistrza, ale jego pamiętniki, listy, rozmowy notatki, akta ministra i ogromny całokształtny okres życia od chłopięctwa aż do lat



sędziwego, kultem całej Europy otoczonego wieku. Zestawienia skrupulatne A. Teutemberga dają nam pełny obraz zamiłowanego ekonomisty, interesującego się całym gospodarstwem ludzkim, przemysłem i handlowem, przemianą środków produkcji, sposobami komunikacji, nowo otwierającymi się perspektywami dobrobytu, taryfami, fabrykami, warsztatami i wszystkim tem, *czem gardzić uczy nas od lat osiemdziesięciu nasza poezja romantyczna* i jej dzisiejsi eksploatrzy. Zdumiewać się przychodzi, z jaką gorącością i z jaką znowu powagą, z jak serdeczną miłością i z jak mocną chęcią trzeźwego, poziomego wnikania w rzeczywistość ogarnia ten największy tytan fantazyi i odkrywca całego kontynentu metafizycznej spekulacji w II. części „Fausta“, wszystkie zjawiska życia gospodarczego, całą twardą realną i istotną stronę bytu. Już małym dzieckiem z ochotą przesiaduje godzinami to w jednej z tkalni swego ojczystego miasta, to w winnicy ojca swego pod Frankfurtem, gdzie tylko wre wrzątek pracy i zachodów. Studencik z dwoma kolegami w czasie wakacji piechotą zwiedza węglowe kopalnie nad Saarem. W miarę lat ten interes największego poety nowoczesności dla rzeczy realnych i dla praktyk gospodarskich czy problemów technicznych wzrasta i nabiera konsekwencji. Tak w pamiętniku, tak w „Wahrheit und Dichtung“, jak i w rozmowach notuje twórca „Torquata Tassa“ każdy przejaw napotykanego rozwoju gospodarczego. Żadne doświadczenie nie jest mu mało ważne, żadna praca mało warta, żaden „zjadacz chleba“ mniej ciekawy lub obojętności godny dla swych „poziomych zajęć“. Poznajemy z Wilhelma Majstra, jak szerokie kręgi zatacza jego chęć poznania całego życia ziemskiego, jak żądza wiedzy rzeczy przemijających dzisiejszych, przyziemnych, ogólnoludzkich, przebija się równie z rozmów i uwag tak młodzieńca, jak i sześćdziesięcioletniego poety, który dał światu Werthera i Fausta, tj. dwa można powiedzieć, zakony czy religie. Ówczesne życie gospodarcze mało lub wcale nie zmechanizowane, świeże, nie zasłonięte jeszcze cedułami giełdowymi, poprostu ciągle każe mu się uczyć, fascynuje go, zastanawia, a często skłania do zadziwiająco realnych i prawdziwych jasnowidzeń. Prowadzeni

przez p. Teutemberga, a dopełniając to jeszcze szczegółami z biografii i monografii tych ex-polskich autorów Bielszowskiego, Witkowskiego, Wasielewskiego, widzimy kolejno, czem wszystkim zajmował się ten obok Leonarda z Vinci najuniwersalniejszy geniusz ludzkości, to słońce, z którego dopiero pożyczaniem światłem żyły księżycy spółczesnych mu i następnych romantyzmów. W ten sposób poznajemy też bliżej życie duchowe i umysłowe tego obywatela wszechświata, poety uniwersalisty, poety promiennego, pełnego i męskiego, jednego z grona tych bardzo nielicznych poetów, dla których nawet Plato, wypędzający słusznie ze swej idealnej republiki wszelkie wierszoklectwo, zapewne zrobiłby wyjątek.

## II.

Najpełniejszy i najszerszy symbol człowieczeństwa Faust jest człowiekiem czynu, zarazem i człowiekiem myśli i człowiekiem używania. Pełnia jego nie zna granic, a granice przyrodzone po pakcie z Mefistofelem zwycięsko przechodzi. Biedny prywat-docent Faust przeklina swój mus rzekania się doczesności, swoją uczoną biedę, ogarnięty jest całkowicie żądzą bogactw, ale nie bogactw, jako miękkiej filisterskiej poduszki, ale jako środka i klucza do ogarnięcia potęgi, wolności woli i momentu szafu. Pierwsza część „Fausta“ — to stosunek złota do miłości, druga — to złota do państwa. Niezwykle pouczającym komentarzem tak do pierwszej, jak jeszcze więcej do drugiej części Fausta, komentarzem, wyjaśniającym, jaką drogą szła promienna myśl Goethego, aby dojść do tak głębokiego ujęcia stosunku złota do życia, jakie z każdej strony drugiej części prześwieśla, są właśnie te notatki, rozmowy i fragmenta pamiętnikowe, w których wyjawia się nam Goethe, obserwator życia ekonomicznego. W żadnym utworze świata straszne przekleństwo nienasyceń się nigdy sytością uzyskanych już bogactw nie jest tak monumentalnie uwiecznionem, jak w „Fauscie“, w żadnym bezbronność nędzy tak obnażoną doszczętnie, jak w rzekomo szczęśliwej idylli Filemona i Baucisy, w żadnym niebezpieczeństwo potęgi bogactwa dla etyki nie



jest tak uplastycznione, jak w szale nie znającego granic swych sił „kolonizatora“ — Fausta.

Taką przemocność Mammona i taką jego wszechobecność we wszystkich faktach i ustosunkowaniach życiowych mógł zobrazować na wieczne czasy tylko poeta, który nie zamykał jednego oka na rozrost życia dokoła, ni też patrzył przymrużonemi arystokratycznie oczyma na poziomą pracę maluczkich, dobrobyt rodzącą. Aby dać radę tak gigantycznym problemom, jakie przewalają się i rozwiązują w „Fauscie“, trzeba było istotnie wchłaniać w siebie życie społeczne pełną piersią dojrzałego męża i wszystkie dziedziny życia poznawać od źródeł, od podstaw. Pierwszy „obywatel świata“, Goethe, z lubością zagłębiał się w arkana gospodarstwa wiejskiego i chłopskiego i w warunki egzystencji rękodziel i z fanatyzmem witał nadciągający industrializm, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, jakie na razie spustoszenia socyalne wywoła nowy potentat absolutystyczny: maszyna. Najwięcej uczył się i poznawał w podróżach. Zatrzymując się wszędzie, gdzie tylko tętno pracy biło silniej, wszystko zwiedzał najpedantyczniej. Do Rzymu jedzie z jednym kuferkiem w ręku *jako kupiec* Filip Möller. Tam nie zatapia się w kontemplacye średniowieczne, a po nich nie odpoczywa na łonach comtesses awanturnic, wogóle nie wchodzi w wyższe środowiska, ale z biednym malarzem Fischbejnem włóczy się i poznaje życie zarabiających. „Włoska podróż“ Goethego tak pełną jest uwag ekonomicznych, jak pełnymi są klerykalnych egzageracyi i metaforycznych eksklamacyi nasi wieszcz, gdy się znajdują w wieczystej Mecce, na Kolizeum i u stóp protektora... Polski, Ojca świętego. Papież imponuje Goethemu kapitalnym planem *osuszenia bagien pontyńskich*; pod Kapuą zachwycony jest *żyźnością* ziemi, na Sycylii zmienia marszrutę, żeby być w słynnych składach i *magazynach* zbożowych.

Twórcę „Werthera“ (tego typu, który w zaściankach Europy żyje po dziś dzień w epigonim narybiu), twórca przeczystej „Ifigenii“ rozpisuje się szeroko nad rzadkim wówczas... płodozmianem w Badeńskim, pod Heilbronem cieszy się bezmiernie i namiętnie z wysokiej *kultury ogrodów* owocowych, w Wies-

baden zwiedza przez kilka godzin *fabrykę piór*, a w Saksonii od salin wędruje do kopalni cyny, od kopalni cyny do srebra. W powrocie z Karlsbadu wstępuje do Chemiéta, byle tylko obejrzeć specjalnej metody maszynę tkacką.

Gorąca radość bije z jego słów, gdy notuje postępy techniki w produkcyi, nowe systemy, nowe zdobycze. Nie ominie jakiejś huty szklanej, żeby jej nie zwiedzić po raz... trzeci. Dni całe spędza na konferencyach z Anglikiem, sprowadzonym dla melioracyi rolnych w wejmarskie miniaturowe państewko. Tam zwiedza skrupulatnie obejścia chłopskie i notuje różnice w cenach... krów, owdzie całą stronę poświęca domowemu przemysłowi... pończoszniczemu. Co widział, czego się nauczył w kantonie Zürich, to czytamy opisane w Wilhelmie Majstrze. Kopalnie w Harcu zwiedzał *kilkadziesiąt* razy. W Czechach pielgrzymuje ten twórca jedynej obok „Pana Tadeusza“ epopei nowoczesnej od papierni do koronkarni, od browaru do manufaktury porcelanowej, od cukrowni do fabryki wozów, a widok pracy zdrowej, ramion żyłastych, płyt rozpalonych, kół rozpe-dzonych wprawia tego napoleońskiego „oto człowieka“ w formalną ekscytację, w radość, w dumę, daje mu, jak się spowiada, chwile najwyższego szczęścia z współnależenia do wytwórczej ludzkości. Tak Goethe młody, Goethe minister w dziesięciolecie swego urzędowania długie godziny spędza na roztrząsaniu zagadnień ekonomicznych z producentami, z fabrykantami (Fikentscherem) i z satysfakcją słucha opowiadań podróżników amerykańskich, referatów z życia meksykańskiego, składanych mu przez ludzi czynu, ludzi inicjatywy. Eckermann zastaje go raz obłożonego dokoła mapami Bremy, która wówczas budowała sobie port. Innym razem staje twórca „Fausta“ jako sędzia polubowny między pewnym... garncarzem a cechem mularzy. To znowu wygłasza mowy na otwarcie i instalację zakładu przemysłowego. W długim liście do Schillera zastanawia się nad bardzo chyba „niepoetycznem“ (w oczach simi-romantycznych młodzianków) zamięramiem rękodziel..., szewstwa..., tokarstwa... Tak to nie szanuje swego majestatu i prestiżu wiecznego twórcy „Fausta“.



III.

Ale nie poprzestaje wejmarski mędrzec i głęboki mistyk, do najciemniejszych głębin spekulacji w swem poetycznem słowie dochodzący, nie poprzestaje w życiu tylko na samej wszechogarniającej, miłosnej, radością życia opromienionej obserwacji zjawisk gospodarczych życia. On wielki poeta przedmiotowości, obdarzony darem najczystszeo na rzeczy poglądu, z czasem wytwarza sobie własne teorie ekonomiczne, rozstrzyga sam pewne problemy narodowo-ekonomiczne, nawet jasnowidzącem genialnem okiem na całe dziesiątki lat przewiduje pewne przewroty, procesy gospodarcze, wreszcie stawia przed oczy pewne ideały gospodarcze i fiskalno-ekonomiczne. Ten wyniosły i najgórniej w chmurach szybujący, tak często absolutnie natchniony umysł nie tylko interesuje się tem, jak torf najekonomiczniej zyskiwać, nie tylko notuje skwapliwie, ile morga gruntu kosztuje tu, a ile tam i ile wynosi wywóz wina z tamtąd, ale ze zmienności warunków czy stosunków, z kombinacji dróg komunikacyjnych a rodzaju produkcji umie wyciągać szerokie i perspektywiczne konsekwencje. Dobrobyt, płodność, abundancja nie tylko cieszą w nim plastyka sensualistę, ale sam *sofos* i *widzący* tam, gdzie jeszcze wzrok społeczeństwu nie sięga, umie wskazywać na nowe nieodkryte źródła bogactw, na nowe zaniedbane warsztaty pracy. Rady jego i pomysły gospodarcze zataczają szeroki łuk. Tu argumentacją swoją popiera małe opodatkowanie gruntu przy wysokim opodatkowaniu kapitału, tam znowu uchwała szeroko uprawianie pól przez dziewięć lat, a przemienianie jej w łąki na następne dziewięć lat, tu (w Wilhelmie Majstrze), wyśmiewając biurokrację, wyszydza politykę gospodarczą rogatki i zamknięć, owdzie znowu na 80 lat z góry przewiduje (w rozmowie z Eckermanem 1828), że zniesienie granic celnych, szosy i przyszłe koleje najwięcej przyczynią się do zjednoczenia Niemiec. Śmiało i pewnie potępia przestarzały cechowy ustroj rękodzielni, a jeszcze śmieiej i bezwzględniej staje w obronie maszyn i nadchodzącego wieku „kultury maszynowej“. Człowieka, który stworzył całą duchową treść lepszej części narodu niemieckiego w XIX wieku, obchodziły najistotniej nie tylko

najgłębsze światłone zagadnienia psychiki ludzkiej, nie tylko ustosunkowania jednostki do Universum, do kosmosu, do Najwyższej Istoty, ale również na dzień powszedni, taryfy cukrowe, tabele fiskalne, próbki towarów angielskich i to wszystko, z czego się składa życie nie sfer wybranych, uniwersyteckich, światłych i z światła profitujących, ale życie rzesz pracujących i twórczych. I tu należy też, w tem ukochaniu rzeczywistości, w tym szacunku Goethego dla praktycznego utalentowania, dla utylitaryzmu widzieć przyczynę jego kultu dla Anglii, którą nazywa to „nieskończenie ruchliwą matką cywilizacji“, to (a propos zaprowadzenia gazu w Anglii w r. 1816) „wychowawczynią“, a Anglików, jako wszędzie „panami się czujących“... „ludźmi kompletnymi“.

Sam pan hofrat mieszkał w trzech pokojach, nie mając nawet kanapy w swem *studio*, a moc pieniędzy wydając tylko na rzeczy sztuki. Własność, posiadanie, dobrobyt z pracy, gromadzenie bogactw zalecał, pod warunkiem „dopuszczania ludzi innych do współuczestnictwa w posiadaniu“, zalecał, „gdyż pieniądź, pozwalając żyć w większych stosunkach, daje możność patrzenia w karty grającym wielkie partye figurom epoki“, a nawet „współgrania z nimi spólnie“. Zgoda, porozumienie się z życiem, radość życia, strumienie jasnego, rozumnego światła padają z pamiętników, notat i listów Goethego. Wszystko to drobne i nikłe, znikome i marne w pełnem południowem świetle jego męskiego racjonalizmu nabiera wyrazu uduchowienia i zaczyna żyć trwale: próbka wełny, model maszyny parowej czy mapa nowej arterii życia, tj. nowego kanału, łączącego rzekę z rzeką. Fenomen Goethe każe się wielbić i poza interesem literackim, jaki przedstawia. Kiedy się czyta omal kupieckie ściśle praktyczne notacje Goethego, opromienione blaskiem jego harmonijnej uniwersalności, zaczyna się rozumieć całą wielką poezję życia wielkokupieckiego z jego zmożeniem oceanów, z jego przewiercaniem gór, z jego kolosalną żywotnością; zaczyna się pojmować głębszy sens i rację takiego np. wskroś poety, wskroś artysty i wskroś zdobywcy z krwi i kości, jak Rimbaud, który przed osiemnastym rokiem życia, wypisawszy całą treść swojej duszy, uciekł przed zawsze nudnem szarem literackim targo-



wiskiem i środowiskiem w właśnie *czynnie* romantyczne, pełne przygód, sensacyi, ryzyka, wielkich rozmachów woli i mocnych skoncentrowań rozumu życie wielkokupieckie, po oceanach i po wszech kontynentach się przewalające.

A gdy się jeszcze u nas w ostatnich czasach naczytało tyle wysilonych poetyczno-nieszczerych falsyfikatów metafizycznych różnych słabą fantazją, zgoła nie natchnionych, a gardzących ziemią człowieko-bogów i mystifikatorów, to później z prawdziwą satysfakcją czyta się ot tak nieidealistyczną obserwację twórcy Fausta, jak np. „to pod Frankfurtem z prawdziwą radością zauważyłem pierwszy raz od czasu Napoleona, że i tu małe chłopcy w kosze zbierają bobki końskie, które w ten sposób nie idą na marne“...

Obserwacja godna... no... chyba... woźnicy, a jednak wzięta z ust poety jasnowidza... mistyka..., przed którym Napoleon i z nim cała ludzkość uchyla kapelusza.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI  
JUBILAT



**D**nia 10. listopada r. z. „Nowa Gazeta“, pragnąc uczcić niepożyte zasługi Al. Świętochowskiego, złożyła czci-  
godnemu Jubilatowi zbiorowy hołd w postaci numeru,  
poświęconego jego działalności.

Numer ten (319-ty) zawierał:

1. Portret A. Świętochowskiego.
2. „Posąg“, przez Ignacego Grabowskiego.
3. „Twórczość literacka Świętochowskiego“, przez Jana Lorentowicza.
4. „Idealy społeczne Aleksandra Świętochowskiego“, przez W. Feldmana.
5. „Aleksander Świętochowski, jako polityk“, przez St. A. Kempnera.
6. „Aleksander Świętochowski, jako filozof“, przez J. Lewkowicza.
7. „Aleksander Świętochowski a wieś“, przez Jana Tur-  
skiego (Agricole).
8. Pracę Tadeusza Ulanowskiego p. t. „Dzieci“, poświę-  
coną A. Świętochowskiemu.

Obecnie, w chwili obchodu jubileuszowego, pragniemy  
jeszcze uzupełnić charakterystykę Jubilata poniższą pracą  
Adolfa Nowaczyńskiego.

*Red.*

#### I.

Lat temu z górą pięćdziesiąt debiutował po raz pierwszy  
w warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym“ pseudonim, z góry  
już dobrze wróżący: Henryk Dołęga, skromnym archeologicz-  
nym artykułem o „Każmierzu dzisiejszym“. Od tej to daty aż  
do dni niedawnych nie było już nie miesiąca, ale tygodnia,  
w którymby ta sama ręka Dołęgi, mocna i pewna siebie, nie  
wiodła pióra lemiesza po zagonie politycznej orki, nie kierowała



piórem-szablą, nie odnosiła piórem-laską marszałkowską w boju gorącym z hufami ciemnoty walnych zwycięstw duchowych. Pięćdziesiąt lat się skończyło, odkąd wyszedł na świat polski poważny, na miarę największych paladynów ulepiony siewca idei, by z pełnej torby siewnej, jaką mu dano, rzucać nieustrudzenie zdrowe, nowe, tęgie, z niczem niezmieszane ziarno twórczych myśli, śmiałych zaprzeczeń, trzeźwych nawoływań, ostrzeżeń, zachęcań i wskazań. Odtąd, z olimpijską maską Janusa, „dwulicowego Boga“, stąpa ku swej nieśmiertelności, zmuszając nas wszystkich, omal bez wyjątku, do uznawania się w swem jestestwie wobec niego myrmidonami, roznoszącymi swe światełka po kątach ziemi, którą on zdolen był tak często wraz całą nagle rozświecić oślepiającymi błyskami swej niepospolitej, a w Polsce dotychczas niebywałej inteligencji. Czasem się zdaje, że jego głos potężny, kostyczny, nieprzebaczający grzmi z góry jak poza obłokami głos ukrytego Mojżesza. A czasem jest to krzyk rozsierdzonego Zarathustry, wyklinającego karłowatą niskosć i poziomosć tych, których o wiele za wiele.

Aleksander Świętochowski, aczkolwiek dawno i zdawna poszedł w patryarchy piśmiennictwa, w senatory, nie jest jednakże już tylko symbolem tych wielkich walk i zapasów, jakie się toczyły między nowem życiem a zużytymi jego dawnymi kształtami, ale dziś jeszcze w pełnej sile kieruje ze swej samotnej baszty wielką kampanią w imię trzeźwych i rozumnych idei z olbrzymiami czeredami tytułarnych ludzi. Czujność jego i nieustrudzonosć, cierpliwość i konsekwentne nieustępstwo nie mają dla siebie wiele analogii ni w literaturze, ni w kulturze polskiej. Twardy ten, na bazaltowym gruncie rozsiadły człowiek nie pozwala żadnej fali życia społecznego przepłynąć obok swej strażnicy niepostrzeżenie. Wpatrzony jest w byt polski, jak wielki dyagnosta lekarz w twarz pacyenta, nie wypuszczając z rąk pulsu przychodzącego do zdrowia, baczny na hektyczne jego wypieki, kontrolujący nieustanny stan rozgorączkowania, niezdrowe przesady, nieznośne grymasy, apatie fałszywe. I on, ten wielki *profesor energii* narodowej, mądry, bardzo mądry lekarz, ma tę charakterystyczną odwagę uczonego w powiadaniu wszelkiej prawdy bez ogródek, w zagrożeniu rekonwalescentowi

stanem puchlizny moralnej i gangreny całych partii organizmu społecznego, w ostrzeganiu przed tajemnem, niewidocznem gniciem najważniejszych w funkcjach swych przyrządów, — wreszcie odwagę grożenia nawet marazmem i śmiercią.

Świętochowskiemu publicyście - dyagnosta zawdzięcza społeczność polska szereg środków leczniczych w wielkich i realnych hasłach, z których każde omal ma swoją wieczystą wartość, choć chwilowo może nie być w obiegu popularności. Praca organiczna, „życie wyteżone“, mozoły u podstaw, szkółki wiejskie, odrzucenie mesyanizmu i jemu podobnych kłamnych ideologii, jako wyniszczających morfin, narkoz i hypnotyków, zdegradowanie poetyczności i poezji z roli zakonu ogólnonarodowego na stanowisko jednego z kierunków duchowego życia — to wszystko zawdzięcza jaka-taka egzystencja nikomu innemu, jak dziś srebrzystej głowie patryarchy pozytywizmu warszawskiego. W tym skroś zdrowym, pełnym mózgu porodziła się pierwsza myśl pokojowego odebrania z powrotem Śląska drogą kulturalnego misjonarstwa i patryotycznej propagandy. Z tej głowy Jowiszowej, jak Pallas Atene, wyskoczyła w pełnym rynsztunku całkowicie ułożonego programu myśl autonomii Królestwa Polskiego, związanej ze zrzucającą okowy Rosyą. I wiele, wiele innych idei i doktryn, które dziś nawet rozrosły się do rozmiarów całych programów społeczno-politycznych, nawet *wrogich* Świętochowskiemu programów, z jego pierwszego posiewu biorą początek.

Świętochowski był to wielki pan, który, wchodząc w piśmiennictwo, dwie miał drogi rozstajne do wyboru: albo terazniejszość i swą plemiennosć zlekceważywszy, zamknąć się w ścianach Faustowskiej komnaty i zwolna dawać nie swej szczupłej ojczyźnie a światu wielkiemu dzieła immanentne, brewiarze doświadczeń i rozmyślań sceptycznych odrazu nieśmiertelne i bogacące ludzkości stan ideowego posiadania, albo zdjąć ze siebie dalmatykę natchnionego stylisty i ubrać się w płaszcz pielgrzymi, wziąć kosztur w rękę i iść w naród, w młodzież, w prasę, w proboszczowską ojczyznę i wołać głosem filozofa moralisty na puszczy maleńkich egoizmów, bić głową pomazaną w mur gminy tępej ośpałości.



Wybrał to drugie: posłannictwo codziennej, mozolnej, mrówczej pracy, mózół wojny z wiatrakami, młacemi niestrudzenie rodzimą plewę, wybrał niepozorną publicystykę ten wielki i bogaty myśliciel, aczkolwiek już messyanizm polski go pouczał, że ojczyznę najgoręcej kocha się... zdala, płacze za nią najrzewniej w salonach na obczyźnie, a pociesza się po niej piękniemi Delfinami, Dejanirami i Telimenami... Wybrał w myśl pozytywnego dogmatu, że w naturze jak żaden atom nie ginie, tak i żadna myśl, nawet w feljetonach gazet rzucona, nie szczeźnie.

Świętochowski, autor tak głęboko sceptycznej, tak chłodnej rozprawy „O powstawaniu praw moralnych“, miał o tych prawach moralnych i obowiązkach względem narodu pojęcie całkiem dosłowne, surowe, bezkompromisowe, zgoła nie romantyczne! Trzeba iść w Paryż, w Rzym, byle w głąb duszy, byle za granicę — głosili wczorajsi ojcowie zadżumionych, bardzi, pasterze narodu darzący go wspaniałomyślnie rolą Chrystusa. Trzeba iść w życie pozytywne, w szare, rozpaczne, powstańcze życie polskie! — tak brzmiało hasło wielkiego chorążego reformatorów życia: Świętochowskiego. Ale w imię tego hasła tak prozaicznego zwolna przeobrażało się życie nasze. Temperament Świętochowskiego, całkowicie oddany w służbę mózgu, ponosił go przeciw falangom biernych autorytetu niewolników, jak rasowy rumak przywiązany do grzbietu Mazepę. Całą senność, apatyę i rezygnacyę przemęczonego już wszystkim społeczeństwa przewyciężała jego ognista religijność, wiara młodego kapłana pozytywizmu, wiara w człowieka, wiara w czyn moralny, wiara w owocność walki, wiara w duszy niezależność, wiara w przyszłe rządy sprawiedliwości a generalnie żarliwa zelotyczna *wiara w rozum*. Świętochowski, ten czasem pontyfikalny arcybiskup kościoła rozumu, miał w swym programie już po latach 70-tych wcielone oba motta naczelne cywilizacji dzisiejszej: *ignorabimus* i *laboremus*, hasło całego Zachodu. W imię tego *ignorabimus* rozpoczął ogień na całym froncie, ogień rotowy nie przeciw jakiejś ortodoksji klerykalnej wyłącznie, ale i przeciw wszelkim hyperidealistycznym mistyfikacyom wogóle, jak i przeciw całej

satrapii niedołęztwa, absenteizmu i bezrządu duszy nad rozumem.

*Ignorabimus* i *laboremus* — te dwa dźwięki głośnie jednego dzwonu: rzeczywistości słyhać w pełnym tysiącu jego artykułów, w Echach „Przeglądu“, w „listach z Paragwaju“, w „Pamiętniku“, którymi tydzień w tydzień pouczał, upominał, trzeźwił, wstrząsał i entuzjazmował młode kadry industrializującego się społeczeństwa w Królestwie, wychowując pierwszą warstwę niezależnej inteligencji. Nie dochodziła Prawda jego nauk do dwóch innych dzielnic zabranych, gdyż szybko tam i skrętnie urządzono dla niej kwarantannę i komorę celną, a Świętochowskiego odrazu sprezentowano młodzieży, jako tymczasowego namiestnika szatańskiego, truciciela dusz i Lewiatana. Ale mądrość praktyczna tego *sofosa* spadała kroplami na ciemną skałę apatyi upornych i drażyła ją nie tylko siłą, ale częstem padaniem, *non tantum vi, sed saepe cadendo*. Społeczeństwo, dające się mile usypiać gwarzeniami i kołysankami Pola, Syrokomli i strawną kaszą powieści Kraszewskiego, powoli kosztowało, smakowało wreszcie i trawiło idee Büchnera, Littrého, Comta, Baine'a, Spencera, Milla, Bucklea, Taine'a, Smilesa, Tyndalla, Huxleya, wreszcie Haeckla...

Społeczeństwo wreszcie zaczęło się oswajać i z Dołęgą Świętochowskim, który sam omal dawał polskiemu zaściankowi to wszystko, co owi wielcy Realiści Zachodu.

## II.

Świętochowski uczył, dość zresztą zawsze opóźniające się społeczeństwo zachodzące już w Europie liberalizmu, kazał humanitaryzm. Nawet te nowele jego niby realistyczne, do których się przyniewalał on, widzący tylko abstrakcyę, te opowiastki moralne o Krugu, o Rubinie, o Damianie Capence, te bajki o Dafne, Ludzie kamiennym, Weselu Satyra — to bywały lekcye poglądowego liberalizmu na kwestye społeczne, zawsze przepełnione mądrością pozytywną aż po brzegi ich skończenie doskonałych form. A dramata swoje dyalogowane, świetne dysertacye dawał Okoński rosnącym swym gminom jako nagrody za pilność dla społeczeństwa, powoli oswajającego



się z realnem a inteligentnem światoogarnięciem. Tak te nowele, jak dramaty pisał jednakże i czyłował nie swobodny artysta, zdolny do abdykowania chwilowego tak ze swego ja, jak ze swej propagandy na rzecz bezinteresownej, obiektywnej powagi konfliktów psychologicznych w utworze, ale tworzył nie zapominający ani chwili o swej ciemnej, wymęczonej, głodnej kultury publiczności, o swych twardołbzych słuchaczach i o swem w wielkim stylu mentorstwie i postannictwie.

Dla tego w dramatach tych wszystko jest powleczone nie iskrzącą się powłoką dyalektyki i kunsztownej frazeologii. Jednakową dykcją, filozoficznie pogłębianą, często zjadliwie dowcipną, głęboko trafną, przebiegłą, nerwową, dosadną, tym samym językiem pełnym poetyckich amplifikacji i najniespodziewańszych metafor mówi w nich i dzisiejszy adwokat i szlachcie z XVIII wieku i niewolnik z IV wieku i patrycyusz za Cezara. Wszystkie te postacie z nowel i dramatów stają się szermierzami i wysłańcami doktryny Posła Prawdy, uplastycznionymi abstrakcjami jego ciągu myślowego, tylko w warsztaty walki o byt wstawionymi i w codzienne realistyczne tryby i sytuacje. Ta przyrodzona urodzonemu aforyście, ale i konieczna monotonia subtelnej retoryczności często nuży. W Aspazji, w dramacie, w którym występują tacy mężowie, jak Protagoras, Sokrates, Sofokles, Eurypides, Fidyasz, Anaksagoras, Perykles, dykcja ich niestrudzenie genialna, dojrziała, brylantowa zdaje się być wyjątkowo usprawiedliwioną. W tym to utworze greckim, szczytnem opus dramatyki Okońskiego są nawet odrębne odcienia wyrażalności u poszczególnych figur, jest wzruszające napięcie dramatyczne, szlachetna niedosiężność horyzontów myślowych, a znowuż scenicznie biorąc, ruch, życie, barwa i linia. Dla tego dramatu same moce rozumowe wystarczały, tu racjonalistyczna genialność Świętochowskiego znalazła dla się szerokie łóżysko i całkowite wyzwolenie. Natomiast jednak zawodzą te intelektualne moce tam wszędzie, gdzie już nie walka na rozumy a na uczucia i gdzie dramatowi koniecznem jest tło transcendentalne silnie a tajemnie z dramatycznym konfliktem złączone.

Jak w dramatach Świętochowskiego, tak i w całym jego dziele uczuciowość, litość współczująca, humanitarność i miłość bliźniego wypływają z rozumu i z kategorii logicznych. Często pełna temperamentu, niesłuchanie przekonywająca, szturmująca retoryczność daje siłę najwyższej prawdy uczuciowej. W bystrzejszej analizie widzi się, że zło nędzy i głupstwo niedoli mąci Świętochowskiemu-Grekowi utęsknioną harmonię tego wymarzonego nieco Renanowskiego świata, w którym mędrcy *sofosy* sprawować będą rządy. I nie tylko dla tego jest Świętochowski Hellenem, że w jego dramatach życie odzyskały Antea i Pauzaniusz i Aspazja i inne; i nie tylko dla tego to Hellen, że w swej obrazoburczości zawsze takim spokojem imponuje, że w swym stylu przejrzysty i czysty i że poza prostotą w pięknie nie uznaje już czarów i emocji estetycznych, ale i w tem, że jak mędrcom greccy żadnych nie ma złudzeń co do wielkich wartości natury ludzkiej. Wzgarda pospolitości nie pozwala temu Wolteryaninowi na najlżejsze grawitacje ku zbyt lirycznemu sentymentalnemu ujęciu problemu: człowiek. Patrząc na gatunek: *homo omal mefistofelicznie*, chce go dopiero rozumnymi imperatywami podnieść, uszczęśliwić, chce nim cały świat zadziwić. A skoro gatunek ten nie idzie ku postępowi i przyszłości gościncami ewolucyjnymi przez rozum wskazanymi, a często manowcami, wtedy w sofosie wzbiera gniew niepohamowany. I ta instynktowna nienawiść arystokraty intelektualisty do całkiem niespodziewanych i nieprzewidzianych ryków i skoków bestyi motłochu dochodzi czasem do takich ciekawych objawów „wrogich ludowi“, jak utwór „Nieśmiertelne Dusze“ lub IV część poematu „Duchów“: Pogrom, satyra oświecona bengalskim ogniem wyteżonej nad miarę fantazyi.

W nieograniczonej przestrzeni przelicznych zagadnień, jakie Świętochowskiemu narzucało życie, najczęściej fascynowały go jednakże dwa; więc zależność jednostki od wielości i problem: prawdy a kłamstwa. Wszelkie formy niewolnictwa zawsze interesowały jego wolny Wolteryański mózg; aż wreszcie doszedł do dogmatu, że tylko w państwie swego umysłu może jednostka uczuć byt swój całkiem



niezależnym. Wszelkie również formy kłamstwa drażniły jego najgłębsze, najistotniejsze umiłowanie prawdy, którą za Feuerbachem zwał jedyną niemoralnością naszych czasów; aż wreszcie paralelnie do Ibsena teoretycznie uznał konieczność kłamstwa w współżyciu ludzkim. Praktycznie nie uczynił temu uznaniu do tego stopnia najmniejszego ustępstwa, aż w polityce, t. j. w sztuce procentującego się kłamania obrał zaszczytną pozę nieubłaganego idealisty do żadnych pertraktacyi, przemian, oportunizmów i kompromisów nie skłonny. Zamiast zostać Cyncerem układnym i ugodnym, pozostał Archimedesem, kreślącym koła na ziemi nawet wtedy, kiedy brutalne w dniach rewolucyi pięści pukały już do jego pracowni.

I jest Świętochowski od lat czterdziestu niestrudzonym organizatorem życia, składem w rozkładzie, konstrukcjonistą wśród maniactwa i monomanów destrukcyi. Czasem, jak Multatuli, pisze po prokuratorsku jeno piórem księcia de la Rochefoucaulda, czasem w nim La Bruyère szydzi zwięźle Szczedrynowską prozą, czasem Courier rzuca groźne inwektywy na całe klany życia, całe obozy duchowe. Więcej czujący się Europejczykiem niż Słowianinem, więcej dba o skończoność formy wykwintnej jak o zgrozę, jaką wywołała wytryskiem swych zuchwałych w swojskim zaścianku myśli. Inteligencją przeładowany, której innym nawet światowej miary pisarzom wcale niedostaje, oszałamia nas od lat tylu ogromem swej autentycznej wierzytelnej wiedzy, malowniczością swego języka, podzwrotnikową bujnością przenosi, niespotykaną u nas śmiałością niespodziewanych kojarzeń myślowych.

### III.

Rzadki to, wyjątkowy i jedyny człowiek w naszym społeczeństwie ten pisarz, którego pięćdziesiąty rok służby społeczeństwu teraz obchodzimy. Żadnych w nim relatywności, żadnych niejednorodności, odlew z jednego materiału, z jednej bryły, bez skaz, bez łat, bez dopełnień. Ma wzdargę władania, a jest człowiekiem o spotężniałym intynkie władztwa dusz. Od pierwszego swego odzewu bojowego po 1871 r. p. t. „My i wy“, stale pisze

stylem cnych manifestów. „Grandseigneur“ w każdym calu, choć lekceważył ciągłości historyczne, jednak ma w sobie bujną rasę tych polskich trybunów sejmowych, którzy w majestatycznym poczuciu potęgi jednostki rzucali na szalę dziejową *liberum veto*; ma ten sam gest i tego samego ducha, jeno z przydatkami *wszystko rozstrzygającymi*, z przydatkami podniosłego, nieskalanego etosu osobistego i zmysłu solidarności społecznej. W jego świadomej wielkoduszności nie znalazłbyś omal żadnych łącznych z krzykliwym tamtamem demokratycznych mówców wiecowego liberalizmu, gdyż cała wyrosła ze siebie, ze swego indywidualnego podłoża, krzepiona potężnymi tradycjami przestarego gminowładztwa Piastowskiego, echami sejmu czteroletniego i Towarzystwa demokratycznego w Paryżu. T. zw. „jacobinizm“ i „francemasonstwo“ Świętochowskiego jest tym samym stanem dusz wyzwolonych, który był w Reformacji polskiej, jeszcze przedtem w Spytku Melsztyńskim, we Fryczu Modrzewskim, poczem w Aryanach, w Łyszczyńskim, Niemiryczu i wielu innych.

I jeżeli się ze stanowiska dzisiejszej młodej literatury patrzy w górę ku zanikającej już i w wielkich konturach widocznej monumentalnej postaci Świętochowskiego, dopiero beznadziejny tragizm dnia dzisiejszego występuje z całą odrażającą jaskrawością. Pomni się lata całe, w których on sam jeden, można powiedzieć, swemi jowiszowemi tylko brwi ściągnięciami więcej działał, budował i znowuż w gruzy walił, niż dzisiaj 50 placówek, z niego wyszłych ideowo. Widzi się, jak ta jego Prawda docierała do najdalszych krańców Imperyum Rosyjskiego i tam ratowała poczucie narodowe tysięcy i tysięcy inteligentów polskich. Widzi się, jak ten zdrowy, mądry śmiech pisarza „Listów z Paragwaju“ obalał całe jerychońskie mury obskurantyzmu. Widzi się, jak po jego wezwaniach powstawały i rodziły się w społeczeństwie naszym te *prawa moralne*, o których w tych pampasowych okolicach Europy i słyhać nie bywało. Widzi się tego potężnego męża o Fidyaszowej głowie, tego pisarza na miarę wielkich profetów anglosaskiej rasy, jak niestrudzony, nieznudzony jak dobra niańka obchodzi się z tem swem dzieckiem-społeczeństwem, ślamazarnem, skrofulicznym,



wiecznie brudnem, wiecznie zakochanem w swych lalkach romantycznych, w swych zabaweczkach, sztuczkach, mesyanizmach i morfinizmach. Widzi się Świętochowskiego, jak całe lata obciera nos temu zabeczanemu dzieciakowi, uczącemu się na nowo a tępo sylabizowania pierwszych słów elementarza kultury. A czasem widzi się go jak Xerksesa, smagającego łańcuchami żelaznych skojarzeń myślowych to polskie spienione morze złej wiary, złej woli i piętrzących się wysoko bałwanów. Widzi się tego największego artystę słowa polskiego, jak, choć w duszy ma wzdrgę dla „błota zarobkowania“ i „ideałów puchnącego złotem mieszka“, a jednak zmusza się wobec tego kalektwa społecznego, które nawet ziemniaków hodować racjonalnie nie pozwala ni sprzedać funta pieprzu bez pomocy berlińskiego komisu, widzi się tego Świętochowskiego, jak na tle tej wiekuistej głupoty i niezdarności nawołuje i nawołuje do pracy, do zarobku, do bogacenia się, do obrastania kamienia! Lubownik Mozarta, badacz zagłębiony w Spinozie, myśliciel szczytów, esteta w europejskim stylu przez lat czterdzieści zapiera się swoich najistotniejszych pożądań, zrzeka się własnego pełnego i górnego życia idealnego i staje, zakasawszy rękawy, w tym stukocącym młynie idei codziennych i powszednich, byle tylko pożywną, czystą mąkę miała ta potępieńczo kłótnia, niepoprawna i nie-wdzięczna parafia.

I oto teraz, kiedy słońce Świętochowskiego zdaje się już zachodzić za drugą połowę firmamentu, dopiero ciemności egipskie dają się uczuwać dotykalnie. Jak daleko spojrzysz, ani jednego człowieka, któryby mu dorastał choć do ramion. Gromadki otumanione i bezradne. „Świętochowski już nie jest popularnym“, „przeżył samego siebie“, „człowiek starej daty“, „pozytywista hehehe!..“, „nie ma nic wspólnego z pokoleniem dzisiejszem“... Oto wiązanka najistotniejszych *pochwał*, jakie w formie zarzutów dają się słyszeć z ust niektórych „reprezentantów“ dzisiejszego pigmejskiego pokolenia.

I *prawdy* tej nie można Al. Świętochowskiemu zatajać: on nie jest popularnym w Polsce. Popularnymi nie byli ni Ostroróg, ni Modrzewski, ni Zamoyski legislator, ni Wielopolski, ni Śniadecki, ni Staszyc, ni Lubecki, ni Stanisław Potocki, ni

300 lat temu Ossoliński Jerzy. Ani *bohaterstwo rozumu*, ani *inteligencją bojowanie* nigdy w Polsce popularnymi nie były; a już kiedy występują w tem spotęgowaniu, z takim oślepiającym promieniowaniem i z taką pańską rozkazodawczą imperatywnością, ni rzesz, ni kadzideł, nie fanatyzmu nie zniewolą. I w tem leży wielkie szczęście samotnika Świętochowskiego, że się może odczuwać całkiem sam, całkiem światem i całkiem Rplitą i patrzeć w dół na myrmidonów, okadzających to jeszcze gliniany posąg Zagłoby, to w ostatniej fazie klaszczących historycznemu zawodzeniu zdeklasowanego romantyzmu, to wpatrzonych w megalomaniackie giesty tragicznie bezsilnych aktorów, odnawiających bez najmniejszego powodzenia role mocnych reprezentantów nieuchwytnego mocarstwa polskiego, to może sobie spojrzeć w dół w monotony taniec słowiańskich mattoidów przed szczerozłotym Barankiem rzymskiego wyznania.

Przed jego oczyma, jak mówi poeta, niknie już chyba w bezistotnych zarysach to, co nas wszystkich pęta: dni dzisiejszych gminna pospolitość.



ANGIELSKIE PRZEKŁADY  
JANA KASPROWICZA



**P**otężny twórca swojej „Pieśni wieczornej“, osiadłszy pod Zakopanem, oddał się mozolnej pracy przekładania na język nasz co monumentalniejszych dzieł dramaturgii angielskiej. Po dawnych przekładach Szekspira i Antologii poetów przychodzi obecnie kolej na Shelleya, Swinburna, R. Browninga i W. Yeatsa. Należy się wdzięczność głęboka cenionemu poecie, że potrafił talent swój zaprzężyć dziś do zajęcia żmudnego, a tak małym blaskiem opromienionego, — wdzięczność tem większa, że dotyczy piśmiennictwa angielskiego, tak, niestety, absolutnie u nas przemilczanego i pomijanego. Literatura francuska już od czasu Emila Montégu ma ciągłych pośredników, stale informujących świat czytelniczy Francji o nowych autorach i ważniejszych dziełach (G. Sarrazin, Th. Bentzon, Wyzewa, Marcel Schwob). U nas bardzo rzadko jakieśkolwiek echo o tej literaturze przeciska się na drukowane łamy, co oczywiście jest rzeczą niezmiernie szkodliwą dla całokształtu naszej kultury literackiej, ale na razie nie razi wobec braku jakiejkolwiek wogóle organizacji duchowej w całej naszej gospodarce kulturalnej i wobec dziś już systematycznego zrywania ostatnich literackich komunikacji z całym europejskim światem. Z czasem, tak gospodarując, ostaniemy się może w jakiej *splendid isolation* kulturalnej, nie mając współtowarzyszów niedoli nawet już w Czechach, ni w Rosyanach. Winę tego stanu szczególnie w stosunku do Albionńskiej literatury ponoszą głównie ci piszący, którzy, posiadłszy tajemnice anglosaskiej mowy i poznajomiwszy się z jej literaturą, rozkoszują się nią sybarytycznie w czterech ścianach swego *at-home*. A przecież, jak ideały polityczne i społeczne, tak ostatecznie i wszelkie ideały estetyczne i pierwiastkowe pierwiastki kierunków literackich idą na kontynent i do nas od wielu już lat ze starej Anglii.



Tak nasz konserwatyzm z Macaulaya, Disraeliego, z Carlyla, jak i pozytywizm warszawski z Darwina, Drapera, Huxleya, Spencera, Buckle'a i Milla najwięcej czerpały amunicji dla swych argumentacji. Po tryumfalnym pochodzie malarstwa angielskiego przyszła kolej na sztuki dekoratywne, na Ruskina, Morrisa, na sztukę dla ludu, na styl w życiu codziennym, na meble, ubiory, książki, architekturę, wille, ogrody; wszystko to szło od lat pięćdziesięciu z tego imperyum, w którym słońce istotnie nie zachodzi. Przeciskał się do nas *comfort*, a miejscami już i *cant* angielski, a tylko to, co najważniejsze, t. j. przyswajanie płodów ducha angielskiego, tak jeszcze ciągle było tylko, jak i jest, kwestią przypadku.

Oto dla czego poecie J. Kasprówicowi należy się wdzięczność specjalna. W trzech książkach, wydanych wzorowo przez lwowskie Towarzystwo wydawnicze, poznajemy czterech mistrzów różnych stylów z różnych czasów, a tylko o jednym i tym samym „klimacie duszy“, omal biblijnym, ognistym i górnym. Pierwszy idzie *mad Shelley*, elf wąty, kobieco-piękny ze swą okrutną, posępną tragedią „Cencich“ (rok 1819). Tematyczny materiał u nas dobrze znany z dramatu Słowackiego; kiedyś Ignacy Matuszewski przeprowadził paralelę obu dzieł i — słusznie, na benefis polskiego twórcy. Jan Kasprówic sła biutkie swoje studium o Shelleyu (niegdyś w *Myśli*) rekompensuje teraz mocnem, jednolitem tłumaczeniem dramatu, który, co prawda, nie jest ostatnim wyrazem natchnionej prometejskiej twórczości seraficznego baroneta. Jest to niejako Król Lear na opak, udratyzowanie starowłoskiej kroniki z 1599 r., którą w jakieś dwadzieścia lat po Shelleyu odpisał znowu *in crudo* Stendhal, opatrzywszy tak sfabrykowaną staroitalską nowelę uogólniającym wstępem. Nie ulega wątpliwości, że w dyabolicznej figurze starego hrabiego Francesca, tyrana swych dzieci, skąpca, rozpustnika, dochodzącego do zwyrodniałych objawów i kazirodczych ataków, pomieścił narcyzowo czysty „słodki Percy“ wiele rysów z własnego złego ojca, sir Timothy, szorstkiego ciemniejącego w patrychalnym stylu o ciasnym, znarowionym umyśle, reakcyjnego filistra i wiernego poddanego książąt Norfolk (patrz: William B. Scott). W dramacie tym ten tylko ojciec i biedna Beatrycze występują plastycznie i żywo; reszta figur, nawet dobra macocha Lucrezia, synowie

Cenciego, kardynał Camillo, są dość bezkrwiste, a, jak Taine nawet mówi: to fantomy bez substancji. Utwór, pisany we Włoszech, w tym „raju wygnańców“ angielskich, przyjęła oficjalna krytyka *magazynów* z dziką, choć nie wyjątkową wściekłością. Epitety: *infam*, *pestilencious* nie należały do unikanych. „Rodzinę Cencich“ uznano po prostu za wielkobrytański skandal, potępiając w niej bezwzględnie ideę, naruszającą autorytet rodziny i przeklinając ziarna rewolucyjne Goodwina (teścia Shelleya, a duchowego ojca Marxa), rozrosłe w dramacie w pyszne poetyczne kwiaty. Jan Kasprówic przełożył ten dramat Shelleya, pełen Sofokleicznego ducha, przednio i poważnie. O jego umiłowaniu autora „Iryjskiego awataru“ świadczy to, że raz po raz wraca do przekładania Shelleya: „Alastor“, „Oda do Zachodniego Wiatru“, „Epipsychidion“ (tłumaczony także przez F. Jezierskiego). W transpozycji „Rodziny Cencich“ Kasprówicza jest ta sama bogata dykcja dyalogów, są arielowe uroki, kiedy mówi biedna italska Antygona, i jest brutalna przemoc samowoli w ustach starego poczwarnego sadysty. Jedyne to na realnych motywach wsparty utwór Shelleya, unoszącego się swą duszą, jak motyl nad powalonym tygrysem bestyalskich chuci cielesnych; przełożony jest pięknie i wiernie.

Drugim dziełem, w chronologicznym przeglądzie idąc, jest Algernona Charles Swinburna tragedia „Atalanta w Calydonie“ (rok 1864). Eschylesa geniusz nieprzemijający przebija tutaj nawet z za wierutnych kaskad i ulew pięknoślownych znakomitego *grand old man'a* o słynnych rudych włosach, a jeziornie zielonych oczach. Ale wpływ Eschylosa nie wyłącza także Sofoklesowskich ech (nawet w obrazowaniu), jak znowu w wybuchowych eksklamacjach przeciw bogom przypomina się fanatyczny wróg bóstw wszelkich: Shelley. Autor „Atalanty“, ze starej szkockiej rodziny wywodzący się arystokrata, jest namiętym i nieprzejednanym republikaninem i entuzystą bezwzględnej wolności. I te dwa tony *wytworności i wiecznej ducha rewolucyjności* przebijają się, jak w całej jego twórczości, tak i w „Atalancie“, poprzez gęstwiny bujnie rozgadane go patosu (w Anglii zwanego *wordsworthian pedestrianism*). Swinburne jest mistrzem podniosłej, pysznej, nawet wysiłonej mowy. Uważany



za angielskiego Baudelaira. opiewa smutek rozkoszy i Trystanowe a Tannhäuserowe tęsknoty ku absolutnej miłości. Ale umie on i wznieść się do stanów żarzącej zmysłowości i wtedy w ulewach pięknych słów miota naokół piorunami nieokiełzanych namiętności. Kolorytem swym wierszowym starał się Swinburne zbliżyć do swych przyjaciół prerafaelitów i transponować czystość i religijność ich średniowiecznych wizji na sztukę swojego poetycznego słowa. W jego dramacie „Bothwellu“, jednej tylko części tryologii o Maryi Stuart, każdy akt jest tak długim, jak indziej cały pięcioaktowy dramat; dystansuje to nawet „Cromwella“ V. Hugo, liczącego ni mniej, ni więcej, tylko 600 stron druku! „Atalanta“, entuzjastycznie przyjęta przez koła estetycznej inteligencji, wywołała oczywiście cały bestyalizm bigoteryjnej i hypokryzującej krytyki. Rozpoczęła się naganka, jak gdyby na „psa szalonego“; poeta uciekł tam, gdzie wszyscy genialni Anglicy schraniają się przed *cantem*, do Włoch. Treści „Atalanty“ nie opowiem, gdyż wszelkie streszczania są karygodnem nadużyciem ze strony krytyków, zwalniających ospałych czytelników od czytania utworów, których streszczenia z zadowoleniem świeżo sobie połknęli..

Tłumaczenie Kasprowicza jest wysoce poprawne, a miejscami, szczególnie w chórach, imponujące; zyskuje nadto niepomierne, gdy się je porównuje z tłumaczeniem niemieckiem hr. Wickenburga, profesjonalnego tłumacza Albionu. Jednakże już tu, w przełożonej „Atalancie“, irytują od czasu do czasu te forsowane nieco dosadności i tężyzny, brane z ludowych gwar, te wszelkie: juźci, k'sobie, haści (zamiast haszczy), słozy, żorunki, słodkie-ć, lice-ć, juźby-ć. Ta „monomania schłopiania“ języka literackiego staje się coraz uporniejszą i przeciwko niej absolutnie zastrzedz się trzeba, zwłaszcza, o ile rochodzi się np. o przekład A. Ch. Swinburna, który od wszelkich affektacji ludowych był o sto mil *angielskich* odległym. Oczywiście, zarzut ten jest pyłkowatą drobnostką wobec świetności, np. „chóru o miłości“, lub wesołej pieśni dziewcząt, lub podniosłego finału, w którym Meleager żegna się z życiem; no, i wobec niesłychanych trudności, jakie nastęrczał przebudny, w obrazowaniu wprost utracyuszowski język autora „Królowej Matki“ i „Rosamundy“

Trzeci poeta, przetłomaczony przez Kasprowicza, to od czterestu lat pogrzebany w opactwie westminsterskiem Robert Browning, w samej Anglii zwany „nieprzetłomaczalnym“, a do tego stopnia niezrozumiały, że dopiero „Towarzystwa imienia Browninga“ komentują go i interpretują. Tak jego teoria dramatyczna, jak jej wypełnienie w utworach, więc słynne: „Pippa przechodzi mimo“, lub „Tragedya duszy“, „Na balkonie“, „W gondoli“, „Paracelsus“ spokrewione są nieco z duszą widzeń Maeterlincka i jego dramatami bezczasowemi z „tragiki dnia codziennego“. Temperament Browninga, czysto liryczny, zostaje takim samym bez żadnych skrupułów w dramacie. Natomiast w poezjach lirycznych np. w osławionym i wyszydzonym „Sordellu“ (sześć tysięcy wierszy!) zdobywa się na silnie dramatyczne akcenty właśnie w głębinach całkiem nieodecyfrowanych labiryntów myślowych, w zdziwiających parkach dziwnych syllogizmów, niesłychanych, pozornie nie związanych logicznie kombinacjach słownych. Autor „Pippa passes“ jest uważany za liryka świadomie bez żadnych tradycji literackich, bez żadnej formalistycznej kultury, bez protoplastów. Pełnia intensywniej mocy twórczej doprowadza go czasem do dzikości, graniczących z banalnością niby zupełnego nieokrzesań, „sztucznego barbarzyństwa“, zabląkanego „w winnice Pańskiego Piękną“; banalności takich Browning nawet nie przeczuwał, starając się jeno o dobór słów nowych, absolutnie najwłaściwszych, niepowtarzalnych, rzadkich. W takim słownictwie, często ciemnowawem, irytującym, dla potoczności całkiem egzotycznym, wyrażał on te wyjątkowe stany i sytuacje psychiczne, w których dusza, odsłonięta z obsłonek życiowych, społecznych i środowiskowych, oswobadza się i komunikuje z innymi duszami bezpośrednio, bez uwzględnienia wszelkich afer i konfliktów naskórkowych, bez krzyków, ran, zdrad, rywali, otruc, zawiści, intryg, sztyletów, łez, problemów, rewolwerów. Prastare tragedye dusz ludzkich Browning, ten badacz najdalszych głębin, roztacza przed nami jakby po raz pierwszy, zawsze w swojej oslepiająco, a czasem nużąco pysznej dykcji. Sam ze siebie, w najistotniejszych przeżyciach zdobywszy niezachwialny sceptycyzm, wie już, że prawda ukrywa



się w pryzmie każdej osobistości. Więc patrząc w świat ty-  
siącym oczu, umie się najzłudniej inkarnować w najsprzecz-  
niejsze ludzkie majaki i cienie. Jest więc i Calibanem, leżącym  
głęboko w błocie, bawiącym się robactwem, w mule wyła-  
wianem, jest i Paracelsusem, tym pierwszym chemikiem,  
pierwszym doktorem-terapeutą, pierwszym chirurgiem i pierw-  
szym przyrodnikiem nowożytnej epoki, usuwającym Galena  
medycyną, a apostoliczno-teologiczne spekulacje przyrodniczymi.  
Jest Browning i trubadurem Sordellem, i smutną, opuszczoną;  
starzejącą się żoną żeglarza, skarżącą się przed ogniskiem,  
w którym trzeszczą bele z wyłowionych okrętów; jest i medyum  
mr. Sludgem, i arabskim doktorem Harsziszem, opowiadającym  
o zmartwychstaniu Łazarza; i Pamfylarem Antiochem, opo-  
wiadającym o śmierci Johanaana; i masztalerzem, skarżącym  
się na ucieczkę pięknej księżny; i znowuż Piotrem Ronsardem.  
A już do jakiego stopnia Robert Browning umie się zapaść  
i ukryć w dusze wszystkich ludzi, i wszystkich byt i piękno  
bezwzględne usprawiedliwić i roztoczyć, tego dokumentem:  
„*Pierścień i książka*“, poemat, w którym zwykły proces na tle  
niby banalnej zdrady małżeńskiej w starej Italii z r. 1699  
opowiada kolejno kilkanaście osób, bezpośrednio w nim za-  
interesowanych i wpłątanych. Formę tą staroitalską, tak  
niesłychanie dla analizy psychicznej podatną, naśladował ze  
szczytnym sukcesem w swej „*Krucyacie dziecięcej*“ Marcel  
Szwob, znawca i wielbiciel angielskiej literatury, ten sam,  
który przetransponował i Johna Forda dramat „*Annabelle*  
i Giovanniniego“, temat tkwiący i w stosunku naszej Anny  
Oświęcimówny do jej brata, a opracowany raz w dramacie  
Mikołaja Bołoz Antoniewicza, granym niegdyś mimo drastycz-  
ność tematu (miłość siostry do brata) przez Ant. Hoffmanową  
w Krakowie. W dramatycznym dziele Browninga rozjaśniane  
dylematy, pozornie bardzo wyjątkowe i zawile, a w gruncie  
swym niezwykle zasadnicze i częste, jak: człowiek, który  
wzyl się sennie w pewien bohaterski los, a życie nie chce mu  
tego *snu* akceptować, albo: ciche szczęście człowieka, który  
czuje się nieszczęśliwym, poniewieranym, niecierpianym, osamot-  
nionym, i jak się to ciche szczęście niszczy, zmienione nagle

w istotne a *konwencyjonalne* szczęście (motyw Dostojewskiego);  
albo: od jak przypadkowej drobnostki, ot, np. śpiewu pod  
oknem przechodzącej mimo praśniczki Pippy, zależnym jest  
układ życia ludzkiego, o ile taki śpiew przypadnie właśnie na  
moment koncentracji dusznej człowieka, na moment, w którym  
czy królobójca, czy kardynał, czy kochanek, czy malarz, po-  
znają jasnowidząco swą psychę do głębi i zdecydują o całym  
swym programie życia. Robert Browning jest jednakże mi-  
strzem jednego aktu; przeważnie te jednoakty są właściwie  
czwartym lub piątym aktem nienapisanej całości; działają tem  
silniej, choć są bez śladu jakiegokolwiek akcji, a dyalogi w nich  
zgoła przekształcone w monologi potężnych burzliwych uczuć,  
manifestujących się w pysze kosztownego, arystokratycznego  
słownictwa.

Czy tedy Jan Kasprowicz podolał przekładowi tego utworu,  
który jest istotnie wspaniałą symfonią zwolna obnażających  
się, długo skrywanych a wulkanicznie potężnych uczuć?  
I znów w zestawieniu przekładu poety polskiego z niemieckim  
pierwszeństwo należy się polskiemu, aczkolwiek nie odpowiada  
ono jeszcze wyimaginowanemu portretowi, jaki się wyrobiło  
sobie o autorze „*Pippa passes*“ z innych jego dzieł tłoma-  
czonych i czołobitnych prac o nim. Znów i tu bowiem uległ  
Kasprowicz już wprost z kretesem pokusom *przepolszczenia*,  
absolutnie niepotrzebnym i nieco wprost barbarzyńskim.  
W kortedziańskim bowiem skroś dyalogu może z jakiegoś  
mierzchnącego rokoka albo nawet może i z *naszych* czasów —  
co znaczą takie *mo carne* słowa, jak: dworzyszcze, waszmość,  
waść i t. p., co znaczą te staropolskie: ja-ć, k'niemu, moje-li?  
Ta monomania w *przepolszczaniu*, *zestawiańszczaniu* i *uludo-  
wianiu* w poetyckich tłumaczeniach grasuje już wprost na-  
gminnie i doszła do takich objawów dziwacznych, jak tłoma-  
czenie Fiorettów św. Franciszka *gwarą* podhalańską!!

Po za tą jedną wadą przekład jest zbożny i reprezenta-  
cyjny. Konflikt utajony trzech serc, rozżarzonych w decydu-  
jącym, parnym momencie, przeprowadzony z najdelikatniejszą  
maestryą psychologiczną przez angielskiego mistyka, znalazł  
w poecie polskim odczuwającego to twórcę.



Ostatnim utworem, przełożonym przez Jana Kasprowicza, eremitę z Poronina, jest przepiękna ballada dramatyczna irlandzkiego marzyciela Yeatsa „Księżniczka Kasia“ (bardzo słuszny tytuł na *Countess Cathlen*). Jest to jakoby transpozycja w duchu keltyckim uroczego dramatu Monny Vanny, tak niesłusznie ukaranego popularnością i sympatją mobu całej Europy. Tłomaczenie Kasprowicza staje się tu już wtórnie natchnionem napisaniem całej rzeczy. Jest to kopia z olejnego obrazu mistrza, ale zrobiona jakby przez tego samego mistrza, tylko np. pastelami. Tu już Polak odczuł Irlandczyka całym sercem i głębią duszy, tu już ukochanie ludowego pierwiastka w języku znalazło swoje usprawiedliwione ujście, tu już „kłoniąca się k'legendom“ fantazyja twórcy „Krzaku dzikiej róży“ z lubością pomagała tłumaczowi. Nie należy ni chwili wątpić, że dramat ten kiedyś, kiedy i u nas literatura na nowo zdobędzie swoje zrabowane przez zły gust mobu świątynie sztuki, „Księżniczka Kasia“ zapewne będzie wystawioną i podziwianą przez najgodniejszych. W konkluzji należy jeszcze zwrócić uwagę świetnego tłumacza na macosze przepomnienie w podaniu „prób“ (?) dramatycznych — takiego np. Stefana Philippsa, którego czy „Herod“, czy „Ulisses“, czy „Nero“, a już szczególnie „Paolo and Francesca“ bardzo się kwalifikują do tłumaczenia. Rob. Browninga symfonię „Pippa passes“, tłumaczoną już na pięć języków europejskich, w najbliższym chyba czasie ujrzymy na półkach księgarskich. Tem bardziej, gdy się zwróci uwagę, że niema ten dramat *nic* w sobie z Browninowych ciemności i zawilości, jest przepojony kryształnym promiennym optymizmem i ukochaniem ludzkości, i że w jasno symbolicznym śpiewie prąśniczki z Azoli daje jeden z najpiękniejszych nowych mytów światowych. Jest to jedno z najwspanialszych dzieł tej sztuki szczytowej, która się wyłania po skojarzeniach dwóch wielkich żywiołów cywilizacyjnych, t. j. anglosaskiego i starowłoskiego.

Wierny od lat dwudziestu przyjaciel angielskiej poezyi, a herkuliczny druid z pod Gewontu, Jan Kasprowicz, dał nam wreszcie jeszcze jedną książkę, która w normalnych warunkach kulturalnych byłaby faktem, a w naszych czasach jest znowu

stoczeniem bryły złota w przepaść panbeockiej niedoli. Moc pracy, anachoretycznej, świadomej sobie pracy leży w tym wspaniałym brewiarzu, w którym jeden z największych poetów dzisiejszych europejskiej miary poznaje swych współczesników ze świetną „zgrają harfiarzy“, przeszło trzydziestu męża z Albionu liczącą. Należy się Kasprowiczowi od nas korna wdzięczność i możliwie logicznie argumentowane uznanie, że w tych smętnych czasach głupkowatego chaosu i parszywej wojny karłów z pigmejami daje nam do rąkomal niepokalaną piękną książkę o angielskiej gęździe wszystkich czasów, od jej pierwopoczątków aż do dni niniejszych, a w tej książce kongregację prawdziwych jakoby „*devasów*“, wyższych duchów o archanielicznych ekspansjach myślowych a wszelkiej twórczości europejskiej pragonów. Chyba już dzisiaj bowiem i nie ulega wątpliwości, że wszelkiej poezyi alfa i omega, źródłem i ujściem jest twórczość angielskich mocarzy ducha, tych olbrzymich nenufarów wyrosłych na bagienniskach materjalizmu anglosaskiego, tych strzelistych słupów milowych dywinacyi ludzkich, tych białych demonów, przelatujących z szumnych łopotem tęczowych skrzydłisk nad mrówczemi kopcami ludzkiej lichej wegetacyi. Nazwiska: Shakespeara, Chattertona, Williama Blake, Shelley'a, Keatsa i Swinburna mówią o duchu aryjskim wszystko, są początkiem, końcem i szczytem wszystkich natchnień, wszystkich lotów, kierunków, i zmów i plejad; twórczość ich to istne *cor cordium* wszystkich twórczości, to wielkie świadectwo *magna charta* inkarnowania się najwyższego w coraz nowe postaci „Mahatmów“; to ewangelia ewangelii. Jan Kasprowicz czuje to samo, jak zresztą cała intelektualna elita Zachodu, zwracająca się w ostatnich trzydziestu latach z całą energią ku temu Sezamowi i czerpiąca z niego pełnemi dłońmi najdrogocenniejsze skarby, najbajeczniejsze klejnoty, kompas na życie, lampy Aladynowe, czapki niewidomki a przede wszystkim wszelkie kanony dla nowej ludzkości *górnej*, zgoła odmiennej od dziś rządzącej ludzkości *nizin*.

Nie są to tłumaczenia poetów angielskich; to są w całej tego słowa wadze przyswojenia poezyi polskiej *poesy* angielskiej, to są natchnione a dosadne transpozycje twórcze na ton,



tok i takt polskiej mowy, to są niekiedy wżycia się momentalne w obce typy twórcze i łudząco-wierne oddawania dźwięków przeróżnych lir, harf, fletni, trombit, coprawda zjednoczone i ujednobarwione indywidualnym językiem Kasprowiczowym, tym korzennym, masywnym, czasami ciężkim od przylepionych gruzłów kujawskiej gleby, ale zawsze najrdzenniejszym, lechickim, *autentycznym* językiem Polan, szczurów naszych. Z całą lojalnością wyznać tu trzeba jednakże, że, w zestawieniu z niektórymi twórcami szczególnie ostatnich czasów, język ten zawiódł i nie dostroił się, a w porównaniu np. z niemieckimi tłumaczeniami (Lachman, Richter, Kassner, Sieper i wielu innych) okazuje się za ziemistym, za masywnym; R. le Gallienne, O. Wilde, Bridges i Rossetti dostali w tej interpretacji polskiej czerstwych zdrowych rumieńców, tężyzny grubych palców i ciężkiego stąpania rytmicznego, co wszystko było ich antypatyą i antypogodą. Natomiast spotężniali jeszcze wyszli średnowieczni mistrze Chaucer, Spenser, Shakespeare, Burns, a już wprost monumentalnymi majstersztykami są istotne transsubstancjacje „Hyperiona“ Keatsa, „Alastora“, „Adonais“ Shelley'a, „Anaktoryi“ Swinburna i perełek Tomasza Hooda, tego samego tyrtejskiego pieśniarza, którego „Pieśń o koszuli“ tak doskonale przyswoił nam Wł. Nawrocki.

Kasprowicz poprzedza swe tłumaczenia protestancko suchymi i lakonicznymi notatkami o poetach w intencji, aby poezje ich przemawiały same przez się, emocjonalnie silniej czytelnik nie zaprzętał sobie umysłu szczegółami martyrografii. To błąd, to postulat pedanterii i przesada dydaktyczna. O ile bardziej urocza byłaby ta księga z choćby krótkimi ale obramowanymi medalionami tych prawdziwych półbogów, rozdających w złotych kruzach dziwnych i dziwacznych form słodkie i oszałamiające: *vinum daemonum*. I jeszcze jeden możnaby Kasprowiczowi zarzut z żalem postawić, to jest pominięcie kilku twórców, którzyby dopełniali już obrazu tego czarodziejskiego parku poezji angielskiej. Można się zgodzić na pominięcie Milтона, protestanckiego Danta, co w życiu przeszedł przez piekielne kręgi ślepoty, którego wszyscy chwalą, a nikt nie czytał, a którego *Juvenile Poems* mają

swoje dziwaczne uroki. Można podziękować Kasprowiczowi za wzgardliwe pominięcie dzisiejszego poety laureatusa mr. Alfreda Austina, twórcy łajdackich hymnów ku czci Jamesona, Chamberlaina i generałów-morderców Transvaalu. Ale o kilku innych trzeba upominać się z uporem. A więc może dopełniłby symfonicznego wrażenia książki i ton lubieżnika z czasów restauracji Stuartów hr. Rochestera i znowu elegancki idylik, u nas tak bardzo znany niegdyś i czytany, Alex. Pope, perukowy, pasterski, zfrancuziały. Może też nie byłby zbyt cennym James Thomson, autor „*Rule Britannia*“, a w „*Seasons*“ pierwszy panteista, a z Waltera Scotta coś z „*Pieśni Ostatniego Minstrela*“, które u nas kiedyś nieudolnie tłumaczono. W każdym jednak razie nie do wybaczenia jest opuszczenie Georgea Crabbe'a, największego poety Anglii według Byrona, najgroźniejszego, najdrastyczniejszego, najzuchwalszego malarza nędzy i jej upodleń, druzgocącego szydery, jednego z najbardziej zbuntowanych aniołów na angielskim Olimpie; właśnie słownictwo Kasprowicza najbardziej nadawałoby się w swej sile do nędzarskich liryk Crabbe'a. Z Chattertona większą wybuchowość od „*Tragedyi bristowskiej*“ (nie bristolskiej!) ma krwawa „*wesoła*“ „*Ballada o litości*“; nadto Chattertona należałoby może z szacunku dla stylowości tłumaczyć językiem paralelnym do pseudo-Rowley'a, więc językiem kazań Św.-Krzyżskich, Reja, Budnego, Bielskiego. Z nauk współczesnych brak nie dla ścisłości a dla *kolorystyczności* obrazu kilku bajecznych ekscentryków, z których lord de Tabley, Webster, Martin Many Robinson i dziś podstarzali efebi koło ś. p. Oskara, jak Rood, Ros, Dowson, Douglas straciliby coprawda w krzepkich rękach Kasprowiczowych cały puch swych motyli i ómich skrzydeł, ale zyskałby stanowczo Thomson Francis, przepyszny awanturnik, żeglarz metafizyczny, fortepianista deliry, sonnambulik, a z fachu... opiumista.

Udręką i czerwem książki są tu i owdzie specjały słowne, „*cudowności*“ dosadne, wzięte z ust *juhasów* i *baców*, rzekomo arcyplastyczne a w rzeczywistości folklorne i partykularnie ładne. Książka ta winna w pięknej oprawie leżeć na stole każdego szanującego się domu; jest bowiem faktem kultury polskiej.



# WIKTOR ALFIERI

Nowaczyński. Szkice literackie



**P**rzeminęło w roku poprzednim lat kragło 160 od dnia, w którym w małym miasteczku góralskiego, wynędzniałego, kiepską sfrancuziałą włoszczyzną mówiącego Piemontu, w Asti urodził się w hrabiowskiej rodzinie Alfierich przyszły wielki tragedyopisarz i satyryk Włoch w niewole porozdzielanych, Vittore, zwycięzca słowa. Autobiografia jego, jeden z najbardziej interesujących analitycznych dokumentów psychologicznych, stawiana obok pamiętnika Cardanusa z czasów Odrodzenia i Pamiętnika kardynała de Retza, roztacza przed nami z otwartością wprost rozbijającą i szczerością bezprzykładną otchłani życia, w którym po nieuctwie (nonstydiu) i baraszkowaniu dziecięstwa przyszła młodość swawolna, huczna, buńczuczna, rozpustnemu włóczęgowi i siedmiu grzechom głównym w całości poświęcona, ustępująca wreszcie w ciekawym procesie przeobrażeń wewnętrznych miejsca wiekowi mężkiemu, epoce wytrwałej i żarliwej służby Sztuce pisarskiej, pojętej jako kapłaństwo w wierze Bóstwa idei, jako pełen uroczystości obrządek Piękna, jako poważne a posłuch wymuszające posłannictwo narodowe. Już to żywot młodego arystokraty byłby, jak u tylu innych spływał pianą używania i wyżycia się, potokiem poziomych awanturek miłosnych, przygód skandalicznych, bodegowych heroizmów, bezmyślności i przesytów nieodzownych, gdyby w trakcie tych eskapad Don Juana o rycerskich tęsknotach duszy Don Kichota dobra wróżka poety nie zagnała dwukrotnie statku jego szaleństw pańskich na zielone wybrzeża Wielkiej Brytanii. Tu dopiero — jak stwierdza w Pamiętniku — po raz pierwszy odczuł się Włochem z Włochów, nieszczęsnego narodu synem, tu jasnopatrzącem ogarnięciem i upokarzającym porównaniem



stwierdził przed samym sobą, w jak bezgranicznej nędzy i poniżeniu przegniwa zwolna jego rasa królewska, podzielona politycznie na dziewięć aż zaborów, rządzona tu przez bastardów Burbonich, tam przez chytrych Habsburgów, tu przez kler czarny, rasa raz wraz rozdawana kawałami przy każdej historycznej sposobności to temu, to owemu odpadkowi żrących się ze sobą dynastii. Tu, w Anglii, na ziemi wolnych i dumnych panów szerokich mórz i zamorskich lądów, stanęła mu dopiero w pełnym rażącym świetle nikczemna i wstrętna niewola jego narodu, tak niegdyś mocą rządowego, tak światowładnego. Po drugim pobycie w Anglii wracał do smętnego Piemontu już nie smakosz i używacz życia szaleństwami osławion, ale zatajony w sobie, zwarty, zamknięty w rozmyślaniu Włoch i to Włoch upokorzony. Powrócony do kraju wrychle przychodził do przekonania, że w granicach życia publicznego tych państw i kraików reakcją katolicką przytłoczonych, absolutyzmem małych kacyków zdławionych, wegetujących z dnia na dzień w ospałości, niewoli i legitymizmie nie masz miejsca dla człowieka wielkiej wyzwalającej inicjatywy, ni pory na jakieś bohaterskie ogółowe czyny. Letarg polityczny wszystkich warstw narodu był tak silny, sumienie rasowe tak zaniebiałe, martwota ambicji, obojętność honoru tak zupełne, poczucie obywatelskie i ludzkie tak nijakie, że potrzeba było przedtem prądu miliona wolt chyba, aby tę zmartwiałą wskrzesić, upodlenie ujawnić, ażeby wstrząsnąć odrętwiałem sumieniem, sercem, temperamentem, duszą Włochów—Pigmejów między latami 1760 a 1800. *Homme d'action*, jakim marzył się Alfieri w akcji omal desperacyjnego ogarnięcia okiem sytuacji i pustynnej oschłości czasów, staje się *homme de lettres*. Uwodziciel wczas opamiętały przypomina sobie z lat efebich czyste momenta potężnych zachwytów, jakie zawdzięczał niegdyś lekturze heroicznych biografii Plutarcha. Lekkoć w porę zawstydzony przywodzi sobie w pamięci, że przecież próbował już terenu pisarskiego, opisał siebie samego, jako Zeuzippa w niby farsie „Il Poeti“, że przecież między najtęższymi wyskokami jego kawalerskiej tężyzny było napisanie i wystawienie w Turynie (dwukrotne) „monstrualnego“ dzieła

o Kleopatrze. I oto z tym samym ogniem, zapamiętała gwałtownością i wyłącznością, z jaką niedawno jeszcze trwoniał i rozmieniał kruszec swej młodości na liczmany błazeństw oklaskiwanych przez rówieśniczą nicość, z tym samym ogniem rzuca się w twórczość dramatyczną. Lekki i letni sukces „monstra“ Kleopatry, której w figurze Antoniusza marnie swoje miłosne opętanie wypowiadał, jest mu ostrogą i bodźcem. Seneka i Corneille, gwałtownie nocami pochłaniani, dają jakie takie wzory na początek; Rasyna nie tyka, żywiąc doń od dzieciństwa antypatyę i zasypiając twardo przy lekturze Rasynoskich dramatów, Wolterem przenika i przesiąka cały na wskroś w każdej fibrze swej organizacji intelektualnej. A jak poważnie i rzetelnie pojmuje przyszłą swą misję pisarską, tego daje dowód w tem, że dla studyów językowych przenosi się do kolebki najczystszej języka włoskiego — do Toskanii, że wchłania w siebie całe foliały staroflorenckich autorów, że pielgrzymuje jako pątnik po grobowcach wielkich mistrzów słowa, przy tumbach Petrarki czy Danta, Ariosta czy Machiavella bierze święte pomazanie i w obcowaniu samotnem z duchami władczyimi starych Włoch rozprzestrzenia swą duszę, oczyszcza ją z naleciałości grzęzawisk młodzieńczych, hartuje wolę twórczą, rozszerza widnokreśli swych marzeń, porywów i gniewów i tak zmieniony do niepoznaki, zrywając ostatnie nici z dawnym szalawilą hrabiczem z Asti, staje w mocnym i lśniącym od polerunku rynsztunku na arenie życia, na piaskach niewolniczego bytu Włoch owoczesnych. I oto dziwnym trafem z młodym gladyatorem z innej areny, z Schillerem, nietylko to ma wspólnego Alfieri, że nad zamyślonymi czołami obojgu płomienny włos ryży się wichrzy (jak kostycznie opisuje w sonecie „Suo ritratto“ do znanego portretu Fabra w Galeryi Uffizi: *Capelli or radi in fronte e rossi pretti*), ale wspólny ów, całkiem młodzieńczy, świeży i naiwny kult dla bohaterów Plutarcha, dla Tymoleona! Cezara! Brutusa! a wreszcie owo wspólne hasło, wyryte u wstępu wyzywających „Zbójców“ Schillera, a nad całą twórczością Alfieriego promieniejące, akord jego przewodni i motyw najgłośniejszy: *in tyrannos! in tyrannos!* W młodym



hrabiu Alfierim dojrzewa mocny i zuchwały republikanin, jeden z naczelných romańskich reprezentantów frankmassoństwa europejskiego, zapamiętały i nieprzełagalny wojownik z Bechemotem absolutyzmu i Lewiatanem ultramontanii, hydrami od 150 lat pożerającymi duszę każdego nowego pokolenia Włoch. Odczuwa on z dnia na dzień coraz boleśniej i głębiej przygnębiające i dławiące mu gardło poniżenie tak wielkiej niegdyś ojczyzny, widzi z rozpaczą, jak dyplomacya „tych złotych czasów absolutyzmu“ zdegradowała mu Włochy do pojęcia geograficznego wyłącznie, jak gdzieindziej wspaniałe rozkwita wielkopańskie życie państwowe, dyktujące nawet prawa obcemu niedołęztwu, a jego Italia, na szereg partykularzów rozkrajana, wegetuje pod gnuśną i różnorodną administracją, poodgradzana od siebie wzajem cłami i paszportami, różnicą kultur i przykazami lojalności. Podróżujący pielgrzym widzi szeroko rozwartemi oczyma Kampanię z ogrodu Włoch w pustynię kleszą ręką przemienioną, w Medyolanie gospodarujących węgierskich Hunnów Austryaków, w Neapolu głody, nędzy i bandy zbójów, w Piemoncie wpadających raz po raz Francuzów, a wszędzie upadek, zniszczenie, ciemnotę, biedę, marazm, a wszędzie ślady wielkiego przemysłu niegdyś, wielkich genialnych rękodzieł, bogactw oślepiających, życia państwowego bujnego, wielkich czynów politycznych, sztuki górnej, jedynej i tradycyi! tradycyi wszechpotężnych, oszałamiających. I w hrabiu Alfierim wzbiera, wypalający wszystkie inne uczucia gniew bezbronny, spętany zwierza i całą istotność ogarniająca żądza mszczenia się za każdą cenę: in tyrannos! in tyrannos! Znany dotychczas w swych kołach, jako kpiarz, dowcipniś i facecyonista, młody człowiek bez ideału znajduje swój ideał, nie przyjmując go z rąk „*l'abbate*“, bakałarzy czy znawców piemontkiej parafii, ale zdobywa go sobie powoli, żmudnie wśród walk ze sobą samym, ze swem lżejszem, niższem, rodzinnem „ja“. Do lektury Aretina zabiera się jeszcze z oczekiwaniem poziomszych, może nawet seksualnych sensacyi, jako do pisarza, który jest *także* awanturniczą, problematyczną naturą, faunem i satyrem zarazem; wstaje od Aretina już tylko w rozmyślaniach nad przebrzmiałą wspaniałością Włoch renesansowych

i nad czarnoksiężkim urokiem pióra mocną ręką dzierzzonego i nad negatywną potęgą, jaką daje talent szyderstwa. I wtedy to może postanowił Alfieri być *także* „biczem na książęta“. Względem społecznych mu karykaturalnych tyranii żywił wżgardę niejakiegoś „plebejenrevolté“, ale równego ku równym. Drażniło go i poniżało wobec samego siebie, że naród, z którego wyszli imperatorowie świata i cesarzy sztuki, poddany jest pierwszym lepszym przybłedom francuzkim czy austyackim, podzielony, jak szata Chrystusa między żołdactwo, poniżony i ciemny, że nie umie ni czytać ni pisać, że taki poeta Metastazio musi mieszkać w jakimś Wiedniu (na dworze Maryi Teresy), że zaginęła genialność starej jego rasy, siła jej ekspanzyi, blask jej kultury, że nie Italia rządzi, ale ona jest rządzoną i jest rządzoną gnuśnie, po macoszemu i nikiemnie. Republikanin w wielkim starorzymskim stylu nie miał atoli zbyt wielu i przesadnych illuzyi co do pierwszych lepszych, byle tylko nowych żywiołów miejskich czy ludowych, przeczuwając, że z tych elementów w decydujących chwilach zawsze męty śmiedle wydobywają się na spienioną falę życia. Alfieri był naoczny świadkiem rewolucyi paryskiej i widział herosów kanalii tuż tuż przy ich warsztacie terrorystycznym, miał czas i sposobność nabrać trafnego i spokojnego sądu o tych „szakalach i hyjenach w ludzkich kostyumach“, wprowadzających „nowy ład“ z pomocą gilotyny, rostrzeliwań, iluminacyi i wszelkich barbarzyńskich rozuzdań bestyi z człowieka. Ale instynktowna nieufność względem rewolucyi, jako do krótkich aktów zemsty za znowu zapadające całe decennie robaczego poddaństwa i pieskiej pokory, bynajmniej nie tknęły w Alfierim wiary i nadziei w ducha wiecznego rewolucjonistę, w ideał rewolucyjny, regeneracyjny, w burzę dziejową, po których owe pogody nastają; bynajmniej nie osłabiły jego jedynej pożerającej, wszystko jednoczącej, wszystko spalającej namiętności, t. j. nienawiści do tyranów. Tą namiętnością ogarnięty rozpoczął wróg królów swoją wielką kampanię dramatyczną. Z dusznego, zfrancuziałego, a więc antypatycznego mu Piemontu raz na zawsze przeniósł się do Florencyi, gdzie inna metoda cenzury, pętającej zresztą całe Włochy na różne tylko



sposoby, tu gwarantowała mu szerszy oddech i giest wolniejszy. Pod skrzydłami kochanki już do końca życia jedynej: hrabiny Albany, Muzy swojej tragicznej, a rozwiedzionej żony ohydneho pijaka i brutala Karola Edwarda, ostatniego odpadku zdegenerowanej rodziny Stuartów, rzucał tu hrabia Alfieri na papier kolejno cały szereg tragicznych kompozycji, zwartych, logicznych, misternie urytmionych, w stylu swym zdecydowanych i konsekwentnych..., niegdyś żywych, życie, entuzjazm, orkany aplauzów budzących, dziś żółtych, oschłych, mocno nudnych, nie czytelnych i jak perły z zatrutą blasku umarłych, niegdyś bezcennych, dziś jeno archiwalnych.

Pisał dziewiętnaście swych tragedyi Alfieri, jak sam wyznaje „w atakach gorączkowej i fantastycznej żądzy wolności“, gdy

„due fere donne, auzi due furie atroci  
tor non mi posso ah misero! dal fianco  
Ira e Melancolia.“

Od pierwszych z nich, które jeszcze „plutarchizando“ były konstruowane aż do ostatnich, wszystkie mogły nosić tą dedykację, którą ma tylko ostatni *Bruto Secondo* (z. r. 1787), t. j. „al popolo Italiano futuro“. Wszystkie mają wspólną, finalną ideę, do której drogą patetycznych tyrad i górnolotnych eksklamacyi dążą. Tą ideą jest przelanie z duszy twórcy w dusze jego narodu tego nieposkromionego głodu wolności, który go przetrawiał, przepalał i wyniszczał, tego *głodu* niepodległości, który jest bratniem i nieodłącznem uczuciem przyrodzonego pragnienia panowania, mądrego, pięknego, dobrego, owocnego, ale panowania.

## II.

Syna narodu na dziewięć zaborów rozkawałkowanego, w niedoli małych i maleńkich despotyzmów ledwie wegetującego, gorączkował i jątrzył tylko jeden jedyny problem władzy i władztwa. Cały swój talent zwolna rozrastający się, jak to Włosi zresztą przesadzali, do Eschylesowskich nadmiarów hartował, szlifował i ostrzył Alfieri do ciętości damasceńskiej stali,

z którą wystąpił do pojedynku śmiertelnego z tyranią. Traktat „della Tirande“ i drugi „del Principe et delle Lettere“, oba erupcyje wcale abstrakcyjnego i kawalerskiego rezonowania były niejako rękawicami, rzuconemi przez nobile z dziada pradziada przybłedom absolutnego regimu. I odtąd już nie spoczął ni razu na rzucanych mu raz po raz laurach wdzięcznych a budzących się z zadrzemanja wiekowego Włochów. — Olbrzymiością, muskularnością i prepotencyą figur tragicznych, które im kolejno wysuwał na scenę swych surowych tragedyi, odsłaniał współczesnikom charłactwo, marność i hańbę ich niewolniczej egzystencji; przepych, bogactwa, dumę świetną i oświatę i swawolę niekarną wielkich praszczurów antytezował w świetle scenicznych ogarków ich nędzocie, ciemnocie, karnemu służalstwu a bezbronności. — Aby „zjadaczy chleba“ przerobić nie w aniołów bynajmniej, a w śmiałych bojowników o wolność, choćby w szatanów korygujących śmiało i mężko polityczne błędy gospodarki niebieskiej, dał republikański tragik Alfieri szereg wizerunków starorzymskiej niedościgłej cnoty obywatelskiej, jako modeli najidealniejszej moralnej tężyzny i piękna. — I oto na scenie włoskiej całkiem fendalizowanej i do absolutyzmu przykrojonej, więc pełnej nówek baletniczych i operowymi szyskami tenorów rozbrzmiewającej, zaczęły pojawiać się wielkie symbole tragizmu ogólnoludzkiego: Antygona, Ottavia, Orestes, Polinice, Sofonisbe, Merope, Virginia i przemawiać do tłumu może napuszonym, ale w one czasy najwierutniej poetycznym, górnolotnym, rozplamieniałym językiem. — Pojawia się tyran decemvir Appiusz Klaudjusz, Cezar jako mąż pięści żelaznej obok Brutusa, mocnego anioła wolności, dalej Tyberyusz Hiszpanii Filip II, harpia inkwizycyjna, Medyceusze jako dynastia zbrodniarzy, Agamemnon, wraży jak Herod; wreszcie Saulowi, obłędnemu i posępnemu władcy, przeciwstawiany jest twardy jak głaz arcykapłan Achimelech, prototyp wszechwładnej hierarchii kościelnej (dramat ten... Papieżowi Piusowi dedykowany)... Piemontczyka Alfieriego tragedye o tyranach przedostają się z jednego partykularza w drugi, z Genui do Wenecyi, z Sycylii do Lombardyi, jego sztyletowe epigramy o depresji są na ustach wszystkich, tkniętych urokiem poetyckiego słowa. Wyjęte



z radomontady Saula słynne Seggio è di sangue d'empietade il trona mają w sobie coś z płomienia Marsyljanki, a coś, co sen spędzi z powiek Burgu i Watykanu...

Teatr Alfieriego z roku na rok bardziej znany, do najzwyklejszych zakątków włoskich już docierający jest jednym z najpryncypalniejszych faktorów w budzeniu świadomości narodowej Włochów. Ognista gwałtowność jego twórcy przebija się i działa widocznie z tych dziś tak dla nas suchych, sztywnych i zimnych dyalogów i z tych soliterowych monologów. Osobista całkiem nienawiść piemonckiego szlacheica do tyranów przelewa się z jego Wolteryńskich tragedii w dusze społecznych, rodzi jakieś jeszcze niezdefiniowane tęsknoty do nowego risorgimento, do łączności wszystkich ze wszystkimi, do takiego możnego bytu państwowego, jakiego blask bije z tragedii czy Virginii czy Brutusa, do wielkich gestów i wielkich zwycięstw, do życia publicznego, agonialnego, politycznego, z którego wychodzą i Cezary co prawda, ale i Cezarów pogromcy. W czas słuchania „Tymoleona“ czy „Agida“, na przedstawieniach „Maryi Stuardy“ czy „La congiura de Pazzi“, rodzą się pierwsze prąbłyki marzeń irydydentyznych o strąceniu i przepędzeniu precz tyranów, o Italia unita, o zniesieniu baryer i granic między tymi, co wszyscy jednym językiem mówią, jedną mowę poety, płynącą ze sceny rozumieją i, gdzie ostrze sztyletu Don Garcyi czy Brutusa wymierzonym ma być, dobrze wszyscy odczuwają. — Ten sam to bowiem poeta piemoncki mówi tu ustami Virginii czy Alcesty, co wyśpiewał hymn szumnosłowy o l'America liberata, a o Bastylii zburzonej ode, ten sam w każdym akcie każdego dramatu „tyranizuje tyranów“ greckich, biblijnych czy legendarnych, ten sam też grzmiał peany żarzące o miłości Ojczyzny ale mocnej, mężko cnotliwej i władnej a nie rozdrapanej, spokorniałej, cierpliwej i skomlającej o litości z ręki pasorzytnego tyraństwa.

Styl swój dramatyczny wyrobił sobie Alfieri sam, odrębnie, z uporem, ale organicznie i w związku ścisłym z ideowymi celami, jakie przedsię wystawił. Chęć działać na społeczność swą jakby magnetycznie, chcąc przeobrażać swą twórczością trzody potulnych i zrezygnowanych w naród zbuntowanych i zwyciężających, wytworzył dla swego genus tragicznego dykcyę

ostrą, mężką, szorstką, pozornie sztywną. — Troskę o klasyczne „jedności“ doprowadził do tych granic pedanteryi, że w coraz krótsze działających osób listy nie dopuszczał pod żadnym pozorem figur w konflikcie nie aktywnych bezpośrednio, czyli „widzów na scenie“, przez co zyskiwał czystość rysunku, ale (jak np. w Tymoleonie, gdzie tylko 4 osoby występują) przepadała z krete sem barwa, gra światła psychologicznych i powab zmienności i różnorodności; brakowało koniecznego fizyologicznie wytechnienia w napięciu. — Również całkiem obce i wzgardzone było jego abstrakcyjnie górnemu pojęciu tragicznego piękna zapuszczanie się w epizodyczności i w małe rysy, poboczne, malownicze, światłocieniowe, a które dopiero z szematów i formułek ideowych kształtują indywidualne twory ludzkie z pierza i mięsa. Starając się jeno czujnie o pognębienie przy każdej sposobności człowieka typu tyranów i tyraństwa, dyskutując na każdym kroku z ideą władztwa, nie dążył Alfieri do używotnienia figur swojego teatru, a tylko stale do dyskredytowania tyranii i do rozkrzewiania w duszy włoskiego narodu hartownej, trwałej i z czasem skutecznej nienawiści do tyranów; ciało i krew mieli szematom tragicznym dawać już wyłącznie aktorzy. W tym też zapędzie, w górnym znaczeniu wszecheducacyjnem, doprowadziwszy mężkość wysłowienia do najkonieczniejszej lakoniczności i lapidarności, aby zapobiedz jeszcze osłabiającemu rozprasaniu uczuciowemu, wyrzekał się absolutnie wszelkiego liryzmu, tkliwości, wdzięku, jakiegokolwiek łagodności, choćby nawet pewnej pogody w barwach dusznych, stosując już do tego tonu i swe wysłowienie dramatyczne z umiłowanemi wyrażeniami twardemi, dawnemi, dantejsko brutalnemi, z unikaniem stanowczych słów gładszych, słodszych, melodyjniejszych, kobiecych. Na wszystkich tych jednostronnych warunkowaniach i formułach zyskiwał dostojny w podniosłości swej styl tragiczny Alfieriego, ale zacieśniał się stanowczo widnokrąg twórcy. Z wyeliminowaniem tytu pierwiastków piękna, z tylu tomów oniemienia nikła i przepadała jedynie nieśmiertelność twórcza: pełnia uczuć i idei. — Coraz szersze warstwy zyskiwały samowiedzę narodową, coraz większe kręgi upajając się starorzyską cnotą nad etyką silnych rozmyślały, całe pokolenie nadchodzące uświadamiało sobie



hańbę Włoch porozdzielanych; głód wolności ogarniał wszystkich, co tylko dwa wiersze piemonckiego hrabiego raz deklamowane zasłyszeli, ale artyzm, pełny wieczysty czar artyzmu Alfieriego na tem wszystkim tracił. Poeta nie dochodził do czystej harmonii twórczej, tragedyom jego zawsze zbywa na finalnem uczuciu pojednania, które, ponad gruzami katastrofy najstraszliwszej unosi się jako gwiazda oświecająca pełną żałoby miejsca, ciche pociechy zasylająca. Przykro to wyznać, ale trzeba, że z całego teatru Alfieriego dziś, kiedy dzieła jego współczesnych i wcześniejszych, Sheridan, czy Szyllera, Goethego czy Goldoniego, choćby Marivaux jeszcze żyją, mają rumieniec krwi i puls normalny, z jego całej twórczości tragicznej ani jedno nie zostało się przy dosłowniej nieśmiertelnej nieśmiertelności... oprócz może tej jednej lekceważonej przezeń „Mirry“ (w tłum. polskim wyszłej u Ungra 1856), tragedyi dziewczyny opętanej demonicznie miłosnym szaleństwem do własnego ojca, króla Cypru, Cinira, dobrego tyrana, jednej jasnej postaci władcy w całej długiej galerii portretów tyranów. — Ta jedna „Mirra“, dzięki kreacyi Ristori, a drugi „Saul“, dzięki wielkim tragikom włoskim Modenie, Rossiemu, Solviniemu, przetrwały w repertuarze aż do najpóźniejszych czasów; reszta okryta szarym pyłem bibliotek, leży zagrzebana nietykana, szanowana niestety jak relikwie!

### III.

Carducci nazwał Alfieriego najnarodowszym z pisarzy włoskich po Dante Alighierim; ale nie dla jego tragedyi tylko a głównie dla jego „satyr i małych poezyi“, do których sam Jozue napisał strzelistą przedmowę. I w istocie najbardziej włoską, specyficznie narodową jest ta nuta w twórczości piemonckiego patryoty, w ostatnich latach życia donośna, ale najgłośniejsza dopiero po r. 1803, po śmierci Alfieriego, kiedy wydano zbiór tych satyr a zarazem i słynny „Misogallo“, tj. 17 obelżywych i pełnych furi niespętanej wierszy przeciw duszy francuskiej wymierzonych. Satyryczną taktykę Alfieriego nazywa Cereseto w swej „Hist. Lit. Włosk.“, w przeciwstawieniu do ironii Pariniego, wprost: *inwektywą*, i to słusznie. Zbyswszy

się przesądów i wszystkich sympatyj ze swą sferą, tj. kastą seniorów, noblessy podpierającej system rządów zaborczych, uderza Alfieri z niepohamowaną bezprzykładną złością na wszystko i wszystkich. W rymowanych tercynach, według dawnych średniowiecznych wzorów rzuca się z maczugą inwektu gromiących i tratuujących na królów, szlachtę, księży, uczonych, jurystów, kupców, żołnierzy. Wściekłości jego sarkazmu nie spętać nie zdoła. Przekonawszy się, że tylko żarzącem żelazem wstrząsnąć da na przegierz wywleczonych niewolników, w absolutnej nienawiści do wszystkiego i wszystkich przeklina czasy, stany, zawody, wyszydza nędzę, kopie pokorę, ośmiesza bogactwo, zawodzi w jękach bezsily, pieni się i plwa w goryczy wyuzdanej, jakiej równej niemasz w literaturze, plwa językiem ciężkim, bezdźwięcznym, bez ulgi, bez wytchnienia, bez nadziei, w opętaniu tkniętego szaleństwem gniewu radykalnego fantasty. Jego komedye polityczne w typie Arystofanesa są bezstonecznie tragicznymi, poronionymi płodami ponurej hypochondryi „urodzonego republikańsina“, który ironią losów musi żyć w epoce całkiem spokojnych rządów tępo głupich, beztroskich a pewnych siebie królów absolutyzmu, miniatur starych despocy. Ale prawdziwe dopiero Alfierowskie wezbranie żółci streszcza się i wybucha w Mizogallu. Jest to pośmiertna pomsta jakby z duszy zawiedzionego kochanka wyrwana. Ta gorejącej pasyi pełna, grzmiąca inwektywa na Francję, to owoce zawodu, jaki obraz rewolucyi francuskiej sprawił tym wszystkim, którzy wierzyli w przyszły kiedyś ale absolutny upadek absolutyzmu, w nadejście jakiejś utopijnie doskonałej epoki złotej. Alfieri był świadkiem wybuchu rewolucyi w Paryżu, świadkiem wszystkich orgii demagogicznych, widział, jak z rynsztoków Paryża wylaża na widownię „mówcy wolnościowi“, „leaderzy wiecowi“, „literaci rewolucyjni“, „natchnieni duchem Bożym rzeźnicy“, szczekacze idej i zawodowi skrytobójcy, mordujący tylko w czas terroru w imię „ludu“. I ten Włoch, co całe życie gromił i piętnował tyraństwo, oglądał teraz ulubieńca swego, wybrany lud swój, zostawiony samemu sobie „przy robocie“, przy instalowaniu „nowego ładu“. I ledwie żywcem ocalał „młot na królów“ z hrabiną Albany z pazurów i kłów rozbestwionej, spuszczonej



ze smyczy sfory „patronów ludu“. I jak na wielu, wielu entuzjastów wolności, a trafem świadków „czerwonych kąpieli wolnościowych“, podzielała i na Alfieriego „małpia tygrysiość“ rewolucyi wstrząsająco, odstręczająco. A że od dziecka już natura francuska wzbudzała w nim instyktownie tylko „złość i śmiech“, że przeklinał Francję już, kiedy mu jako młodemu hrabiczowi kazano uczyć się „śmiesznego i wstrętnego“ menueta, że kilka razy widział żołdactwo francuskie, wpadające do jego rodzinnego Asti, że w młodzieńczym wieku wyrzwał o ziemię chorobliwie afektowną Heloizą, gdy mu ją dano jako najwyższy produkt miłosnego, humanitarnie tkliwego ducha Gallów, więc z czasem wyrobiła się w nim nieprzeparta wzgarda do Francyi i wszystkiego co francuskie, coraz mocniejsza w miarę jak poważniał i etycznie klarował się jego pogląd na świat i życie, wzgarda do uroczej lekkości, blagi, trzpiotowości francuskiej wzgarda do krzykliwego, wiecznie jurnego, kłótliwego i pstrego Chanteclera galijskiego. Gallofobia ta spotęgowała się jeszcze na terenie angielskim, gdy Alfieri porównał ze sobą stateczną, mężką i pańską doktrynę wolności Wielkich Brytanów, a przesadną, skrajną, kobiecą, rodzącą bezład gloryfikację wolności u Francuzików. Dnie terroru przeżyte dopełniły miary antypatii Ten, co na zdobycie Bastylji jeszcze odę grzmiał trombitową, w lat kilka potem rzucił Maryannie paryskiej w twarz grad obelg i inwektyw, impertynencji wprost fanatycznych. I ten sam już, u schyłku życia przyjmując u siebie we Florencyi gościnnie naszego Adama Czartoryskiego (w r. 1798), wprasza-  
jącym się zwyczajkim generałom francuskiego konsulatu odmówił gościny i ręki nawet podania. Menuet był mu równie wstrętny jak oschła, zimna, metodyczna kantylena słodkiego wiersza francuskiego, wrzaski fraternizującego się mobu paryskiego równie obrzydłe jak rozdywana gaskońska gloria i brzęk szabelki po bruku majestatycznej patrycyuszowskiej Firenzy. Paryż, okrzykujący kokotkę boginią rozumu, a przyklaskujący egzekucyom szafotowym, stał mu się do pewnego stopnia synonimem jego złej młodości, w której „unikał jak ognia kobiet cnotliwych“, a rywali miłosnych „z zimną krwią i śmiechem słał końcem szpadki na drugi świat“. I dlatego w Mizogallu psycholog

wyczuć może nie tylko furę rozczarowanego do Francyi wroga despocy, nie tylko złość tragedjopisarza do „narodu wodewilistów“, nie tylko niechęć patetycznego patryoty do kultury, gracyi, grymasu, kankanu i farsowej filozofii życia, ale także rozprawienie się i odprawę, jaką Alfieri mąż obywatel daje „byłemu Alfieremu“, młodzieńczemu „z francuzka“ lekkoduchowi i roze-  
gzionemu żrebięciu.

Spoczął twórca „Saula“ w kościele Santa Croce między Macchiavellem a Dantem, na co irytuje się zbyt silnie Merimée, jako na zaszczyt niczem u tego „retoryka“ nie zasłużony. Piękny pomnik dłuta Canovy postawiła mu jego dobra wieszczka, towarzysza i opiekunka, piękna hrabina Albany.

Imponuje Alfieri bezwzględnie dziś już tylko jako wzór skupionej i sprzężonej woli; umiał w 46 roku życia nocami uczyć się greczyzny, aby Eurypidesa czytać w oryginale, umiał sześć razy wersyfikować swego „Filipa“, zanim ostatnia jego redakcyja dała mu zadowolenie artystyczne, umiał złamać w sobie naturę arystokratycznego nieponia *ancien regimu* a przekształcić się do gruntu w twórczego i czynnego członka swej nieszczęsnej społeczności. Nie wyparł się swej posępności, nie pozwalał rozrość się w sobie statycznie w nim istniejącej *vis comica* i nie dawał rzeczy wesołych, jak tego domagano się od jego tyle śmiechu obiecującego satyrycznego impetu, gdyż na dary uśmiechniętej i szczęśliwej Muzy Talii nie zasłużyła sobie nie *unita Italia*. Aczkolwiek instynktem urodzonego poety wiedziony umiał szczęśliwie oddzielić wszystkie elementa swego satyrycznego gniewu w odrębną twórczość i chociaż z zazdrości godną stałością nie wmieszał nic tych rozsadzających i zanieczyszczających atmosferę tragicznych żywiołów, literaturze wszechświatowej nie dostało się do rąk Alfieriego dzieło skończenie uniwersalne o absolutnych walorach Piękna, gdyż w sercu jego nie było majestatycznego spokoju wielkich duchów, w charakterze zawiele gliny ziemskich namiętności, a w całej indywidualności jakaś skaza, jak pęknięcie w dźwięcznym dzwonie, które nawet, jemu samemu nie tajne, wywoływało na usta cierpkie wątpliwości: „człowieku, czyś ty wielki, czy pospolity?“, „raz się mam za Achilla, a raz za Tersyta“...



Kto wie, czy tym dysonansem w psychicznej kompozycji poety, nie pozwalającym mu w głębi duszy uważać się stanowczo za urodzonego do korony wielkich twórców a tylko za wiecznego pretendenta, nie było to, że *więcej jeszcze nienawidził tyranii*, niż kochał *wolność* i że wogóle, wogóle zawiele znienawidził, a za mało ukochał...

G O C K O W S K Y



Motto: „Stoimy u Polski granic,  
A mamy obecność za nic“.  
Wyspiański.

**W** rzędzie dwunastu najpopularniejszych postaci z historii coraz już bliższego i wskroś nas przenikającego sąsiada pruskiego, w rzędzie tych figur, o których uczy się z małych książeczek każde dziecko prusackie, obok Wilhelma I, Loizy, W. Kurfirsta, Blüchera, Bismarcka, Moltkego, Wrangla, ósme już miejsce z rzędu w taniej „Vaterländische Unterhaltungs-Bibliothek“ (Breslau, Max Woywod), zajmuje człowiek o nazwisku polskim: Jan Ernest Gotzkowsky, nazwany tu „największym patryotą Berlina“. To samo nazwisko zaciekawiające widzi się w Berlinie na tramwajach, które, jak się okazuje, suną przez Lipską w stronę ulicy i placu imienia Gotzkowskiego. To samo dalej nazwisko słyszy się jeszcze u rozmaitych kolekcjonistów porcelany, wymawiane z uroczystą powagą w chwili, gdy otwierają najrarityniejszą szafkę z białymi, przeważnie niemalowanymi figurkami i serwisami. To samo wreszcie nazwisko uderza raz jeszcze w katalogach Petersburskiego Ermitażu czy to M. Waagena (r. 1873) czy to A. Somofa (r. 1901), w których, przy przeważnie najlepszych obrazach szkoły niderlandzkiej, a jeneralnie przy pierwszej klasy Rembrandtach, drobnymi literkami naznaczono: Collection Gotzkowsky.

Oczywiście zaciekawienie, kto zacz wzrasta coraz więcej, jeżeli jeszcze przypomni się sobie, że w Księstwie Poznańskim istnieje rodzina tego nazwiska rdzennie polska. Objaśnić cokolwiek nikt nie umie: ani politycy, ani dziennikarze, ani polacy w Berlinie, ani żaden poseł, ani jeden historyk. Co to kogo może obchodzić? Ktoś tam coś zasłyszał, że to był kupiec. Poetą w każdym razie ten człowiek nie był, bo przecież cośby się o nim wiedziało. A jeżeli nie był ani wieszczem, ani wierszem



lub sztuką nie zdobył nieśmiertelności, to niema poprostu o czem mówić. My jesteśmy i chcemy być nadal narodem par excellence poetycznym. Nazwisko sławne tam jakiegoś merkantylisty nie zafrapowało ani razu nawet tych najrealniejszych, najwytrzeźwiejszych z nas, to jest poddanych pruskich. Również innych gości polskich Ermitażu, nie zaintrygował ten dawny poprzedni o polskim nazwisku posiadacz Steena, J. Merisa, Terborcha, Dovego, Wouwermana, van Teuna, Holbeina, Bloema, a wreszcie trzech Rembrandtów: „La femme de Putifar“ (794), „Niewierny Tomasz“ (861), „Turka“ (813)... Ech, bo i co tam znowu takiego kolekcjonista! Artystą w każdym razie nie był, bo coś gdzieś jużby o nim pisano. A jeżeli nie był artystą, to nie może być interesującym, wedle swojego kąta widzenia. My jesteśmy nadal narodem o największym procencie paplających o artyzmie. Tracimy z dnia na dzień materyalne i poziome Królestwo Polskie, ale zyskujemy za to królestwo niebieskiego ptaka poezji.

Jan Ernest Gockowski, fundator trzech wielkich gałęzi przemysłu pruskiego: złotniczego, jedwabniczego i porcelanowego, jedna z najgenjalszych głów finansowych w Europie 18-go wieku, organizator kapitalistyczny w szerokim stylu, ekonomista czystej krwi, poprzednik Bleichröderów i Mendelsohnów, był z pochodzenia polakiem. Urodził się w małej, brudnej miejscinie kaszubskiej, Chojnicach, w województwie malborskiem. Kiedy w roku zeszłym, w tem dziś ładnem, schludnem i kulturalnem miasteczku, zwącem się Konitz, jedną z ulic nazwano jego imieniem, wiele przeznacznych głów miasta nie miało dokładniejszego pojęcia, czem zasłużył sobie na ten zaszczyt „pierwszy patryjota Berlina“. Dopiero redaktor Konitzer Tageblattu, p. Schmolke, objaśnił zebranych, jak wielką rolę w ukształtowaniu się państwa pruskiego odegrał ten polski szlachcic herbu Prawdzic, z rodziny piszącej się „z Goćkowy“, z Lutomskimi kilka razy spokrewnionej, a którego imiennicy siedzieli w Płockiem, w Żalach.

Według przypuszczeń, Jan Ernest był prawdopodobnie jednym z 6-ciu synów Wojciecha, ożenionego z Nałęczówną, a wnukiem Józefa Gockowskiego, burgrabiego z Keyni. Urodził się w roku 1710. Rodzice w czasach wojennych utra-

cili wszystkie majątności, a w r. 1715 zaraza zabrała nadto ich samych z tego świata. Przed biednym sierotą otwierała się smętna perspektywa. Ulitowali się niedoli chłopca krewniacy, mieszkający w Dreźnie, wzięli go, jak i starszego brata do siebie i tu zajęli się jego edukacją. Chłopczyzna staropolskim obyczajem w 14-tym roku życia nie umiał jeszcze ani czytać, ani pisać. W Dreźnie dopiero pojął te kunszty, ale już po niemiecku. I tu, przykładem starszego brata, wstąpił na praktykę handlową do galanterji. Oczywiście gdyby był z ojczyzny nie wyjechał, genjusz jego kapitalistyczny rozwinąłby się nie mógł, gdyż handlem szlachcicowi „szkaradzić“ się nie wolno było. Nadto skutkiem ustaw z r. 1496, a potem 1565 r., rozwój miast w Polsce zahamowany był w sposób energiczny i skuteczny. Handel i przemysł zrzucono na szkół, żydów, ormian, włochoń, niemców i t. p. „tałatajstwo“.

Rozmnożona jak mszyce drobna szlachta, chadzała obdarto i niechlujno, ale na sznurku wisiał kord, cordium, a łokcia i wagi nie imalby się ani chodaczek, ani szaraczek: rzekomo dla nieufności do mieszczaństwa z żywiołów niemieckich pochodzącego. Istotnie zaś dlatego, że tak tabliczka mnożenia, jak rachunek procentowy, jak wszelkie wogóle spekulacje, z niesłychaną trudnością wchodziły w głowę „pana brata“. Na tle Polski 18 wieku dla pozytywnie twórczych ludzi mało było jeszcze rezonansu. Silne, organizacyjne talenty, typu commandingman, padały zawsze ofiarą biernych, cherlacznych, tchórzliwych, apseudo-rycerskich środowisk. Zresztą miła ta, skroś rodzima, średniowieczna atmosfera trwa w rozkwicie i dalej. I dzisiaj jeden poeta twierdzi, że Polska to jest „dostojny miraż“ albo „cosik w chmurach“, drugi, że Polska nadal leży „tylko na wsi“, miasta zaś, to teren obojętny, négligeable, a ludzie dorośli zdania te biorą pod rozwagę i nad nimi serjo dyskutują.

Jan Gockowski wespół z bratem założyli w Berlinie z szczęśliwemi rezultatami wielki sklep galanteryjny. Dzięki zaznajomieniu się Jana (jeżdżącego po Niemczech w charakterze komiwojażera) z następcą tronu, powodzenie szybko wzrastało.



Fryderyk, kupując od niego w Rheinsbergu stale biżuterję i poznawszy osobiście jego obrotność i energję, upatrzył go sobie jako tego, który za impulsem królewskim powoła do życia nie egzystujący jeszcze w Prusach przemysł. Nie zraził się jego polskim pochodzeniem, ale odkrywając w nim przyrodzony instynkt przedsiębiorcy, niezwykłą żywotność kalkulacyjnej myśli, postanowił te dary kupca berlińskiego wyzyskać. I wyzyskał. W 1743 roku zakłada Gockowski pierwszą na wielką skalę fabrykę genuńskiego atlasu, ożeniwszy się z córką jednego z pierwszych kupców tej branży. W r. 1753 na polecenie już króla Fryderyka obejmuje Gockowski w sprężyste dłonie swe kierownictwo dwóch królewskich, świeżo postawionych, ale minjaturowych fabryczek jedwabiu, z kapitałem 500 000 talarów rozszerza je, liczbę robotników zwiększa do 1500. I już eksport jedwabiu tego przynosi do 100 tysięcy talarów rocznie i idzie na Rosję, głównie na Polskę. W jedwab berliński pruskiego przedsiębiorcy Gockowskiego ubiera się Polska Sasów i St. Augusta. Jeżeli zaś kto w byleż ojczyźnie Gockowskiego w tym czasie zakłada fabryki czy browary, z angielska je zowiąc: brevery, szlachta z sąsiedztwa wysmiewa wyprawiającego brewerję Tyzenhausa, Prota Potockiego, czy też Girarda lub Schielego z taką samą bezmyślnością, z jaką w 16-tym wieku córki szkockich merchants w Krakowie pogardliwie zwano merchami, identyfikując je z dziewczętami publicznego procederu. Dziś za te winy ojców pokutują ciężko prawnuki. Za przerwanie tego jedynie w Polsce rzetelnego heroizmu z owych czasów, heroizmu pracy społecznej, brewerjami, cierpimy my dzisiaj. Wszystko się mści.

Ale dopiero w czas wojen Fryderyka II rozwija skrzydła genjusz inicjatywy produkcyjnej u Chojnickiego ex-szlachcica. Pierwszy już między przedsiębiorcami Berlina, łamiący swą gorącą energją lody kompletnej obojętności współobywateli dla wyrobów krajowych, działa swym przykładem Gockowski tak twórczo i potężnie, że w r. 1782 liczy już Berlin 56 manufaktur jedwabiu i atlasu, a 40 fabryk wstążek jedwabnych. Ale jak powiadamy, dopiero w czasie wojen zwyciężkich Fryderyka, rozwija człowiek z Chojnic sprawność swoją finansową

do niebywalej potęgi. Ten, co w czasie pokoju wszystkie angielskie pomysły techniczne przenosił jeden po drugim na grunt berliński i małą skromną stolicę biednego królestwa zwolna zmienia na Manchester i Birmingham, ten sprężysty i nieodpychający ani myśliciel ekonomiczny i najpotężniejszy wówczas pionier gospodarczy, stworzywszy (jak piszą badacze) podstawę materialną, na której oparł się system państwowy Prus, wziął teraz w swoje ręce nowoczesną formę pożyczek państwowych przez powołanie do życia giełdy berlińskiej i organizację dostaw dla armii.

Ten sam człowiek, którego gustowi artystycznemu Fryderyk powierza z absolutną ufnością wybór i zakup za 100 000 dukatów obrazów dla „Sanssouci“, ten sam „znawca sztuki“ i fundator podstaw galerji berlińskiej i Petersburskiego Ermitażu, ten sam, dzięki handlowym i zażyłym stosunkom z rosyjanami, uwalnia Berlin dwukrotnie od ciężarów olbrzymiej kontrybucji, wyprasza redaktora „Vossische Zeitung“, 68-letniego Krausego od plagi 100 różg (oznaczonej przez zdobywcę Berlina, rosyjskiego jenerała Tottlebena), poczem znów bierze na siebie finansowanie kontrybucji, jaką Lipsk musi płacić Fryderykowi, prowadzi interesy całej grupy finansistów, zyskuje sobie najwyższą sympatję króla polskiego, nadającego mu tytuł tajnego radcy komercyjnego, a jednocześnie absolutne uznanie, szacunek i admirację u swego króla Fryderyka II. Píše ten często i chlubnie o nim w listach do markiza d'Argens.

W liście z dnia 28-go listopada 1762 r. obsypuje go wprost pochwałami, przyrównywając tylko do „obywatelów starego Rzymu“. I w istocie, rachmistrz ten, pozytywista i realista Gockowski rozwija w czasach wojennych niezmiernie gorliwą obywatelską działalność filantropijną. Kiedy czasy wojenne przechodzą, Gockowski z namowy króla zakłada pierwszą na wielką skalę fabrykę saskiej porcelany w Berlinie na Leipziger-Strasse Nr. 4. Od saskich przyjaciół dostaje wszystkie tajemnice i arkana wyrobu, sztab techniczny organizuje z saskich mistrzów malarzkich i rzeźbiarskich, od 150 robotników zaczyna, z czasem rozszerza wszystko, zwolna ale systematycznie zbliża się do pierwowzorów niemieckich. Fi-



gurki porcelanowe Gockowskiego przeważnie jeszcze dość prymitywne z mieszaniny kaolinu z feldspatem, nie mogą się równać z figurkami frankenthalskimi czy z Chambrelanami malowanymi, czy z cackami z Bueno Retiro lub du Pagnier, atoli jako jedne z najstarszych w Europie, prototypy dzisiejszych arcydzieł kopenhaskich, są ozdobą kolekcji Fejsta, zbiorów prof. Darmstaedtera w Berlinie, Dallwitzów, Rothschildów paryskich. W Berlińskim Kunstgewerbe-Muzeum znajduje się porcelana Gockowskiego w sali Nr. 31, pierwsze piętro, szafa Nr. 260.

Stosunek Fryderyka II do starzejącego się już nieco, potykającego się w spekulacjach Gockowskiego, z czasem chłodnieje. Król pruski wyzyskiwał jego wielkie talenty (tak rzadkie jeszcze w owych czasach), co się zowie; wreszcie uwikłanego w całą siatkę zaplątanych, a sprzecznych sobie gründerstw, w krytycznej chwili wypiera się i z kwitkiem go puszcza. Gockowski dwa razy traci swój majątek, znów odzyskuje, wypływa, znów ryzykuje, zaplątuje się w interesy z rządem rosyjskim, odstąpić musi Rosji, jako odszkodowanie, całą swą kolekcję obrazów. Ci, których on postawił na nogi, w krytycznej chwili jemu podstawiają nogi. Wreszcie po raz ostatni traci wszystko i osiada, życiem przemęczony, na łasce syna. Ten, co według najpoważniejszych źródeł naukowych postawił podwaliny dziś wysysającego nas przemysłu pruskiego, pierwszy *civis berlinensis* Gockowski, sam umarłomal w biedzie... Dopiero w r. 1865 przypomniał sobie o Gockowskim rząd pruski i w przystępie wielkoduszności wdowie po wnuku Jana Ernesta wyznaczył dożywotnią pensję w kwocie... 200 talarów rocznie.

Wszystko to zapewne wydaje się wam jakąś bajką; przykrą, przesadzoną, nieprawdopodobną, niemożliwą bajką...

Szlachcie polski organizatorem kapitalistycznym, odkrywcą bogactw społecznych, twórcą giełdy berlińskiej, proojcem i patronem tych wszystkich, co z nas, jak pajak z muchy dobijanej, wysysają dziś ostatnie soki? A gdzież dogmat stary o polskiej niezaradności ekonomicznej, gdzież nasz patentowany przez kilkunastu wieszczów przywilej na naród idealistów, na Par-

jasów, ale „świętych“, ale mesjasza „zgniłej Europie“ przynoszących?

Gdzież wreszcie lube marzenie, że Polska z wczorajszej szlacheckiej jednej nocy przeobrazi się jak motyl znowu w poczwarę ludową, robotniczą i szlachecką, bez obowiązującej resztę globu ewolucyjnej fazy mieszczańskiej, przemysłowej i liberalnej? Otóż nie. Gockowski nie jest bajką. On jest symptomem, problemem i wyjątkiem w regule ogólnego niedołęztwa, fenomenem, którym rychło zająć się winni poważni pracownicy nauki: pp. St. Kutrzeba, St. Kempner, Bujak, Bużek, Szelański, Ptasnik... Przypadkiem udało się literatowi natrafić na linię śladów w jego potężnej dla obcych niestety twórczości. Osobisty „Pamiętnik“ Gockowskiego, wydany w r. 1768, natychmiast skonfiskowano z powodu dość szczegółowego zdemaskowania sprawy osławionych fałszerzy monet, Ephraima i Itziga „müncejudów“ i z powodu lekkich wycieczek w stronę rządu i Fryderyka, którego machinacje monetarne finalnie Gockowskiego pchnęły do ruiny. Wydany po raz drugi w r. 1789 w Augsburgu, znów był ten „Pamiętnik“ ściągany i konfiskowany. Jeden z egzemplarzy ocalałych udało mi się po czterech latach poszukiwania odnaleźć. Dziś złożony w bibliotece ordynacji hr. Krasieńskich tam oglądać można. Prosta, szczerza spowiedź z całego życia tego doskonałego typu rodzącej się świeżo wówczas burżuazji zachodnio-europejskiej, sprawia na czytelniku niezapomniane wrażenie. Okazuje się, że nawet na piaskach bytu polskiego rodzą się pozytywnie genialni ludzie. Autobiografia polskiego Prawdzica, pełna doskonałych z pierwszej ręki szczegółów historycznych, kończy się charakterystycznym okrzykiem rozżalonego do przybranych rodaków finansisty: „So lohnnet die Welt!“ Życie Gockowskiego opisywali dotychczas: Teodor Hirsch i Franc Otto. Powieść popularną, niby opartą na pamiętniku, a w gruncie rzeczy pełną kłamstw, fałszerstw i przekręcań ad usum dynastii pruskiej, skoneypował jakiś wywłoka i lizus, hakatystyczny Robert Wagner.

Należy się nam tym Gockowskim zająć gorliwie i naukowo. Takich expatryzujących się emigrantów może być wnet więcej.



o ile duchowa atmosfera ich ojczyzny pierwszej nie przekształci się. Jeżeli w latach bieżących da się młodzieży polskiej, jako wychowawców energii narodowej, takie typy jak Staszyc, Lubecki, Jezierski, Tyzenhauz, Szczepanowski, Steikeller, jeżeli o tych serjo twórczych typach zjawiają się prześliczne prace naukowe czy popularne, jeżeli młodzież odwróci nieco rozmarzone oczy od rymowanej idealizacji życia, a nauczy się strasznej prozie rzeczywistości niewolniczo patrzeć wprost w oczy, możemy być jeszcze uratowani. Przykłady tych bohaterów obowiązku i pracy, tak rzadkich u nas i tak tragicznych, pomogą konsulom społeczeństwa do definitywnego przepędzenia manji narkotyzowania się literaturą i pięknem, manji jaką nie mające nic do stracenia mentory infekcyonują bezkarnie w najinteligentniejszą, więc najwrażliwszą część młodzieży. Jeżeli nie chcemy, aby przy rychło już może zmienionej konfiguracji politycznej, wszystko co polskie nie stało się tylko Hinterlandem Prus i takim tylko rynkiem eksportu, jak Zulu-land, Weihaiwei lub Kamerun, to powstać musi, zda mi się, liga wytrzeźwionych z odurzenia się czcicieli życia, silnych i konsekwentnych ludzi, którzy podejmą się gruntownej rewizji mesjanicznych gaskonad, niewczesnych grymasów estetycznych i narowów dekadencek.

ŻYD WIECZNY TUŁACZ  
W L I T E R A T U R Z E



I.

**W**wielkich mytach ludzkości, w tych prostolinijnych dramatach elementarnych przejawów życiowych, i pierwotnych instynktów tkwi jeszcze i dla dzisiejszych ludzi wielka siła przyciągająca. Zdaje się, że doświadczenia, jakie dojrzewająca ludzkość streściła w wielkich symbolicznych figurach starego testamentu, to legend greckich, to indyjskich, czy perskich, nic nie straciły na swej żywotności i cenności. Tak samo dziś, jak dwa tysiące lat nawet temu, pewne mityczne postacie, pewne legendarne anegdoty etyczne mają zasadniczą tradycyjną popularność i stają się fundamentem, wyjściem dla nowoczesnej myśli. Legendy te dzisiaj bywają albo psychologicznie pogłębione, pokomplikowane, albo ujęte metafizycznie czy historyzoficznie, albo znowu znaturalizowane, a nawet i ztrywializowane, wogóle przekształcane i opracowywane stosownie mniej więcej do kolorytu czasów i do indywidualnego ustroju nowych formatorów.

Takie symbole pewnych stanów tragicznych, jak Prometeusz, Edyp, Hiob, Dawid, Judyta, Zarathustra, Ahryman żyją dzisiaj w tej samej nieśmiertelności i żyć będą wieki, jako pewne ustalone, skrzezione już formy niedoli, cierpienia, buntu, w które następne pokolenia składają znowu świeżą treść swoich dusz. Do takich postaci, reprezentujących w wielkich zarysach niedolę ludzką, należy i Ahasweros, żyd wieczny tułacz.

Tak Niemiec Neubauer, jak i Gaston Paris zgadzają się na to, że legenda jego nie jest wcale pochodzenia biblijnego. Niema o niej śladu ni w Apostolskich, ni w Kanonicznych Aktach, ani w apokryficznej, ani w patrologicznej literaturze.



Postacie pokrewne pod tym względem, że także skazane na wieczną wędrówkę, są już co prawda w Biblii, ale ma je wogóle każdy naród każdej strefy i różnych czasów. Wiecznie wędrować muszą i Hekate i Kain i Wodan i Karol Wielki, Latający Holender i nasz pan Twardowski, co „odtąd czmycha i czmycha“. Skryzalizowana jednakże figura żyda tułacza z pierwszym załączkiem swej anegdoty pojawia się po raz pierwszy w r. 1237 w „Flores Historiarum“ mnicha Regera z Wendower St. Albans w Anglii. Tu jeszcze Ahasveros zwie się *Cartaphilus*, jest odźwiernym Piłata, poganinem. Tyle o nim szczegółu, że to grzesznik, co Chrystusa skrzywdził, za co skazan na wieczną tułaczkę. To jest więc istotne jądro legendy, nie liczącej więcej nad osiem wieków egzystencji. Zobaczmy, co z tej notatki angielskiego mnicha rozwinęła z czasem boska fantazyja twórców, jak zapiski te pogłębiła, rozszerzyła i uskrzydliła.

Króciutką tę wiadomość przepisał czasem mistrz Matthaeus Parisensis do swojej „Kroniki świata“. Już w piętnastym wieku w Italii figura *skazanego na wieczne życie krzywdziciela Chrystusa* jest znaną i popularnie cytowaną, tylko pod nazwą: Johannes Butadeus. Dopiero w pierwszych latach siedemnastego wieku pojawia się po raz pierwszy sam Ahaszweros (imię, przypominające historię wypraw Xerxesowych) w Niemczech w broszurze (Flugblacie) niejakiego Duduläusa, pod tytułem mniej więcej: „Krótkie opisanie pewnego żydowina nazwanem Ahaszweros“. I tu już mamy cały kościec legendy po raz pierwszy zestawiony. Człowiek, który „skrzywdził Jezusa“, był sobie szewcem w Jerozolimie. Skrzywdził Go w ten sposób, że niosącego krzyż na Golgotę i chcącego odpocząć na jego progu odepchnął szorstko. Skazany na wieczną wędrówkę, z czasem żałował tego szorstkiego odepchnięcia, pokutował i nawrócił się. Tyle mówi ludowa książeczka prosta, naiwna, drzeworytowa, jak pierwsze książeczki średniowieczne o królu Salomonie, o Sowizdrzale, o Meluzynie, Genowefie itp. Ale już ta książeczka (jeden jej egzemplarz znajduje się w monachijskiej Hof-Bibliotece), wydana przez szlezwickiego biskupa Eitzena w celach propagandy, rozbudza gorączkowy ruch umysłów w całej chrześcijańskiej Europie. Już wywołuje jak czarodziej-

skiem zaklęciem całą literaturę podobną. W r. 1609 wychodzi pierwsza francuska książeczka o Ahaszwerosie w Bordeaux, a już w r. 1916 w naszym Krakowie. Podniecona i jeszcze po średniowiecznemu egzaltowana fantazyja pozwala „skazańca na wieczne życie“ oglądać ludziom po różnych miejscach. Widzą go po kolei w Paryżu, Brukseli, Wormacyi, Rzymie, w Amsterdamie, Lubece, Krakowie, — ba nawet w Azyi, w Moskwie widzi go raz pewien Holender. Na Sycylii spotykają się z nim ciągle. Ma on długą, siwą brodę i kostur w ręce, nie zatrzymuje się nigdzie ni chwili, *nie śmieje się nigdy*.

Notatka mnicha Rogera z Wendower zaczyna zapuszczać silne korzenie i rozrastać się. Wokoło książeczyny Duduläusa tworzy się cała przelotna literatura, w bardzo czarnych barwach malująca jerozolimskiego szewca, coraz szczegółowiej opowiadająca o nawróceniu tego zatwardziałego grzesznika, no i oczywiście potępiająca bezwzględnie jego szorstkie odepchnięcie Chrystusa. Już jednak pojawiają się i pewne waryacje tematu. W Belgii grzesznik krzywdzący nie jest szewcem, lecz człowiekiem bardzo bogatym i nazywa się Izaak Laquedem. Ale ciągle jeszcze legenda ta utrzymuje się na powierzchni ludowych anegdot o charakterze religijnym, pospolitym, płytkim i konwencyonalnym, czekając na czarodziejskie dotknięcie ręki geniusza, na tchnienie ducha poety. I słyszy raz o niej młody olimpijczyk, cheiwy życia i przekształcenia życia w organizmy artystyczne: Goethe. Jest w młodzieńczej epoce bardzo krytycznego sądu o władcach świata, o kościele, świeckich mocarzach. Równocześnie swym jasnym umysłem pojmuje u współczesnych śmieszność tęsknoty do jakiegoś nagle przekształcającego fizyognomię moralną Europy cudu czy kataklizmu. I wtedy rodzi mu się koncepcya Żyda tułacza, którą rzuca w szkicu na papier... niestety, aby je nigdy nie spotęgować w skończonem, wielkiem dziele.

Otóż szewc jerozolimski to — krótkowzroczny, ciężkomyślący, biedny, przepracowany małomieszczanin, oddany światopoglądowi Jezusowemu o tyle tylko, o ile ten np. nie wywołuje większych turbacji i niepokojów w mieście, w którym szewc solidnie zarabia. Przeciwwstawieniem szewca-filistra, kreatury biernej,



cierpliwej, czekającej jest: Judasz namiętny, twórczy, aktywny, zmuszający Chrystusa swym pocałunkiem do wejścia na drogę propagandy czynu rewolucyjnego. Następuje katastrofa, Chrystus zawodzi messyaniczne nadzieje cierpliwego szewca, nie przychodzi ani „nowy ład“, ani „dzień zapłaty“, ani „tysiącletnie Królestwo Boga na ziemi“. I kiedy trybun ludu idzie pod krzyżem na Golgotę jak najzwyczajniejszy skazaniec, jęcząc pod ciężarem grubych belek drewnianych, — wtedy rozżalony, zawiedziony wyrobnik wybucha potokiem obelżywych szyderczych słów. Dopiero incydent z chustą Weroniki otwiera mu oczy, lecz już zapóźno; głos z nieba słyhać, skazujący niecierpliwego, zgorzkniałego materyalistę na wieczną po ziemi tułaczkę.

W tym Goethoskim szkicu na epopeję są już wszystkie dane na rozwinięcie wielkich perspektyw psychologicznych. Z niego wyjdą już wszyscy twórcy francuscy, niemieccy, angielscy. Zasadniczymi akordami będą więc: tęsknota ludzka za zmianą istniejącego złego porządku rzeczy, tchórzliwość ludzka w zdecydowaniu się na zniszczenie wszystkiego tego, co jest i co z gruntu *złem* jest, elementarne prawo człowieka do szczęścia, przemiana historycznych tradycyjnych wartości (Judasz człowiekiem czynu), walka z Chrystyanizmem jako abdykacją ze szczęścia doczesnego, a wreszcie olbrzymie finale ideowe: śmierć to wyzwolenie. Geniusz, więc urodzony poganin Goethe rzuca w tych kilku kreskach szkicowych wielki program fantazyjny i prometejski zarazem. Przed twórcami otwiera się teraz wielka szeroka jasna droga, wiodąca aż do stóp tajemniczo uśmiechniętego Sfinsa. Przekonamy się, jak wiele ten szkic Goethoski sugeruje wrażliwym intelektom twórców. Z naiwnej, wątlej notateczki mnicha angielskiego wyłaniają się teraz wielkie i szerokie koncepcje, gdy ją jako więźbę motywów wskroś ludzkich i wskroś tragicznych przedstawił jasnowidzący geniusz. I teraz, zależnie od tego, na jakie podłoże indywidualne natrafia legenda o *skazanym na dostojną nieśmiertelność człowieka*, zależnie od tego rozwijają się poszczególne jej momenty i motywy psychiczne. Ze wszech miar okazuje się ta postać podatną, bo dla obrobienia przez najprzeróżniejsze organizacje duchowe ma w sobie wielkie,

wolne obszary duszy. Na kanwie *wiecznej wędrówki* po tym najlepszym ze światów (jak orzekł Leibniz, według najnowszych badań istotnie pochodzenia polskiego od wywędrowanych Aryan Lubienieckich!) dadzą się wyhaftować najdziwniejsze allegorye, najzuchwalsze w allegoryi freski.

Zważcie, że wieczny tułacz *musi* w swej pielgrzymce widzieć cały bieg historii ludzkiej t. j. całe dzieje *grzechu* olbrzymów pochłaniających i depcących miryady drobnoustrojów i *zemsty* małych bakcyliów i skorków, toczących wielkich ludzi.

Zważcie po drugie, że w Ahaszwerze materyaliście, spodziewającym się od Chrystusa przekształcenia życia od samych tegoż podstaw, musi być do tego życia fanatyczne przywiązanie, kult rodztwa, radość z kielkowania, wesołość na widok kwitnących i owoce dających, nadzieja, że może przyjsć człowiek-bóg, co nadludzkim napięciem woli swej *śmierci przezwycięży* i zanik zmoże, butwienie i gnienie usunie, drugą formę bytu t. j. nieistnienie z oblicza ziemi wygładzi. Bowiem ten altruista, szewc jerozolimski wierzy w Chrystusa i kocha świat jego idei i kocha w nim nadzieję zniszczenia śmierci, a obrzuca go obelgami dopiero wtedy, kiedy widzi i przekonuje się, że wszystko to było kłamstwem, złudą, rewolucyjnem bez widoków podżeganiem, zniszczeniem znośnego spokoju wegetacji na rzecz fantasmagoryi, z których tak Pilatus Pontius, jak wszyscy Pretoryanie Tyberyusza kpią i śmieją się. Ahaszweros *krzywdzi* i odpycha Chrystusa fanatyka *nowego życia*, kiedy rozczerowany widzi go idącego na *śmierć*, na zwykły, stary kres wszelkich upojeń, radości, rodzeń, kwitnień.

Zważcie dalej na najgłębiej tragiczny, zgoła pierwszemu motywowi dyаметralny: *mus życia* Ahaszwerosa i tegoż musu bezgraniczną grozę. Biedny fanatyk lepszej i wyższej formy bytowania, *nieograniczonego trwania* skazany jest właśnie na to nieograniczone trwanie. Przeżywa życie wszystkich najdroższych, krewnych, blizkich, wreszcie i *spółczesnych!* musi żyć życiem obcych *pokoleń*, innych światów, przy coraz wzrastającym śmiertelnem znużeniu, znudzeniu, obrzydzeniu. I wciąż, wciąż widzi te same małe wzloty i te same opadania na ziemię, te same pychy i te same nicości i ciągle ten sam



kołowrót grzechów i ciągle tę samą pretensjonalną boskość dużych mrówek, dużych pszczoł i dużej szarańczy. Daremne wszystkie próby uśmiercenia się! Wyrzuca go woda, nie czepia się go ogień, nie gryzie wąż jadowity, nie spada mu na łeb cegła; dziś, gdyby żył, nie imie się go ni śmierć w wagonie, ni śmierć z ręki Monny Lües. Tak, tak...

Przeżera go ciągle, nieusypiające obrzydzenie do życia, wstręt mizantropijny, bezkresna wzdarda kongregacyjnej, konstrukcyjnej, lichej pracy. Te same mokoły widzi w 1112-tym i 1812-tym, te same w dziesięć lat po śmierci socyal-demokraty rabbi Jeshua ben Josef Honootzri\*) z Nazaretu i te same w roku trzysta dziesiątym. Tak Paweł piszący list do Koryntyan jak Wolter piszący do Katarzyny są mu tylko utalentowanymi literatami; nudzi go wszystko poczwarnie. Ukochanie namiętne życia ukarane jest z podłą nadmierną niesprawiedliwością Mojry: namiętnem *pożądaniem śmierci*. Wiara w moc trybuna zapowiadającego królestwo miłości, w „dobrego pasterza“ ukarana jest bez żadnej przyczyny przez starego Boga Jehowę, jako *głos z nieba*, skazujący go na to, co właśnie chciał, na wieczne życie; ząb za ząb, oko za oko, życie za życia pożądanie.

I tu już następczą się waryacje tych dwóch motywów kardynalnych, tego tańca miłości i śmierci, życia i nienawiści. Okazuje się, jak całkiem w metafizyce spoczywał załazek mytu Ahaszwera. Myt ten, już począwszy od Goethego, całkiem zantropomorfizowany, staje się wymarzoną doskonałym materiałem dla przerabiania go w kształty różnorodnych systematów myślowych i różnych zmiennych pojęć o zagadce życia i świata.

## II.

Figura z broszurki Duduläusa nadaje się, jak mało która postać z mytów do alegorycznego, obrazowego bronięcia bardzo odrębnych sobie filozoficznych postaw i stanowisk. Staje się więc ten nieznający spoczynku wędrownik wyrazicielem, chorącym monoteizmu a także panteizmu, przedewszystkiem jednak

\*) Pełne nazwisko Chrystusa.

będąc herbową postacią pesymizmu. Są oczywiście i całkiem dowolne przeciągania podstawowych zasadniczych znamion Ahaszwera, są przerysowania go w paradoksalne; ale głównie, najczęściej u przeważnej części twórców, poważnie się z legendowym motywem porajających jest Ahaszweros wyrazicielem absolutnego człowieczeństwa. W dalszych zaś konsekwencyach i przeprowadzeniach motywu: sceptykiem, idealnym materyalistą, panteistą i generalnym oskarżycielem chrystyanizmu: więc antychrystycznym ludzkości rzecznikiem.

Do całkiem jednak dowolnych należy traktowanie jego „skrzywdzenia“ i odpędzania Chrystusa, jako aktu konsekwentnego i żarliwego monoteizmu. Miłość jakoby jedyne Boga ma Ahaszwerosowi bezwzględnie nie pozwalać na jakąkolwiek łagodność i względność dla twórcy przewrotu o charakterze jakiegoś jakoby Juliana Apostaty, dla „poganina“ Chrystusa, w dalekich przenośniach zapowiadającego już nawet *trzeciego* boga. Do również dość dowolnych, problemowo-chaotycznych koncepcji należy np. epopeja Hamerlinga, tłumaczona u nas przez Ordona (w r. 1877): „Ahaswer w Rzymie.“ W tym niezwykle szumnym, przeładowanym, tyradowo-fajerwerkowym poemacie jest Ahaszweros równocześnie fanatykiem spokoju, ukolenia, milczenia i fanatykiem zniszczenia (?). Całkiem niedyscyplinowana fantazja wierutnego dekadenta niemieckiego dyktuje Hamerlingowi scenę, w której Ahaszweros, wróg wszelkich transcendentalnych polotów myśli wychwala Neronowi jego żądze destrukcyjne i pożar Rzymu, jako widome owoce neronińskiego filozoficznego ogarnięcia fenomenu świata. W tem chyba tylko konsekwentnym jest choć do pewnego stopnia tradycji i logice swojej legendy ten Ahaszweros, że to pierwszy rewolucjonista, kainita. W tem zaś Hamerling odbiegł już kompletnie aż do paradoksalnego jego przeistoczenia, że Ahaszwerosowi (jak to już wiadomo), obrońcy i rzecznikowi życia przeciwstawia Nerona, nienasyconego fanatyka życia; czyli tylko — comparatywowi przeciwstawia superlatyw. Ahaszweros Hamerlinga pozostaje zatem wspaniałem w swym kolorystycznym patosie przeinaczeniem mytu o wiecznym tułactwie. Również do wykojęnych waryacji legendy należy zaliczyć te, w których żyd



tułacz występuje jako niezmierzony poszukiwacz Boga, w dalszym rozwinięciu chrystyjaniczny apostoł, nawracający do ewangelii bluźniących młodzieńców, lub przestrzegający groźnie przed wszelkiem przeciwstawieniem się wszechmocy bóstwu. Albo znowu nawrócony żarliwy chrześcian (u A. Schlegla), wędrujący tak długo po świecie, póki jego dawni współwiercy żydowie w ostatnim Judajczyku nie nawrócą się na chrystyanizm (Achim von Arnim, tłumaczenie polskie Reklewskiego).

Tymczasem istotnie wiernym swemu pierwopoczątkowi jest Ahaszweros tam tylko, w tej grupie utworów, gdzie idea jego *walczy* z ideą Chrystusa, gdzie ją niweczy i gdzie za to pokutuje. Ahaszweros jest Ahaszwerem tam, gdzie jako rzecznik skazanej na życie ludzkości rozpoczyna i wiedzie nieprzerwalny, bezlitośny bój na całej linii z Chrystusem, prorokiem niestwierdzonego, nieujętego, supernaturalnego szczęścia i mirażem szczęścia mającym rzesze ludzkie zahypnotyzowane, zahaszyszowane nieszczęsne. I do tej kategorii wielkich dzieł z Ahaszwerem choćby jako boczną figurą, ale reprezentantem wolnej, ziemskiej, niepodległej myśli ludzkiej należy Shelleya: „Królowa Wieszczy“, Edgara Quineta dramat, H. Andersena poemat stuwierszowy i cały szereg drobniejszych rozmiarami nowel czy wierszy, jak: Edouarda Grémer („Petits poèmes“, 1859), wiersz Berangera, epopeja tercynami Niemca Mosena, wiersz czeskiego poety Machara, nowela ekscentryczna J. Ch. Zedlitza i wielu innych, bo nawet królowej... Carmen Sylwy...

Czy w Żydzie wiecznym tułaczem jest zogniskowaną „całą“ „wieczną (?) nienawiść“ do chrystyanizmu lub nawet do katolicyzmu, jak stara się przekonać w swej dramatycznej figurze Ahaszwera Adolf Willbrandt („Mistrz z Palmyry“, 1889), o tem należy wątpić, już choćby konstatując, jak nieproporcjonalnie mało synów Izraela czeptało się tego tematu, tak dla polemiki z chrystyanizmem przecież wdzięcznego: Prostu na kilkadziesiąt znanych jest tylko dwóch: tj. Czech Seligman Heller, autor olbrzymiej epopei (r. 1886), w której z bardzo wielu tysięcy rymowanych wierszy przebija się (wedle znających *opus*) gorące umiłowanie czystego Chrystusa bez dalmatyki, nadziewanej nań przez collegium rabinów-szarlatanów-kardyna-

łów rzymskich. Drugim żydem, zresztą niesprawdzonym naukowo, był Jeleński Polaczek, który podobno pomagał Suemu w koncypowaniu słynnego antyjezuickiego gularzu, tak lubieżnie pochłanianego przez nasze babki i dziadków (patrz komedję St. Bogusławskiego „Opieka wojskowa“). Okazuje się więc, że chyba Ahaszweros nie jest takim zogniskowaniem żydowskiej nienawiści do chrytyanizmu, skoro go żydowscy autorowie, jak wiadomo dość łapczywi na już skryształizowane tematy, tak sobie bagatelizowali.

Jakżeż tedy jeszcze wygląda Ahaszwer w oświeceniu Aryjczyków czystej krwi? Otóż jest to przedewszystkiem ludzkość sama, w życiu swoim skrepowana na niewolnicę metafizycznych potrzeb i tęsknic. Jest to *Ahas*, upadły anioł zwątpienia, który razem z Chrystusem zstąpił na ziemię, a zaprzecza istności Boga właśnie nawet w tem, co boskie, zaczem to obraz ludzkości *samej w sobie*. U Andersena (tego samego, co bajeczki dzieciom pisał) przeciwstawiony jest Ahasowi nie Judasz (socjal-rewolucjonista Goethego, pchający Chrystusa do proklamowania ekspriopriacji), a Barabasz morderca słabomózgi, człek nawrócony. W poemacie Andersena Weronika staje się siostrą Ahasa—Verą. Upadły anioł jest rdzennym sceptykiem i odrzuca całą ideę Boga. Andersen, jak i inni autorowie, korzysta z tego, że Ahas zmuszony jest przeżywać różne epoki historyczne i choć nie każe mu być świadkiem kolejno całych dziejów ludzkości, nie odważa z nim bezlitośnie całego repertorium dziejów (jak to czynią zawsze w grafomanie wpadające epickie Niemiaszki, Mosen i inni), ale zawsze wodzi go dość długo po różnych kontynentach: Chiny, Indye, Egipt, Grecja, wstawia w różne historyczno-przełomowe momenta: Mahomet, Attyla, z Henrykiem w Kanosę, w krucjaty, przy Hussie, Kolumbie... ażeby na tle kolejnych ewolucyjnych ludzkości przemian wykazać, jak ten wieczny tułacz sceptycyzm, *rozum ludzki*, wabiony przez różne kulty religijne, kładący sobie nadzieje zgniecenia fantomu metafizycznego, w Attyli, w Mahomecie, w Henryku, w Husie — zawsze atoli tajemnymi mocami, niewidzialnymi pętami ciągniony, nawraca pod ten krzyż: symbol *drwilowej* klęski nazareńskiego socjalisty. Znaczą-



nie wcześniejszym od poematu Andersena jest dramat historyka Ed. Quineta (1833), jak znowuż od tego wcześniejszą jest tytaniczna eksklamacja przeciw bogom w *Queen Mab* Shelleya (1817) lub jego ballada. „*The wandering Jew*“ do tego stopnia ekscytował młodzieńckiego Percy'ego, tego Oberona o ogniu wewnętrznym tytanów, że jeszcze będąc szesnastoletnim młodzieńcem, napisał *powieść* o Ahaswerze. Buntowniczość tej postaci magnetyzowała go tak stale, że wreszcie zrzucił ją sobie z bark, powołując Ahaszwera w wielką scenę w *Queen Mab*, kiedy bogini zaklina cień Ahaszwera na potwierdzenie przed „duchem ludzkości“ (co przespał tak długie czasy) wiarygodności tego obrazu, który właśnie roztacza się oku metafizycznemu z góry, z obłoków, międzygwiazdnych sfer patrzącemu. I Ahaszweros tłumaczy im sens świata, jego genezę... ze złej woli „idei absolutnej“, konieczność i niezwykłość wszystkiego złego, podłości, ciemności, obłudy, zbrodni, nędzy, chuci; konieczność szczęścia dla trutniów. Ahaszweros, wierny swej legendzie, złorzeczy, przeklina i dokumentuje, że ten świat, w którym Chrystus ludzko (więc przewrotnie i fałszywie) pojęty zaczyna wszystko już zagarniać pod swe panowanie, z chwili kiedy ostatnia ziemia część zostanie chrześcijańską, z tą chwilą niestety nie będzie już miał w sobie ni cienia z ducha Chrystusa, gdyż Chrystus-władca jest już czystym antychryścjanizmem. Pokrewny świat idei odczuwa się z rapsodycznego dramatu germanofila E. Quineta, przyjaciela Heinego. Rzecz więcej znana w Niemczech, niż we Francji, cała w tonie dytyrambicznym, głęboko uduchowiona, przepojona panteizmem, w technice romantyczno-wichrowata. Quinet allegorysta personifikuje w niej wszystko: ptaki, drzewa, duchy, burzy, demonów, aniołów. Znając szkic Goethego i książeczkę z Epinal, żalowaną pieśń o biednym „Juif errant“, daje w swym mistycznym, dytyrambicznym dramacie lekką folgę antypatii do hierarchii kuryi apostolskiej i do bonzów kardynalskich. Ahaszwer jest tu wcieleniem w jednostkę dobrego ducha historii, zwalczającego oficjalny chrystyanizm. Żyd wieczny tułacz to rozgoryczony idealista o zawiedzionych nadziejach w możliwość doczesnego szczęścia, to metafizyczny pęd w człowieku, gardzący koncesjami, jakie najszczytniejszy

ideał metafizyczny: Chrystus czyni systematycznie na rzecz konieczności realnych interesów i ułomności ludzkich.

Pomniejsi poeci poruszają przeważnie jedną ze strun bólu wszechludzkiego u tego nieszczęsnego wędrownika. Lenau w jednym poemacie krótkim daje piękną arabeskę na temat Ahaszwera, w której śmiertelnie znużony swem „nieprzemijaniem“ Ahaszweros wreszcie strzela do siebie, a kula odbija się spłaszczona w kształt monety okrągłej, z wyrażonym na niej wizerunkiem: Zbawiciela biednych ludzi. I Bérangera (w piosnce z roku 31) porusza specjalnie ta godna najwyższej litości *znużoność* człowieka, co nie może odejść w spokoju... Może najoryginalniejszą jest koncepcja J. Chr. Zedlitza (r. 1839). U niego Ahaszwer umarł i w grobie musi leżeć świadomym, odczuwającym i współżyjącym wszystkim kolejno pokoleniom ludzkim (sytuacja zewnętrzna powtarza się w jednej skabrycznej noweli Dostojewskiego). I on również spodziewa się ratunku ze swej grobowej kaźni w momentach historycznych napięcia walki z chrystyanizmem. Tymczasem nadzieje zawodzą i biedny, 1839-cio-letni żydowina leży gdzieś w grobie, słysząc i widząc wszystko, co złego, grzesznego, plugawego i zbrodniczego dzieje się na ziemi; i tak... aż póki Królestwo miłości bliźniej nie nastanie...

Im bliżej naszych czasów i doby pozytywnych ideałów, tem Ahaszwer staje się więcej typem tryumfującego życia. U jednych w wiecznym swem poszukiwaniu znajduje tylko fakt: samego siebie, i utwierdziwszy się w analitycznym ogarnięciu swego „ja“, szydzi ze wszelkich polotów transcendentnych. Wierny ziemi matce — Tetydzie, wrogim stawia się wszelkim nadprzyrodzonym wiarom. Bóstwa szuka w walce, w miłości, w czynie, w potędze i ukoiszy się i uleczywszy, panteistycznie formułuje bóstwo jako; „stawanie się“ (Carmen Sylva). U innych znowu jest on tylko poszukiwaczem Piękna, albo znowu gorącym apostołem życia (Machar), albo demonem materjalizmu, atletą woli, dążącym systematycznie do pełni mocy i władztwa nad materją, cyfrą, naukami; albo znowu tym, od którego odwraca się wszystko, którego z powrotem wyrzuca z łona swego ziemia, ponieważ... współ ze swem



plemieniem żydowskim opanował z pomocą swego historycznego wszechwiedztwa życie, prasę, naukę, handel, złoto, ideały wolności, no i z pomocą... wolnomularzy dąży do skrzywdzenia, odepchnięcia Chrystusa, do: pancerzaryzmu semitów... Trzeba bowiem dodać, że i do antysemickiej tendencji zdołał prze-transponować myt Ahaszwery jakiś pisarzyna, jeden z tych wielu, o których mówi w pewnym niemieckim wierszu burszowskim sam Ahaszwer:

„Pielgrzymowałem po dziejach,  
w prozie, w jambach i trochejach.  
Nie krzywdziłem tych ichmości,  
ścigali mnie bez litości.  
Ach, gdzież złożę biedne kości!”

Literatura beletrystyczna także dość często rozpisuje się o tym człowieku, który *nigdy się nie śmiał*. U starego Dumasa nazywa się on z belgijska Izaakiem Laquedemem. Jako Laquedem występował też w... komedii francuskiej Craigneza (1812), w Théâtre de la Gaîté. Oprócz osławionej powieści Sue'go jest Ahaszwer pierwszą postacią z osławionej powieści sześciotomowej, pełnej rozwścieżonego romantyzmu i kolporterskiej grozy sir Lewisa Wallace'a (autora „Ben Hura”) pod oszałamiająco-nęcącym tytułem: „Księżę Indyjski albo upadek Konstantynopola”. Otchłani to intryg, afer, zdarzeń, figur, obłężeń, sekt, walk, pochodów, tajemnic. O Ahaszwerze jest jeszcze... pewna komedia angielska Andrew Franklina, są już i niemieckie naśladownictwa romantycznego misterium Quineta. Są także pod imieniem Ahaszwera powieści nowoczesne o kwestyi żydowskiej (Mauthner), jednoaktowy utwór Heijermansa i t. p...

Zdumiewać się musimy, że u nas, w tej drugiej żydów ojczyźnie przybranej niema dotychczas ani jednego pisarza, któryby psychologicznie pogłębił tę postać wiecznego tułacza z uwzględnieniem naszej wspólnej symbiozy, wielu analogii i szerokich perspektyw historyzoficznych. Na całym obszarze literatury polskiej raz tylko z naszej twórczości jawi się Ahaszwer i to jeszcze w r. 1779 u Krasickiego w niezbyt udułej „Historyi na dwie księgi podzielonej”; Ahaszwer, wiecznie

odmładzający się świadek całego biegu historyi, jest tu nie-tylko świadkiem wszystkiego, co się dzieje za Aleksandra Wielkiego, w Kartaginie, Atenach, Galii w średniowieczu aż do naszego Mieszka i Ryksy, ale i autorem tych dziejów, opowiadającym je. Prócz Ahaszwera Krasickiego postać ta ani jeden raz już nie wyłania się nigdzie. A przecież ten żyd wieczny tułacz właśnie, przeważnie nazywany jest w Europie: polskim!...



KLEJNOTY POLSKIE W ROSYI



I.

**M**ały, ciemny, posepny pokoik w jednym ze skrzydeł wielkiego, niemile białego pałacu. Sześć kroków wszerz, siedem kroków wzdłuż. Brudnawe szybki okien nie przepuszczają omal ani uncji słonecznego światła. Po rogach sufitu zaczajone pająki, w kątach podłogi wstrzymywane ludzkiemi krokami chrupanie rozpanoszonych nocami myszy. Ubikacja, pełna starych na pierwszy rzut oka rupieci i gratów: jakoweś szafy, bardzo stoczone, stoły, stołki, komody, papiery. Żywy człowiek zaledwie trzy kroki może zrobić w tym lamusie dziwnym i zatęchłym, ciasnym i niskim. A na ścianach?

A na ścianach od góry do dołu zawieszone w beładzie, na przygodnych hakach, bez ram i bez sznurów, ot, na chybił trafił, byle jeden przy drugim, byle się wszystko zmieściło, byle jak najmniej miejsca zabierały, byle się gwoździem nie przeziurawiły: obrazy...

Obrazy tj. ciemne płótna, których się na pierwszy rzut oka nie widzi nawet, nie odróżnia, których się nie chce oglądać wobec mroczności tej ubikacji. I dopiero cichy, jakby powstydzony, głos oprowadzającego: „wot kartiny polskije”—wstrząsa oglądającego prądem stu wolt!

I wtedy trzeba istotnie nadludzkiego wysiłku, aby się wraz opanować, nie wybuchnąć potokiem gniewnych słów, uśmiechnąć po gentlemeńsku i zacząć spokojnie przegląd tego, co tu rozwieszono.

Jesteśmy bowiem w polskiej *sali* Muzeum Rumiancewskiego milionerskiej i miljonowej Moskwy.

Samo Muzeum—to po prostu anomalia, paradoks i kuriozum w jednym pojęciu razem. Trudno sobie wyimagiować wprost gmach bardziej antimuzealny w swej architekturze, rozkładzie sal kurytarzy, w umieszczeniu okien, schodów drzwi.



To też na normalnym „człowieku z Zachodu“ robi ta „świątnica“ nauki i sztuki wrażenie wprost horrendalne. Czyż jest możliwość, aby w XX wieku, w mieście, które liczy jakich 150.000 Europejczyków prawie, a jakich 300.000 ludzi, oswajających się systematycznie z cywilizacją, aby w takim mieście, interesującym pełnią kapitału, pełnią kapitalnej, starej, jednolitością imponującej architektury, mogło egzystować tak chaotyczne nagromadzenie skarbów nauki, kultury, sztuki, historii w takim konglomeracie nędznych, kiepskich, ciasnych, ciemnych, niskich i wprost głupowato komponowanych ubikacji? Jeszcze sale, zawierające galerię obrazów (nawiasem mówiąc, niemożliwej mieszaniny rzeczy świetnych z fabrykatami olejnymi ostatniej marki), jeszcze te sale mają pomieszczenie znośne, aczkolwiek kilkadziesiąt obrazów wisi w kamerach obskurnych przy niechlujnej kłatce schodowej. Natomiast sale etnograficznych zbiorów t. j. niejako kolonialne Muzeum Imperium Rosyjskiego sprawiają widok — dla Rosyan chyba przygnębiający, dla nas wprost upokarzający wobec faktu, że jest to, bądź co bądź, dokument poziomu kulturowego naszych... opiekunów i protektorów...

Ale to już sprawa obojętna, nas tylko mimochodnie interesująca. Kiedyś, może już w bliskiej przyszłości i nas będzie obchodziło intensywniej, czy Muzeum kolonialne słowiańskie pomieszczone jest w spelunkach; dziś wyciągamy z tego tylko konsekwentną argumentację w formule: czyli godziło się wycofywać ostatnie resztki zabytków polskich z naszych skromnych zbiorów i kolekcji, aby, z niemi tak wandalicznie obchodzić się, umieszczać je bezładnie w pierwszej wreszcie z brzegu, najgorszej norze tego isticie anormalicznego Muzeum Rumiancewych?... Godziło się?

Zarzutów takich nie powtarzam przy drugim Muzeum moskiewskim, którego lwia część są także rzeczy polskie, t. j. przy Orużejnej Pałacie, Arsenale Kremlimskim. Tu przynajmniej wszystko rozmieszczono składowo, efektownie i normalnie. Nadto — bardzo wiele rzeczy, zdobytych na polu walki krwią i orężem, stanowi do pewnego stopnia bezdyskusyjne „zasłużone“ trofea w militarnym sanktuarium rosyjskim. Koło tych zabytków polskich na Kremlu, koło armat z herbami i literami

Potockich i Lubomirskich na podwórzu, koło chorągwi i sztandarów w salach Arsenalu przechodzi się spokojnie, z sercem, bijącym normalnie, z powagą passywną, przypominając sobie tylko, że znowuż i sztandary rosyjskie wiszą sobie i w Konstantynopolu, i w Berlinie, i w Wiedniu, a już bardzo licznie w... Tokio.

Zwolna, krok za krokiem idzie się od jednej zbroi polskiej do drugiej, od strzelb do szabli, od sztandarów napoleońskich do tronów z Zamku warszawskiego... Owszem, pytamy nawet lojalnie, jak nazywają się ci, którzy tu... tu, w tak europejski, pełen smaku artystycznego sposób ułożyli to wszystko: oto nad całym Kremlen czuwają generał-major Istomin i generał-major książę Odoleński Massów; ludzie to chyba o pełnej kulturze, kiedy z takim pietyzmem kierowali temi pracami „uproszczenia“ sal Arsenalu; pan Miletin jest kustoszem. Jemu podobno najwaulniej zawdzięczają te sale swój całkiem spokojny i estetyczny wygląd. Od opinii tych to trzech panów będzie w latach przyszłych zdaje się wiele zależało, co Ministerium Dworu z tego mnóstwa wywożonych, konfiskowanych, legalnie zdobywanych lub pokątnie tylko wysuwanych zbiorów będzie uważało za stosowne zwrócić pogodzonej z Rosją Polsce. Tylko bowiem starcy i chłopaczki mogły pod tym względem stracić wszelkie nadzieje; ludzie cierpliwi, nie zrażając się wcale nonsensami dnia dzisiejszego, mają głęboko w duszy pewność, że Kreml Wawelowi odda, co jest Wawelskiego, a co jest Polskiego — Polsce.

Wielka część zbiorów, „ofiarowanych“ Muzeum Rumiancewowskiemu głównie przez wieszateła wileńskiego Murawiewa, rozeszła się do prowincjonalnych Muzeów rosyjskich i tam zatoneła raz na zawsze. Biblioteka uniwersytecka wileńska wraz z krociem tomów innych książnic „wcielona“ została już organicznie w imponującą bibliotekę R. Muzeum. Poszło to wszystko do szaf i na półki — na wieczny odpoczynek. Francuskie, włoskie, polskie, łacińskie książki, przeważnie jeszcze pięknie lub świetnie oprawne nadają w ten sposób tej Bibliotece zachodnio europejskiego poloru. Ot, przyjedzie jaki innostraniec, Anglik, Francuz, Niemiec, Katolik — i otże zdumieje się, zobaczywszy, jakie to księgi, jakich autorów czytano w Rosyi



w 17 i 18 wieku. Szczególnie Francuz brat jak będzie mile zdziwiony, zobaczywszy tyle tysięcy tomów swoich klasycznych autorów.

I taki to naród, mający takie biblioteki, ośmielają się ci Polacy nazywać w chwilach złości: barbarzyńcami. *C'est embêtant! Shocking.* Kilkaset portretów i biustów polskich z Muzeum Rumiancewa „przydzielono“ łaskawie do Orużejnej Pałaty, nadając w ten sposób militarnemu Arsenalowi arty stycznego poloru i blasku. Niechżeż widzą Francuzi, jak to popierała Rosya w 18 wieku sztukę europejską, ile to gipsów i dobrych portretów, marmurów, bronzów, bywało na tak dalekim Wschodzie. Nawet tak chytry człek, jak Angliczanin, nie odróżni nazwisk Oboleńskij od Opaliński, Mierosławski od Mscisławski, a już Sapiegi, Sanguszki, Radziwiłły — to widać z biustów i malowideł musieli być najistniej ruscy ludzie.. przeważnie nawet — podgolone łby...

Dość, że jak w życiu politycznem, historycznem, tak i tu, w życiu muzealnem historycznem, polskość skazaną została na ogniwo, łączące Rosyę z Jewropą, a jedynie i wyłącznie przedmioty sztuki i nauki, z polskich zamków, pałaców i dworów „przydzielone“, nadają tym salom dwóch Muzeów moskiewskich barwy pół-europejskiej. Gdyby nie one, nie te z Polski zbroje i sztandary, medaliony i bronzy, książki, to tak Muzeum Rumiancewych, jak i Orużejna Pałata, miałyby cel wyłącznie etnograficzny i na zachodnio-europejczyka działałyby wyłącznie swych obiektów egzotycznością, pstrością, groteskowością, dziwacznością i często dzikością; Anglik przeciętny nie odróżniałby na razie obiektów z Chiwy i Buchary od obiektów od Nowgorodu czy Tweru, regalia wielko-książęce mogłyby wiaść za ozdoby Tamerlana czy perekopskich Agajchanów. Tymczasem tak stanowczo nie jest.

W tych jednakże dwóch Muzeach dopiero widzi się naocznie i namacalnie, czem wszystkim, czem upragnionem, czem nieodzownem była i jest ta biedna, zdeptana, złachmaniona i wyssana Polska dla Rosyi. Tu bowiem także, w tej carskiej, tronowej salce Arsenalu, za kutemi żelaznemi wrotami, strzeżonemi dziś także przez długobrodych karaulów, widzi się

coś, co w rozszerzonych jakby jasnowidztwem oczach rozrasta ci się do rozmiarów oszałamiającego symbolu historyoficznego. Tu w szafce, za grubem szkłem kryształowem, zobaczysz po raz pierwszy jego — *Piotra Wielkiego ubranie polskie!*

Tak, Dymitrze Sergijewiczu Mereżkowski! Tak, mocny i uczony wizjonerze rosyjskich dziejów! Chadzał sobie dość często w polskim stroju Car Piotr Wielki, pozytywista, realista, imperyalista, marzyciel! Mówią o tem liczne źródła cudzoziemskie i wasze. Milczy o tem tylko wasza literatura i sztuka; niema ani jednego rosyjskiego obrazu, tym *Piotrowym strojem polskim* natchnionego, niema, choć jest ich tyle w tem przebogatem i świetnem malarstwie rosyjskiem 2-giej połowy XIX wieku. Niema, choć to motyw i „soborny“, i „gromadzki“, i „bogoczwłowieczy“, i nadczłowieczy, i omal „apokaliptyczny“! Niema w waszych muzeach *Cara Piotra w polskim stroju*, choć jest tyle, tyle innych polskich rzeczy!

I to wogóle wielka szkoda, Dymitrze Sergijewiczu, że wasza sztuka i literatura tak mało, tak nic, tak absolutnie nic, tak wyczerpująco nic nie wie o naszej ojczyźnie. I szkoda, że tak mało o naszej ojczyźnie dowiaduje się choćby... choćby, przepraszam bardzo... z waszych Muzeów.

## II.

Przygodnie tylko i okolicznościowo dotychczas zajmowano się u nas tymi wszystkimi skarbami kultury i oświecenia polskiego, które w różnych czasach kolejno utartymi, śnieżnymi szlakami wędrowały daleko do Rosji. Tu i owdzie pojawiały się przypadkowo artykuły podróżników, znawców sztuki lub uczonych, odrywających się od specjalnych fachowych poszukiwań i badań dla dania wyrazu zdumieniu swojemu na widok tylu polskich sal bibliotecznych, tylu setek tek z rycinami z Polski, tylu tysięcy polskich inkunabułów lub rękopisów i to nie tylko w stołecznym Petersburgu, ale w Charkowie, w Astrachaniu, nad modrą Kamą. Czas więc obecnie i „sprzyjają“ okoliczności, aby zrobić pierwszą próbę inwentarza tych strat bezcennych, tych szkód niepowetowanych i tych deficytów



narodowych, które zestawione raz dadzą jako tako pełny choć jeszcze nieściśły obraz tego, co utraciliśmy w wieku 18 i 19-ym, a co z powrotem jako bezsporną własność narodową rewindykować w 20-tym wieku musimy.

Inwentarz taki skarbów kultury polskiej, znajdujących się przez całe przeszło stulecie w czasowym posiadaniu Rosji, winien być sporządzony jeszcze skrupulatniej i metodyczniej z ścisłym wyszczególnieniem i rozróżnieniem rzeczy skonfiskowanych podczas wojen a po wojnach, rzeczy zagrabionych całemu narodowi a rzeczy z prywatnego posiadania „przelanych“. Po dokonaniu takiej inwentaryzacji trzeba będzie przetłumaczyć tekst rejestru na język ogólnoeuropejski i dyplomatyczny t. j. francuski i w momencie odpowiednim przedłożyć to tym wszystkim, których to może interesować, ewentualnie tym wszystkim, od których w jakimkolwiek stopniu może wyjść presja w kierunku oddania narodowi polskiemu tego, co było i będzie znowu narodu polskiego własnością.

Pamiętki polskie, „monumenta patriae naufragio“ nie „erupta“, t. j. z huraganów historycznych, jakie nad Polską szalały, nie ocalałe rozrzucone są po całym świecie. „Obiekty“ polskie, znajdujące się i w miejscowościach, o których się nawet muzealnym kustoszom krakowskim nie śniło. Nie będziemy się tu nimi zajmowali, żywiąc nadzieję, że świeżo w tym kierunku przed wojną rozbudzony ruch miłośników pamiątek ojczystych po wojnie zajmie się tem ze wzmożoną energją i zszedłszy ze zbyt utartych szlaków poszukiwań w wielkich muzeach i światowej sławy księgozbiorach znajdzie też nadspodziewanie wiele i w bardzo prowincjonalnych i w bardzo oddalonych przybytkach sztuki i wiedzy. Mimochodem tylko stwierdzimy, że np. moc pamiątek polskich jest w posiadaniu książąt Sachsen - Koburg-Gotha, dziedziczonych po jednym ze znanych kolekcjonistów tego mecenasoskiego rodu, księciu Erneście, bracie Leopolda I belgijskiego; moc pamiątek w prywatnym posiadaniu dynastji angielskiej w spadku po księciu Au. Fryderyku Sussex, bracie Jerzego IV i przyjacielu polaków; dość wiele w pałacach austriackiej arystokracji Windischgraetzów, Kińskich, Larisch-Moennich Lobkowitzów itp.; sporo w całkiem prowincjonalnych

zgoła bagatelizowanych muzeach miejskich miast pruskich, saskich i śląskich. Wszystkie te pamiątki z wyłączeniem obiektów znajdujących się w niektórych muzeach wiedeńskich i berlińskich, nabyte są przeważnie drogą kupna, kolekcjonowania, dziedziczenia i jako takie mogą mieć dla nas tylko „pretium affectionis“ bez myśli o zwrocie. O ile zaś coś z tego kiedyś wróci do polskich muzeów czy arsenałów czy Biblioteki Narodowej w Warszawie, to wróci tylko z dobrej woli i pańskiej fantazji arystokracji centralno-europejskiej, która w ten sposób ofiarując Polsce ułamki z pańskich stołów, dałaby istotne dowody, że w walce z Rosją wojuje o ideały kulturalne i dla obrony tych ideałów pomaga polakom w stawianiu kulturalnych fortec na rubieżach i okrainach Wschodniej Europy.

Tymczasem więc zajmijmy się tu tem tylko, co w różnych czasach z polskich pałaców, dworów i zamków przeniosło się bezwłasnowolnie w głąb centralnej Rosji. Trzy są historyczne daty pod tym względem dla kultury polskiej pogromowe i złowrogie r. 1795, r. 1832, r. 1864, podczas których odbywa się zorganizowana ekspropjacja naszych skromnych zresztą, ciułanych z takim zaparciem się Sezamów Sarmackich.

Jeszcze prawdopodobnie znacznie przed pierwszą z tych dat w czas pierwszych wizyt rosjan w Krakowie na konfederatach trzechkrotnie zdobytym wycofano z krakowskiego Wawelu t. zw. Rafaelowskie arrasy, t. j. gobeliny w liczbie sztuk czterestu. O wartości ich można mieć wyobrażenie, jeżeli się zważy, że z kompletu 18 sztuk trzy zawiózł w prezencie Ossoliński jeszcze papieżowi Urbanowi VIII do Rzymu, gdzie też dotąd wiszą w Appartamento Borgia. Arrasy te, czyli jak w Polsce mówiono „szpalery“, przedstawiające Peristromata Diluvii (Kłeski Potopu), roboty któregoś z uczniów Rafaela, wisiały na Zamku od czasów Zygmunta Augusta, a kilkakrotnie w czasach wielkich potrzeb wojennych zastawiane były w Gdańsku, poczem znów wracały na swoje miejsce. Że te kobierce złototkane wywieziono z Krakowa jeszcze znacznie przed r. 1794, świadczy o tem to, że Katarzyna II ofiarowała je w prezencie Potemkinowi do Pałacu Taurydzkiego, a Potemkin umarł jeszcze w r. 1791. Znaczy się więc, że wywiezione zostały albo po pierwszym



zdobyciu Krakowa przez Apraksina i Igelströma, albo po drugim zdobyciu przez Ebschelwitza, albo przy trzecim przez Stackelberga.

Sama imperatorowa zatrzymała wtedy dla siebie pamiątki również dla nas drogocenne, bo: różę złotą, ofiarowaną królowej Marysieńce przez papieża, czapę kunsztownej roboty, dar Innocentego 11-tego, szkatułę misterną, dar Joachima Brandenburskiego dla Zygmunta I, miecz koronacyjny Jana III, a wreszcie słynny Szczerbiec, t. j. miecz koronacyjny wysoce artystyczny niemieckiej roboty, przypisywany jako własność Chrobremu, przedmiot sztuki płatnerskiej, mający dla nas bezcenną symboliczną wartość, miecz który nawiasem mówiąc potem gdzieś „zniknął“, tak, że musiał być powtórnie odkupiony przez Dwór Rosyjski od handlarza sztuki Bazylewskiego.

Wszystkie te tu wyliczone skarby koronne Republiki Polskiej znajdują się dziś w Gatchynie i w Ermitażu. Autentyczność ich i geneza została poświadczona przez obecnego konserwatora sztatsrata v. Lenza, a wszystkie według niniejszego przypuszczenia wywiezione były jeszcze znacznie przed pierwszą, pogromową datą dla kultury polskiej, t. j. przed r. 1794.

### III.

Rok 1795 t. j. rok właściwej likwidacji państwowości polskiej jest też straszną datą dla polskiej kultury. Wyjeżdża przedewszystkiem z Warszawy Biblioteka Załuskich z ulicy Daniłowiczowskiej. Zbierana z niesłychanym mozółem przez dosłownego anachoretę i dziwaka w angielskim guście ks. biskupa Kijowskiego, ma rozmiary tak niebywałe i wartość tak wyjątkową, że papież Benedykt XIV wydaje specjalną bulłę ekskomunikującą każdego, ktoby chciał naruszyć jej całość. Biedny biskup, który 7 lat spędzić musiał na wygnaniu w Kahludze, nie przeczuwał, umierając i zapisując ją narodowi, co za los czeka ten olbrzymi śpichlerz duchownych pokarmów. Wywiezieniem kieruje dawny rezydent rosyjski baron von Asch.

Niestety jednakże nie tylko Biblioteka Załuskich przeniesioną została do Petersburga. Równocześnie bowiem wywie-

ziono wielkie archiwum prezydenta miasta J. Zakrzewskiego, archiwum koronne metryk, mennicę, archiwum poselstwa francuskiego oraz między innymi zdobyczami wojennymi kolekcję tych brązowych i marmurowych biustów, które obecnie znajdują się na Kremlu w rycerskiej sali Orużejnej Pałaty, a przedstawiają w naturalnej wielkości i więcej niż poprawnem wykonaniu: Jana Zamoyskiego, Stefana Czarneckiego, Stanisława Jabłonowskiego, Pawła Sapiełę, Stan. Lubomirskiego, Pawła Działyńskiego, Michała Paca, Jędrzeja Załuskiego, Adama Naruszewicza, Jerzego Ossolińskiego, Korybuta Wiśniowieckiego, Jana Wielopolskiego, Stanisława Małachowskiego, Jerzego Mniszka, Jana Heweliusza, Marcina Poczubutta, Jana Szembeka, Piotra Kochanowskiego, Andrzeja Lipskiego, Stanisława Konarskiego. Słynna kolekcja kopersztychów Stan. Augusta, przez samego króla własnoręcznie nalepianych, zbierana przez lat 30, kolekcja, której mu tak zazdrościł Fryderyk II, o której wzmianki znajdują się w ówczesnych pamiętnikach tak swojskich jak obcych, w tym czasie również jechała z królem do marmurowego więzienia w Petersburgu. Po śmierci króla została włączoną do Gabinetu Sztuchów Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych, którego też dotychczas stanowi pierwszą podstawę i lwia część z przydanymi kolekcjami, w późniejszych latach z Polski „przenoszonymi“. Bibliotekę prywatną króla przejęto po jego śmierci również i obecnie większa jego część znajduje się w mało przez polaków odwiedzanej i znanej Bibliotece Departamentu wyznań obcych. Równocześnie z tem „zakładaniem“ księgozbiorów petersburskich idące raptowne zbogacenie Gatchyny, Oranienbaumu i pałaców cesarskich obrazami głównie niderlandzkich mistrzów, nie należy w tym wypadku jeszcze przypisać legalnemu poaneksyjnemu złupieniu Warszawy, gdyż obrazy te pochodziły głównie z zakupu berlińskiej kolekcji Jana Ernesta Gockowskiego, znanego przemysłowca i kunsthändlera oraz z warszawskiej kolekcji Brühlów.

Na ten sam rok nieszczęsny 1795 przypada w Krakowie znowuż zwiedzenie zamku i katedry przez pruskich generałów Hoyma, Langa i von Rütza i związana z tem legenda, jakoby



ci dowódcy przed wyjściem z okupowanego czasowo Krakowa skonfiskowali polskie klejnoty koronne. Legenda ta opierała się na zeznaniach hr. F. Łubieńskiego, który rzekomo miał je widzieć i poznać w r. 1797 podczas koronacji w Królewcu oraz na kilkakrotnych zapewnieniach wyżej wzmiankowanego ks. Au. Fryd. Sussex czynionych J. U. Niemcewiczowi. Zwiedzający w r. 1881 zamek Wawelski cesarz Fryderyk na zapytanie szczerze i jasno postawione przez bibliotekarza Jagiellońskiego Żegotę Paulego, odpowiedział wprost, że jest nieprawdą. Wyjątkową szlachetność tego tak przedwcześnie zgasłego monarchy pozwala nam sprawę tę uważać za rozstrzygniętą: klejnotów polskich koronnych w Berlinie nie było i niema.

W międzyczasie od r. 1795 do 1834 lata krytyczne dla dobytów kultury polskiej zachodzą znów przy końcu epoki napoleońskiej. Polska jest wielkim terenem zmagania się olbrzymów militarnych, ofiarą tego padają miasta, dwory, zamki, pałace. W r. 1813 przypada kolej na Nieśwież, gdzie królewsko-magnacka, jedna z najbogatszych wogóle w Europie rodzin książąt Radziwiłłów wiekami składała drogocenne przedmioty sztuki i komfortu. Choć część Biblioteki Nieświejskiej wywieziono do stolicy nadnewskiej jeszcze w r. 1772, mszcząc się na księciu Panie Kochanku za sprawę Tarakanowej i popieranie Konfederacji Barskiej, to jednakże teraz dopiero ma miejsce prawdziwy pogrom Nieświeża. Wyjeżdża cała Biblioteka, olbrzymi zbiór pierwszych druków litewskich i ruskich, archiwum Radziwiłłów, wśród tego wszystkiego kruk nad kruki: rękopis Długosza. Wyjeżdża wreszcie jeden z największych w Europie zbiorów numizmatycznych, by znaleźć schronienie i stać się ozdobą municypalną... Charkowa.

Na nieco późniejsze już czasy przypada też zakupno przez cesarza Aleksandra, a nie konfiskata (jak ciągle błędnie powtarza szeroka publiczność) Belwederu i Łazienek. Pierwszy sprzedaje właścicielka Teresa Kicka w r. 1818 w stanie bardzo opłakanym. Łazienki zaś odstępuje Romanowym Wincentowa Tyszkiewiczowa w r. 1817 za mocną sumę 1,800,000 złotych polskich z budynkami o gołych ścianach, bez obrazów, bez mebli, bez oranżeryi. Wszystko to bowiem, co stanowiło

ozdobę i luksus artystyczny trzech pałaców Łazienkowych aż do ostatnich czasów, było według niniejszej hipotezy zwiezione już później, poustawiane i pozawieszane za pierwszego i za drugiego wielkiego księcia Konstantego. Wszystko to atoli pochodziło nie z prywatnego posiadania rodzin Holsztein — Gottorp i Anhalt — Zerst dekorujących w ten sposób nowo nabyte pałace, ale właśnie ze zdobyczy w różnych czasach „przelewanych“, i „przenoszonych“ z Warszawy do Petersburga. Wszystkie straty z magazynów kultury europejskiej w Polsce błedną i maleją w zestawieniu z tem, co ze stanu posiadania swojego straciła Polska w latach następnych po 1831 i 1863.

#### IV.

I przychodzi znów rok 1863 a z nim powstanie, tak niecierpliwie oczekiwane i gorąco upragnione przez możną i wpływową partję biurokracji w Petersburgu i jej krewniaków i popleczników w Warszawie i gdzieindziej. I znów powstanie to z trudem niestęchanem zwalczone i zgniecione przez dowódców, których... nazwisk zestawienie na niezwykle interesujące naprowadza refleksje. Wielkorządcą nadwiślańskiego kraju zostaje zasłużony militarysta rosyjski Teodor Remberg Berg von Zagwitz. I znów zwycięzcy wodzowie i zasłużeni dygnitarze otrzymują w nagrodę w samem Królestwie 156 donacji majorackich, z czego 69 dla generałów i statsratów pochodzenia nierosyjskiego. Tym razem z Warszawy niema już nic do wywiezienia... omal nic. Jeszcze bowiem za Paszkiewicza wysłano ztąd w r. 1853 ostatnie partje pak, w których miało być 683 obrazów a 286 „tkanin“. Jeszcze stary kniaź Erywański polecił przelać do swego majątku do Homla Thorwaldsena księcia Poniatowskiego, czego zwrot obiecał w ostatnich czasach dziedzic Homla p. Bałaszow.

Tego zaś Thorwaldsenowskiego Księcia Marszałka Francji, pojętego przez twórcę w duchu epoki klasycystycznej, jako jednego z tych greckich wodzów Milcyadesów, co to „ukochani przez bogów umierają młodo“, specjalnie nam żalować godzi się i zważy, że jest to jedno z najbardziej udanych dzieł duńskiego mistrza (jak niektórzy nawet twierdzą, znając je jeno z reprodukcji) Thorwaldsenoski standard-work.



Już daleko łatwiej bylibyśmy przeboleli zarekwirowanie na przykład pomnika Sobieskiego, tego horrendzkiego barokowego curiosum, które całkiem słusznie, wychodząc z punktu widzenia artystycznego usunięto w późniejszym czasie z Łazienek i przeprowadzono na ulicę Agrykoli. Przy tej sposobności natracając tu o niegodny i nieetyczny pomnik tego króla wszechświatowej ongiś w 17-tym wieku sławy, pamiątki osobiste i rodzinne specjalnie poszukiwane specjalnie też porozrzucane są po całym świecie. Z tego co wiemy bowiem: archiwum familijne Sobieskich znajduje się w Berlinie, jedna przepyszna zbroja królewska w Dreźnie, druga w wiedeńskiej Ambrosjanie, tabakierki w prywatnych zbiorach Berlińskich i Paryżkich, a wóz tryumfalny „kolebka“ t. j. kolasa, w której jechał pierwszy wybawca Wiednia w tryumfalnym pochodzie przez ulice stolicy naddunajskiej, zawędrowała aż na Pomorze i tam służy jako kazalnica w kościele w Raddarzu, majątku hrabiów Klejstów.

Podczas samego powstania pada ofiarą zniszczenia wspinała galerja obrazów Mieroszowskich w Pieskowej Skale, spalona przez rosyjskiego generała von Medema.

Na Podolu, Wołyniu i Ukrainie gdzie co można było już i zabrano i rozdrapano. W Wiśniowcu Mniszechów, w tem liście medycejskim Tusculum światłego i europejskiego rodu, rezyduje już rosyjska familia hr. Tollów; część wspaniałej Biblioteki i europejskiej sławy galerję przewożą do Paryża, gdzie po śmierci ostatniego sfrancuziałego doszczętnie hr. Andrzeja Leona Mniszka wszystko sprzedaje się na licytacji publicznej. Bezecna lekko-myślność kresowej magnaterji polskiej i jej utracjuszostwo obłądne w Paryżu za Napoleona i Eugenji idzie tu ręką w rękę z tendencją rządową wysadzania z ziemi i exmittowania elementu polskiego. Gotówka za indemnizację po roku 1864 jeszcze więcej przyczynia się do rozpalania pańskich fantazji i bezprzykładnego rozrzutnictwa potomków królewiatek. Branickim, Sanguszkom i Czetwertyńskim konfiskuje rząd dobra za udział w powstaniu lub sympatyzowanie z niem.

Wtedy to przepada Antopol Czetwertyńskich a Bohusławszczyznę przedtem jeszcze sprzedają potomkowie hetmana Branickiego „udziałom“, by finansowo podtrzymać agitację anty-

rosyjską we Francji. Wtedy to Dermanszczyzna Lubomirskich przechodzi do Engelhardtów, hr. Worcellowa odstępuje klucz Kaszowiecki Abbazie, Grocholscy olbrzymie włości sprzedają sprytnemu muzykowi Tereszczence, Rzysszczewscy klucze Wereszczacki i Żukowiecki, Jełowiccy wspaniałą Aresztów, Radziwiłłowie klucz Berdyczowski, Ilińscy dobra pod Ostrogiem, Lubomirscy klucz Dubieński, Potoccy Daszów, Tulczyn, Zofjówkę. Biorąc te straty polskie w ziemi ze stanowiska centralno-europejskiego, przy dzisiejszych metodach eksploatacji ziemi są to straty nie milionowe ale dosłownie miliardowe.

Ponieważ jednakże w nieszczęsnem powstaniu z r. 1863 silniejszy udział procentowo i moralnie brała demokratyczna szlachta litewska niż (z kilkunastoma wyjątkami) magnaterja polska z Czerwonej Rusi, przeto też cała namiętność kolekjonowania nowych wielkorządców Polski zwraca się teraz i koncentruje na Litwę. Zniesienie tu Unji i przeprowadzenie jej likwidacji przez Pawła E. Kotzebuego otwiera szerokie perspektywy dla nowych nabytków muzealnych i bibliotecznych. Podczas, gdy Berg zamyka w Królestwie 114 klasztorów, na Litwie Murawjew przeprowadza również żelazną ręką wielki plan petersburski zdławienia katolicyzmu i polonizmu w Zachodnim Kraju. Praktyczne przeprowadzenie tego wytępienia katolicyzmu, rozpoczęte jeszcze przed powstaniem przez generała rosyjskiego Schneidra, teraz po powstaniu dokonują prawa ręka Murawiewa generał Kaufman i lewa ręka adjutant Komarow (późniejszy redaktor Swieta). Wedle tego programu szlachta polska musi być ogłodzona i wysadzona z siodła. Kiejdany Czapskich oddają Totlebenowi, Kalnoberze Czapskich Welicze, Dzierżany Glinka — Janczewskim, Hanuszyszki Satkiewiczów Olsufjewom, Rudobietki Lappów baronowi Wranglowi (zięciowi Katkowi); wypędzają Witkiewiczów z Poszawiec, Wańkiewiczów z Ślepianki itd. itd., właśnie wybierając tych wszystkich, których dwory ogniska cywilizacji europejskiej i gospodarstwa nowoczesnego promieniowały na okolice światłem i ciepłem polskiej kultury.

Równocześnie z tem zamykają 26 katolickich klasztorów i rozpoczynają masowy wywóz zagrabianych bibliotek w głąb



Rosyi. Wyjeżdża Bibljoteka kapituły wileńskiej, bibljoteki 22 szkół średnich, wyjeżdża 12 bibljotek prywatnych i 26 bibljotek klasztornych w sumie przybliżonej (według Kornilowa) 125 000 tomów, 165 inkunabułów. Wyjeżdża okazały zbiór numizmatów wileńskich. „Teraz książki z Litwy płynęły do Rosyi rzeką“, stwierdza zapalony bibliofil w starosyjskim stylu pan Kornilow...

Istotnie rzeki książek polskich płynęły z Królestwa, z Litwy, z Wołynia na Wschód i wpływały najniespodziewaniej i przede wszystkim najniepotrzebniej do miejscowości takich, w których jako przedmioty, nie dające się zjeść nawet w stanie rozgotowanym, stanowczo mijały się ze swoim celem. Faktem jest bowiem, że jak chorągwie polskie wojenne wisały i wiszą np. w wiejskich cerkwiach wołogrodzkiej gubernii, tak znowuż rękopisma polskie, druki kalwińskie, ba nawet aryańskie znajdują się w Seminarjum Prawowiernym aż w... Astrachaniu.

„Gdzie nasze nie przepadało“ jest wobec tego przysto-  
wieniem i mądrością narodową daleko daleko bardziej polską jak rosyjską!

Z pierwszymi wydaniem francuzkich klasyków na marokinie i z elzewirami z herbami Wielhorskich, Ilińskich spotykali się podróżnicy i badacze polscy tak często w najobszerniejszych pół animalicznie bytujących osadach najgłuchszej, najgłębszej Rosyi, jak znowuż bardzo często podróżnicy nasi i obcy spotykali się ze starymi, stojącymi w muzeach, przed arsenałami, pałacami, kanakami, armatami, na których wyrzyte lśniły w słońcu herby Potockich, Zamoyskich, z napisami: „Johannes Zacharias fecit me Varsavia“.

Na zapytanie skąd się mogły wziąć moździerze i puszki z regimentów polskich... na Bałkanach, odpowiadano im, że ofiarował w prezencie wtedy a wtedy, ten a ten Car oswobodziciel...

Długą zaiste i okólną drogę robiły moździerze i puszki w polskiej Warszawie odlewane, zanim dostawały się aż na... oswobodzone Bałkany...

V.

Od czasu ostatniego masowego wywozu po r. 1863 nie wywożono już oficjalnie z Polski omal niczego. Coprawda nie było już nic do wywożenia. Na zewnątrz pod względem kulturalnym zrównano nas już z poziomem ogólnie obowiązującym w Cesarstwie, owszem raczej nawet obniżono poniżej tego poziomu. Bądź co bądź podróżnicy europejscy, zwiedzający pryncypalniejsze miasta w Rosji, mogli teraz już podziwiać piękną broń, siodła i czapraki w Moskwie, mogli zdumiewać się na widok dziwnych instrumentów astronomicznych, nad którymi kiedyś śleczeli Poczobut czy Śniadecki, mogli z nabożeństwem słuchać opowiadań o olbrzymiej wartości gobelinów przez oprowadzającego ich po salonach gatchyńskich dworskich, cycerona, mogli nawet w Charkowie znajdować nadspodziewanie druki florenckie czy padewskie w bajecznych oprawach ze słoniowej kości czy w kordubańskiej skórze. Skąd są te maleparta, do kogo pierwotnie należały, nikt się tam nie zapytał, zresztą gdyby nawet zapytał, zapewne nie umianoby go objaśnić. Nieliczni tylko specjaliści mogliby pouczyć innoziemca podróżującego, jak to na tych księgozbiorach expolskich sprawdza się dziwnie prastare powiedzenie Terentiusa Maura: habent sua fata libelli. Nieliczni oficjaliści rosyjscy jak np. prof. Librowicz mogliby cudzoziemcowi powiedzieć rzecz rewelacyjną, że pierwsze książki ruskie drukowało się przez długie czasy w polskich tłoczniach na Litwie, że pierwsze promienie nowożytnej cywilizacji wogóle szły w Rosję tylko z dziś zdeptanej Sarmacji. Z nielicznych dopiero katalogów i reportów rosyjskich rzeczoznawców muzealnych hr. Münnicha, br. Wrangla Bruniego, Steinheila i Semowa oraz z wydawnictw Cesarskiego Tow. Miłośników Starożytności zostającego pod protektoratem W. Księcia Leuchtenfrunckiego, mógł się kto ciekaw dowiedzieć, jak to systematycznie „przesiewane“ polskie kolekcje i zbiory przyczyniły się pierwsze do nadania i wewnętrznego zachodnio-europejskiego poloru obu stolicom rosyjskim, do wytworzenia pierwszych ognisk wiedzy i piękna.

Po roku więc 1864, powtarzamy, nie zaszedł już ani jeden fakt oficjalnego en masse wywożenia klejnotów starej Polski



do Rosji. Nie znaczy to jednakże, aby czasem nie zdarzały się objawy recydywistyczne w tym kierunku. Jeszcze za panowania Hurki wszechwładna połowica jego Marja Andrejewna z domu hrabianka von Salius, wrząca dość świeżej daty patryotyzmem wielkoruskim, od czasu do czasu coś jeszcze znajdowała ze starych antyków na strychach zamkowych i w rupieciarniach skonfiskowanych pałaców. Jeszcze resztki mebli wywieziono z Puław, jeszcze na Żmudzi operował po klasztorach i zakrystjach kościelnych generał Klingenberga. Z Chełma, z kościoła parafjalnego wywieziono kosztowne srebrne antepedjum z przed głównego ołtarza, przedstawiające dziękczynne nabożeństwo obozowe Jana Kazimierza po wiktoryi odniesionej pod Beresteczkiem. Jeszcze w r. 1883 z zamku wywieziono przepomniane aparaty i instrumenta astronomiczne; jeszcze w r. 1895 wycofano z Łazienek Rembrandta i von der Holsta, a przedtem Wouwermana dwa obrazy przedstawiające Walkę Polaków ze Szwedami i Walkę Polaków z Turkami.

W każdym jednak razie wypadki te wstecznego powrotu do dawnych nałogów kolekcjonistycznych w staro-biurokratycznym stylu przytrafiają się już sporadycznie. Ubytek natomiast ogólnie-narodowego stanu posiadania kulturalnego ma jeszcze inną formę już całkiem legalną wypływającą konsekwentnie z częstych marjażów arystokracji polskiej z rosyjską. W ten sposób np. wspomniała biblioteka hrabiów Chreptowiczów w Szczorsach przechodzi wraz ze zbiorami do rodziny Buteniewów razem ze Szczorsami. W ten sposób Potoccy tracą Kaniowszczyznę; panny Potockie kolejno w różnych czasach i z różnych linii wychodzące za mąż za Bachmetiewa, Sołtykowa, Kisielewa, Naryszkina, Woroncowa, wnoszą swym mężom posagi magnackie, a z nimi piękne klucze i pałace, a w pałacach skarby sztuki, klejnoty meblarstwa angielskiego, kolekcje porcelan polskich i zagranicznych. Cała fortuna książąt Ogińskich wysoce wyrafinowanego kulturalnie rodu polskiego rozpada się na części i ginie. Równie tragicznie i powieściowo rozsypuje się land-lordeckie latyfundjum książąt Czetwertyńskich. Równie tragicznie resztki Radziwiłłowskie drogą marjażu z rosyjskimi Wittgenstejnami przechodzą w posiadanie czysto-niemieckiego

rodu książąt Hohenlohe. A razem z tem usuwajacem się z pod nóg czarnoziemem, który mógł w mocnych rękach trzymany i nowoczesnie gospodarowany wyżywiać nie krocie, ale miliony polskich kolonistów zmuszonych do emigracji, amerykańskiej i parjasoskiej tułaczki po całym globie, razem z tą przerażająco szybką w swem tempie utratą terytorjalnego stanu posiadania na Litwie i Rusi, idzie też zagaszenie ognisk kultury zachodniej na polskim Wschodzie, idzie zaguba skarbów polskiej sztuki i kultury pozostających w posiadaniu prywatnym, idzie utrata klejnotów polskich mniej znanych publicznie, nie podlegających kontroli opinii ogółu, nie zinwentaryzowanych w ogólnym majątku narodowym, ale jeżeli nie większych, drogocenniejszych, bogatszych od wziętych z Warszawy, z Wilna, z Puław, to w każdym razie równych im i równie ważnych.

Jeżeli dziś autentyczne meble Chippendale znajduje się często gdzieś u zbogaconych Kułaków na Litwie, jeżeli najpyszniejsza sewrska porcelana zdobi czasem salony jakiegoś generała Kajdanowa czy policmajstra Satrapienki, jeżeli w gabinecie przyjąć kijowskiego magnata cukrowego Halporina czy Brodzkiego prawnuk hetmana Rzewuskiego spostrzega portrety przodków, jeżeli dzisiaj egzemplarzy najstarszych polskich „farfurów“ trzeba szukać w guberniach riaszańskiej czy kazańskiej, jeżeli kryształowe puhary z Trąbami Radziwiłłów znajdują się w posiadaniu rodziny Marmeladowów czy Smerdjakowów, jeżeli w najpiękniejsze okazy litych pasów słuckich ubiera na bal kostjumowy francuską tancerkę młody kupiec moskiewski Aljosza Karmazynow czy Karawanow, jeżeli gdzieś w najzapaślej Kawkazie pochylony nad olbrzymim foljałem Biblii Łacińskiej archimandryta Porfirjusz spostrzega w nabijanej rubinami bezcennej oprawie nieznanego sobie Orła Polskiego z Litewską Pogonią... to wszystko to, wszystko to ongiś zdołało polskie dwory i kasztele na Litwie i Podolu, wszystko to wliczało się do rejestru bogactw kulturalnych tego narodu, którego ziemia dziś przedstawia jedne wielkie pustynne cmentarzysko. Omal wszystko, cośmy mieli ze złota i klejnotów, rozdziobały nam kruki i wrony. Jeżeli chcemy widzieć najstarsze polskie sztandary i bandery, musimy je oglądać w Cerkwi



Kazańskiej lub w Muzeum Artyleryjskiem... Jeżeli chcemy wiedzieć arcydzieła polskich sztycharzy, musimy je oglądać w Cezarskim Gabinetie Sztychów, który jest zarazem największym polskim gabinetem sztychów...

I dlatego to dzisiaj należało sobie o tem wszystkim przypomnieć summarycznie. Jest to także sen o potędze, o potędze naszej dawniej kulturalnej równorzędności ze wszystkimi państwami Zachodu. Bogactwa te w jakiejś części i w jakiejś formie do nas wrócić muszą. Bezprzykładna w całej nowożytnej historii grabież mienia całego jednego narodu popełniona przez drugi naród musi w interesie całej cywilizacji europejskiej być przede wszystkim skonstatowaną, ściśle określoną, do europejskiej wiadomości podaną, nie jak dotąd formalnie zatajaną. Obowiązkiem naszym jest upomnieć się o zwrot tego i tylko tego, co się nam należy. Obowiązkiem Europy tak Centralnej jak i Koalicyjnej jest zwrot ten nam przyznać i stuletnią krzywdę dwudziestomiljonowego narodu możliwie wynagrodzić. Od tego odstąpić nam nie wolno i nie godzi się. Rosja zaś dzisiejsza bez pamiątek i bibliotek polskich już się obejdzie.



289531

## TREŚĆ.

|  |        |
|--|--------|
| Satyra staropolska .....                     | str. 5 |
| Balzac w Polsce i w Niemczech.....           | „ 35   |
| Szekspir po polsku .....                     | „ 43   |
| Teatr irlandzki.....                         | „ 59   |
| Biblia Belgów.....                           | „ 71   |
| Verhaeren .....                              | „ 79   |
| Kultura Czechów.....                         | „ 95   |
| Sieur de Beaumarchais (Przed premierą) ..... | „ 117  |
| Goethe a życie praktyczne .....              | „ 123  |
| Aleksander Świętochowski, Jubilat.....       | „ 133  |
| Angielskie przekłady Jana Kasprowicza ....   | „ 147  |
| Wiktor Alfieri.....                          | „ 161  |
| Gockowsky .....                              | „ 177  |
| Żyd wieczny tułacz w literaturze .....       | „ 187  |
| Klejnoty polskie w Rosyi .....               | „ 203  |

